



The
Vampire's
Kiss
Cynthia Eden

Cynthia Eden

The Vampire's Kiss
(Pocałunek wampira)

Tłumaczenie kama85

Prolog

Zło rośnie. Mogę poczuć ten dotyk ciemności.

-Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 2 Września 1068.

-Mark!

Obudziła się krzycząc imię swojego brata bliźniaka. Przewróciła się w kierunku lampy z trzęsącymi się rękami. Jej wzrok gorączkowo śledził sypialnię, a jej serce wydawało się zatrzymać. Nie widziała swoich mebli. Nie widziała antycznego, wiśniowego kredensu i krzesła. Nie widziała książek ułożonych na półkach, półkach zrobionych przez jej ukochanego dziadka.

Jedyną co widziała to krew. Która była wszędzie. I poczuła zło. Przytłaczające zło. Zamknęła oczy desperacko próbując zatrzymać tę wizję. Torturowany człowiek – jego krzyki odbiły się echem w jej głowie.

-Nie!

Odepchnęła wizję i wyskoczyła z łóżka. W tej samej sekundzie wizja zniknęła. Mogła znów widzieć swój pokój. Spowity w ciemnościach ale jednak znajomy.

Jej rozdygotane tętno desperacko szumiało w uszach. Jej ciało trzęsło się na wspomniany wcześniej strach. Czy to był sen? Tylko sen?

Potrząsnęła głową. To nie mógł być sen. Był...zbyt realny. Miała rozpaczliwą chęć zadzwonić do Marka. By usłyszeć jego głos. Sięgnęła po telefon. Zimny pierścień objął jej rękę. Jej serce zwolniło. Telefon zadzwonił ponownie, jego dźwięk był niesamowicie podobny do krzyku ze snu. Jej palce się trzęsły gdy podnosiła słuchawkę.

-S...słucham?

Gdy usłyszała rozmówcę, cała krew odpłynęła jej z twarzy.

Jej cało się zakołysało i słuchawka wypadła z jej bezwładnych palców. Dziwne, lodowate ostrza wbijały się w jej skórę. Jasne

światło błysnęło jej przed oczami. Jej cało osunęło się na podłogę i znów zanurzyła się we śnie o martwym człowieku.

Rozdział 1

Jak dziecko, boję się ciemności.

- Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 8 Września 1068.

Savannah Daniels zebrała całą swoją siłę i przeskoczyła przez wysoki mur z granitu. Poślizgnęła się na krawędzi i upadła na ziemię, lądując z miękkim łoskotem. Krew pokryła jej ciało i podarte ubranie. To cud, że udało się jej wejść na górę. Jej mały, wynajęty samochód wysiadł kilka godzin temu. W połowie drogi, zakrzusił się i zatrzymał. Para wydobywała się z pod maski Toyoty. Żadne prośby, pisma procesowe czy przekleństwa nie pomogły by uruchomić ponownie silnik.

Wysiadła z samochodu i zrobiła jedyną rzecz, którą mogła. Zaczęła iść. Parę kilometrów szła wzdłuż zwirowanej drogi. Szła aż jej nogi przeszedł ból. Na jej palcach i piętach pojawiły się bolące pęcherze. Szła tak długo aż zwirowana droga dobiegła końca. Wspięła się na ogrodzenie pokryte drutem kolczastym, który porwał jej ubranie i poranił skórę na ramionach i plecach. Mur był jej ostatnim płotkiem. Ostatnią przeszkodą na jej drodze.

Mogła teraz zobaczyć dom, jego imponująca budowlę, stojący surowo i silnie na szczycie góry. Cienkie strumienie światła świeciły przez wysokie gotyckie okno. Światło wydawało się obejmować ją, obiecując jej bezpieczeństwo przed ciemnością nocy, jeśli tylko wejdzie do środka. Na chwilę wycie wiatru uspokoiło się i Savannah w milczeniu patrzyła na to, co miała przed sobą. Wiedziała co znajdzie w obrębach murów tego domu.

Potwora.

Człowieka.

Demona.

Zbawiciela.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy dokładnie go zbadała. Nauczyła się każdego szczegółu, jaki udało się znaleźć na temat

Williamam Darka. Wszystkich przerażających szczegółów. Czasami budziła się w nocy z krzykiem, z jego imieniem na ustach.

Ale koszmary nie miały żadnego znaczenia. Potrzebowała Williamam Darka. Potrzebowała potwora. Potrzebowała człowieka. I będzie go mieć.

Zbliżyła się do domu powoli, niemal nieśmiało. Jej tenisówki skrzypiały na mokrym żwirze. Padało wcześniej w ciągu dnia i powietrze nadal pachniało deszczem. Nie było słychać żadnych dźwięków na dziedzińcu. Żadnego śpiewu ptaków. Szczekania psów. Nawet wycie wiatru nie naruszało tego cichego miejsca. Była jedynym intruzem. Jej żołądek się ścisnął, a ona kilka razy starała się przełknąć gulę powodującą ucisk w jej gardle. Jej serce waliło wściekle. Zastanawiała się czy on może usłyszeć rozpaczliwe jego bicie.

Z najwyższego okna na szczycie domu, dwa ohydne gargulce spoglądały na nią, ostrzegając ją by trzymała się z dala od ich pana. Savannah podniosła swój posiniaczony podbródek w niemym wyzwaniu. Nie pozwoliła by jej przyjaciele odwiedli ją od tej podróży. Na pewno nie wystraszy się dwóch statuetek! Nawet jeśli nie wydawały się patrzeć na nią, ich błyszczące oczy śledziły każdy jej ruch.

W końcu stanęła przed wysokimi, drewnianymi drzwiami. Krzyż został mocno wciśnięty w ich powierzchnię. Patrzyła na święty znak, zastanawiając się nad jego obecnością. Nad jego znaczeniem w tym pełnym ciemności miejscu.

Że nie należał tutaj. Ona również nie. Ale nie zamierzać go opuścić. Do chwili, gdy nie dostanie tego czego potrzebuje.

Wzięła głęboki wdech. Drzwi otworzył się zanim zdążyła wyciągnąć rękę, by zapukać o ich twardą powierzchnię. To on otworzył drzwi. Przez chwilę zaskoczona mogła patrzeć na niego.

Nawet w cieniu nocy mogła powiedzieć, że to on. Górował nad jej smukłą sylwetką. Był wysoki, ponad sześć stóp, a jego szerokie ramiona zdawały się wypełniać całą framuję. Jego długie ciemne włosy były ściągnięte do tyłu i opadały u podstawy szyi. Jego oczy płonęły niczym czarny węgiel, wydawały się żarzyć, gdy przeniósł swoje przenikliwe spojrzenie na nią.

Oczywiście widziała wcześniej szkic, który go przedstawiał. Wiedziała jak wygląda. Ale widzieć go z bliska to zupełnie inna sprawa.

Nie zdawała sobie sprawy, jak jest wysoki, jak silne są jego kości policzkowe albo jak zmysłowe będą jego usta. Jego nos był idealnie prosty, choć trochę ostry. Czoło miał wysokie i eleganckie. Był atrakcyjnym mężczyzną, nawet z cienką blizną przeszywającą w dół jego lewy policzek.

Wiedziała jak zdobył tą bliznę. Wiedziała wszystko o człowieku stojącym przed nią. Był ubrany na czarno, podkreślając jego płowy kolor skóry i czyniąc jego wygląd prawie....przerażającym. Stał w cieniu, obserwując ją. Wreszcie przemówił.

-Nie jesteś tu mile widziana.

Jego głos był czysty, tworząc uwodzicielski kontrast z ostrością jego słów. Nieznacznym angielskim akcentem wkraść się w jego słowa. Savannah nie była zaskoczona jego ostrością. Przecież to było powitanie, którego się spodziewała. W pośpiechu powiedziała:

-Muszę z panem porozmawiać, panie Dark.

Jej głos intensywnie drżał. Musiał ją wpuścić do domu. Musiał! Lekko podniósł głowę. Czy to była ciekawość w głębi jego czarnych oczu? Savannah nie mogła tego powiedzieć, nie na pewno.

-Musisz? zapytał.

Jego głos zdawał się owinać wokół niej, przenikać przez jej skórę. Potrząsnęła głową, oczyszczając z mgły jej umysł.

-Pozwól mi wejść do środka.

Savannah prosiła, próbując na próżno ominąć wzrokiem jego ciało i zacienione spojrzenie.

-Musimy porozmawiać. To pilne.

Pokręcił głową i zrobił krok do przodu w cienką wiązkę światła.

-Nie jesteś tu mile widziana, powtórzył.

Savannah zebrała się na odwagę i spojrzała na mężczyznę przed sobą.

-Proszę, pozwól mi wejść do środka. To kwestia życia i śmierci. Jedna pojedyncza zmarszczka pojawiła się na jego czole. Jego wzrok powoli przesunął się od czubka jej głowy, aż do jej przemokniętych butów.

-Jesteś bardzo upartą kobietą, panno...

-Daniels.

Powiedziała pośpiesznie.

-Nazywam się Savannah Daniels.

Pokiwał głową, jakby już znał jej imię.

-Możesz wejść do środka, ale tylko na chwilę.

Cofnął się, otwierając szerzej drzwi. Odetchnęła ciężko. Nagłe rozluźnienie sprawiło, że jej zmęczone ciało zaczęło drżeć. Wpuścił ją! Teraz, jeśli tylko potrafi spróbujecie przekonać go, aby jej pomógł. Jej cało otarło się o jego gdy wchodziła do środka. Przypadkiem jej ramię otarło się o jego tors.

Na chwilę jego czarne oczy zabłyśły czerwienią. Pośpiesznie odsunęła się od niego do przedpokoju. William podniósł rękę i wskazał otwarte drzwi na prawo. Skinęła głową i weszła do pokoju.

Ciepły ogień płonął na kominku. Od razu podeszła do niego i wyciągnęła ręce chcąc poczuć jego ciepło. Było jej tak zimno. Tak zimno przez bardzo długi czas. Od tamtej nocy....

William nadal ją obserwował, jego wzrok był twardy i bezlitosny. Savannah zastanawiała się, co widział, gdy patrzył na nią. Nerwowo spojrzała w dół na siebie. Wiedziała, że wygląda okropnie. Jej ubranie i włosy to kompletny bałagan. Ale nawet w dobry dzień, nigdy nie uważała się za wielką piękność. Jej włosy były zbyt kręcone, ich kolor zbyt czerwony. Prawda, że były gęste i przycięte tak by opadały lekko przed ramiona, ale zawsze nienawidziła ich koloru. Jej figura była drobna i szczupła. Na obcasach miała z pięć stóp wzrostu. W ostatnim roku straciła sporo wagi, więc teraz wyglądała szczególnie delikatnie. Prawie wiotka. Westchnęła ciężko.

Nie mogła niź zrobić ze swoim wyglądem. Poza tym, że nie miało to żadnego znaczenia. Zacisnęła ręce w małe pięści i zdecydowanie odwróciła się tyłem do ognia.

-Potrzebuję twojej pomocy.

Słowa odbiły się echem od ścian wielkiego pokoju. William rozparł się w dużym, wygodnym fotelu.

-Mojej pomocy? Co dokładnie mam zrobić, że potrzebujesz do tego mnie, pani Daniels?

Przełknęła, zajęła krzesło naprzeciw niego. Wiedziała, że to nie będzie łatwe. Znów przełknęła i spojrzała głęboko w ciemne oczy.

-Potrzebuję cię byś kogoś zabił, powiedziała z całą prostotą. Zamrugął. Raz. Drugi.

-Słucham?

Savannah oblizwała wargi. Jej spojrzenie stało się nerwowe.

-Potrzebuję cię byś kogoś zabił, powtórzyła, jej wzrok został uwięziony przez jego spojrzenie.

William roześmiał się. Odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem. Ramiona mu się trzęsły z radości. Nadal się uśmiechając, obrócił się z fotelem by obserwować znajdującą się przed nim kobietę. Prawdę mówiąc, jej włosy i oczy płonęły. Przypominała mu wróżkę. Małą, trochę zagubioną wróżkę. Szkoda, że zawędrowała do jej królestwa.

Jej twarz miała kształt delikatnego owalu. Jej skóra była niesamowicie przezroczysta. Miała mały nosek, a jej pełne usta były niesamowicie kuszące. Jednak to jej oczy, stwierdził zwróciły jego uwagę. Były najbardziej zielone, spośród wszystkich jakie kiedykolwiek widział. Ciemne, głęboko szmaragdowe oczy. Jej kręcone rude włosy konstatowały z jej oczami, nadając im niezwykle odcień.

Jego wzrok przesunął się po jej ciele. Jej piersi były małe, łagodne wzgórki, unoszące się dumnie pod jej szarą bluzką. Jej sutki sterczały z zimna. Wąskie biodra, prawie chłopiące, a jej smukłe nogi były wciśnięte w parę wyblakłych, niebieskich dżinsów. Słaby zapach krwi przylgnał do jej ciała. Ten zapach cicho wzywał go, kusił. Wziął głęboki wdech i oparł się na krześle. Podniósł rękę i przesunął ją po szyi. Jaką grę prowadzi ta mała wróżka? Na pewno nie myśli o związaniu się z kimś takim jak on...

-Co sprawiło, że pomyliłaś iż jestem w stanie kogoś zabić? przeciągnął swoim męskim głosem.

Popatrzył na nią uważnie, zwracając uwagę na lekkie drżenie rąk. Zwążyła swoje zielone oczy.

-Wiem o tobie, wyszeptała, jej palce zacisnęły się na oparciu fotela.

Uspokoila się.

-Cóż takiego myślisz, że wiesz?

Wcześniejsza chwila rozbawienia zniknęła. Lód pojawił się w jego głosie.

-Znam twoją tajemnicę, panie Dark.
Jej ściszony głos brzmiał ja wątyły dźwięk.

William poczuł nagle napięcie w całym ciele. Obserwował wróżkę bardzo ostrożnie. Próbował sięgnąć w głąb jej umysłu, aby wyczuć co miała na myśli. Chciał zobaczyć jaką prawdę chce ujawnić. Lub jakie kłamstwo.

-Wiem kim jesteś.

Urwała po czym rzekła cicho:

- A raczej czym jesteś.

Zacisnęła swoje pełne usta.

-Można powiedzieć, że jestem pewnego rodzaju ekspertem jeśli chodzi o ciebie.

Jego usta wygięły się lekko w uśmiech, choć wiedział że nie ma na nich żadnego śladu ciepła.

-Ekspertem? Ode mnie?

Wypełniła go wściekłość i z trudem udało mu się ją kontrolować w głosie, gdy zapytał:

-Dlaczego jestem tak ważny dla ciebie? Zapewniam cię, moje życie nie jest wcale ekscytujące.

Pochyliła się.

-Wręcz przeciwnie, twoje życie jest fascynujące.

Nagle w oddali rozległ się echem straszny huk.

-Jestem człowiekiem, nie więcej, nie mniej. Moje życie jest normalne jak każdego innego.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

-Jesteś o wiele więcej niż człowiekiem, panie Drak i oboje o tym wiemy.

Wzięła głęboki oddech.

-Wiem kim jesteś, szepnęła. Wiem.

Zacisnął szczękę.

-Nic nie wiesz.

Wstał nagle.

-Nadszedł czas, żebyś wyszła.

Zerwała się z krzesła i zrobiła krok w jego stronę.

-Nie odejdę. Potrzebuje twojej pomocy!

Pokręcił głową.

-Nie mogę ci pomóc. Nie mogę pomóc nikomu.

-Potrzebuję cię.

Mroczna intensywność wypełniła jej słowa i spojrzenie. William zmarszczył brwi. Wstał i podszedł do niej powoli. Palcami uniósł delikatnie jej podbródek. Patrzył na nią marszcząc brwi.

- Nawet mnie nie znasz.

- Wiem o tobie wszystko.

Przekrzywił głowę w bok.

- I to co wiesz – sprawiło, że pomyślałaś iż mogę kogoś zabić?

Przełknęła.

- Tak.

- Myślisz, że jestem mordercą? zapytał, tak dla pewności.

- Tak.

Cało Savannah było napięte, gdy czekała na jego reakcję.

Uśmiechnął się. Palcami gładził delikatnie linię jej szczęki.

- Myślę, że się pomyliłaś. Bardzo, bardzo pomyliłaś. Nie jestem zabójcą. Jestem tylko człowiekiem. Człowiekiem, który chce być sam.

Uwolnił ją i poszedł w kierunku kominka.

- Byłeś kiedyś człowiekiem, zgodziła się. Ale już nim nie jesteś.

Przestałaś nim być prawie tysiąc lat temu.

Odwrócił się i rzucił ku niej z niezwykłą prędkością. Prawą rękę zacisnął wokół smukłej kolumnie jej gardła. Jej puls przyspieszył pod dotykiem jego chłodnych palców, Mówiła szybko wiedząc, że nie ma chwili do stracenia. Bestia właśnie się przebudziła.

- W 1038 roku, urodziłeś się jako William de Montfort. W walce zyskałeś miano William Dark. Mówiono, że zdobyłeś ten przydomek z powodu zamiłowania do czarnej magii. Była to zła magia, która wtedy używana sprawiła, że stałeś się tym kim teraz jesteś.

Palce złagodziły swój uścisk i zaczęły delikatnie głaskać jej wrażliwą skórę.

- I kim jestem, pani Daniels?

Jej rzęsy opadły powoli, a następnie wzniosły by spotkać jego płonące spojrzenie.

- Jesteś wampirem.

Jego kły wysunęły się, długie i przerażające. Jego oczy płonęły, trzymając jej spojrzenie w niewoli. Jego ręka nadal wędrowała po jej szyi.

- A ty jesteś głupia.

Opuścił głowę, a ona zdała sobie sprawę drętwiejąc z szoku, że zamierzał ją ugryźć. Zamierzał wypić jej krew, Chętnie przechyliła głowę do tyłu, ofiarując mu siebie. Jego gorący oddech przesunął się po skórze jej gardła. Czekala, zdesperowana aby poczuć jak zanurza w niej kły, jak pije z niej. Miała tylko nadzieję, że nie będzie to zbyt bolesne. Oczekiwała, że poczuje ukłucie, gdy jego zęby będą przebijać skórę na jej szyi.

Zamiast tego, czuła szorstki aksamit jego języka, kiedy przesuwał nim po pulsującym tętnie. Powoli. Raz. Drugi. Jej oddech uwiązł w gardle i usłyszała swój własny jęk. Jego zęby ocierały się o jej skórę. Jego język lizał jej szyję. Jego zapach otaczał ją. Mocny. Mroczny. Zapach nocy.

Chcesz tego czyż nie maleńka? Jego głos mruczał uwodzicielsko, chociaż usta nie wykonały żadnego ruchu. ***Przyszłaś tutaj po to, prawda?*** Zaczął powoli ssać jej szyję.

-Tak, szepnęła, uniosła ręce do jego ramion, objęła go i przyciągnęła bliżej do swego ciała.

Miała zamknięte oczy. William cofnął się powoli, zastanawiając się nad motywami kobiety, gotowej oddać się potworowi. Wtedy przypomniał sobie, co mu powiedziała.

-Chciałaś żebym zabił kogoś dla ciebie.

To było oświadczenie. Które wziął wcześniej za żart i teraz nabrało poważnego znaczenia. Kim była ta kobieta. I dlaczego szukała Anioła Śmierci.

-Tak, szepnęła znów nie otwierając oczu.

Spójrz na mnie. Niespodziewanie wydał rozkaz, wykorzystując siłę woli. Chciał się dowiedzieć, czego chce kobieta w jego ramionach i jakie stanowi zagrożenie dla niego. Wtedy będzie mógł zawrzeć z nią umowę.

-Kogo mam zabić dla ciebie?

Jej powieki uniosły się powoli. Jej oddech był nierówny i spazmatyczny.

-Mnie. Chcę, żebyś zabił mnie.

Podniosła rękę i zanurzyła w jego włosach. Zaciśnęła ją, zachęcając jego zaciśnięte usta do powrotu na jej szyję. Z powrotem do miejsca gdzie jej tętno pulsowało tak gorąco.

Jego oczy rozszerzyły się w szoku. On, który widział wiele wojen i śmierci, był wstrząśnięty jej oświadczeniem. Jej

zaproszeniem. Co jeszcze bardziej zaskoczyło go to, jak bardzo była kusząca. Desperacko zapragnął skorzystać z oferty tej małej wróżki. Chciał wziąć jej krew...i jej życie. Z dużym wysiłkiem zmusił się do odsunięcia od niej i uwolnienia z jej objęć.

Zastanawiał się, dlaczego taka młoda i pełna życia pragnie zanurzyć się w ciemnościach. Jaki demon sprowadził ją do niego.

-Dlaczego?

Zapytał, przesuwając się w cień pokoju.

-Dlaczego szukasz śmierci?

Zacisnęła ręce, a frustracja objęła jej delikatne rysy twarzy.

-Moje motywy nie powinny mieć dla ciebie żadnego znaczenia.

Uniósł brwi.

-Ale mają.

Nikt nigdy nie przyszedł do niego sam z siebie. Bez przymusu i krwawej ofiary. Ofiary z życia. Wiedział, że ludzkie życie jest zbyt cenne by po prostu oddać je bestii. Zacisnęła usta.

-Chcę, żebyś mnie ugryzł.

-Tak, pokiwał głową. Ale nie mam zamiaru tego zrobić.

Nauczył się dawno temu kontrolować swoje popędy. I, choć przyszła do niego szukać śmierci, nie zamierzał jej tego dać. Strzępy jego sumienia nie pozwalał mu na to.

-Powinnaś wyjść.

Gestem wskazał drzwi. Potrząsnęła przecząco głową, wprawiając w ruch swoje cienkie loki.

-Nie wyjdę. Nie przeszłam tej drogi byś mi odmówił.

Jej twarz wydawała się nienaturalnie blada w blasku ognia.

-Nie pozwolę abyś mi odmówił. Mówiłam ci, potrzebuję twojej pomocy.

-A ja powiedziałem nie. Teraz nadszedł czas, abyś wyszła.

Jej pierś wznosiła się i opadała spazmatycznie.

-Musisz mi pomóc. Jeśli tego nie zrobisz, powiem wszystkim o tobie. Pójdę do wszystkich redakcji i stacji informacyjnych.

Zaśmiał się cicho, szyderczo.

-Uspokój się. Naprawdę myślisz, że ktoś ci uwierzy?

Pokiwał swoją ciemną głową.

-Jeśli pójdziesz do nich i powiesz, że jestem wampirem to cię wyśmieją.

I być może ją zamkną. Uniosła wyżej brodę.

-Uwierzą jeśli pokażę im dowody.

-I jakież to masz dowody? roześmiał się.

Uśmiechnęła się pokazując proste, białe zęby.

-Mam pamiętnik twojego brata. Pamiętnik Henry'ego.

Przetłumaczyłam go.

Napiął się. Bestia w nim zaryczała z wściekłości.

-A gdzie...zacisnął zęby i poczuł jak zaczęły go swędzić i wydłużać się...zdobyłaś tą małą nagrodę?

-Czy to ma teraz jakieś znaczenie?

Szła ku niemu.

-Mam ten pamiętnik i pokażę go wszystkim, którym zdołam.

Wszystkim. W końcu ktoś mi uwierzy. Twój sekret zostanie odkryty.

Staneła kilka kroków od niego.

-I to panie Dark, znaczy że przez wszystkie mielenia bycia łowcą stanie się pan zwierzyną.

-Naprawdę pragniesz śmierci, prawda? zapytał ze zdziwieniem w głosie.

-Śmierć jest tylko środkiem do celu, odparła skrywając swoje emocje w oczach.

Chwycił jej drobne ramiona.

-Nie lubię szantażu, warknął.

Był tak blisko niej, że słyszał jej tętno, czuł drzenie rozpaczliwie rozchodzące się po jej ciele. I prawie mógł poczuć jej smak.

-Ani ja.

Prawdziwy smutek pojawił się w jej słowach.

-Ale nie mam wyboru.

-Masz. Po prostu wyjdź.

-Nie.

Spojrzał głęboko w jej szmaragdowe oczy i zobaczył determinację i strach. Spróbował wykorzystać ten strach.

-Jeśli zrobię to o co mnie prosisz, poczujesz ból, jakiego nie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Strach jakiego nigdy nie zaznałaś.

Wypiję całą krew z twojego pięknego ciała. Będę pić z ciebie, aż nie pozostanie już nic.

Dotknął delikatnie jej policzka.

-A potem wyrzucę twoje gnijące zwłoki.

Uśmiechał się chłodno.

-Czułam już wcześniej strach.

Jej słowa były spokojne, lecz usta drżały.

-Czułam ból. Więcej bólu niż możesz sobie wyobrazić.

Był zaskoczony gniewem, który przetoczył się przez niego. Myśl, że ktoś, gdzieś skrzywdził tę silną kobietę wprawiła go we wściekłość. Wściekłość nie mająca żadnego wytłumaczenia. Jego palce zacisnęły się na jej ramionach.

-Kto skrzywdził...

Odsunęła się do tyłu, z dala od niego.

-To nie mam znaczenia w tej chwili.

Miało znaczenie. Nie wiedział dlaczego, ale miało to ogromne znaczenie dla niego.

-Pomożesz mi? zapytała ponownie.

-Masz na myśli, czy cię zabiję?

Prawdę mówiąc odkrył, że jest spragniony smaku jej krwi. Jej krwi. Wzięła głęboki wdech.

-Słuchaj marnujemy tylko czas. Wiem jak to działa. Mówiłam ci, zrobiłam odpowiednie badania.

-Ach, tak...twoje badania.

Naśmiewał się z niej.

-Wiem co należy zrobić powiedziała z uporem, jej jasne spojrzenie zatrzymało się na nim. Wiem, że muszę umrzeć, żeby stać się....

-Stać cię czym?

Zapytał, a mroczne podejrzenia owinęły się wokół niego. Ona na pewno nie ma na myśli...

-Taka jak ty.

Rozdział 2

Diabeł mieszka na tym świecie. Widziałem go.

- Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 5 Października 1068.

Zapanowała głęboka cisza w pokoju. Savannah wstrzymała oddech, modląc się ze wszystkich sił o to, że nie popełniła błędu przychodząc tutaj, przychodząc do Williama. Był jej ostatnią deską ratunku. Jej jedynym wyborem. By dokonać swojej zemsty, potrzebowała jego. Wreszcie, kiedy myślała że cisza nigdy się nie skończy przemówił. Mówił bardzo powoli, rozważając.

-Więc nie jest prawdą, że szukasz śmierci, prawda maleńka? Chcesz pocałunku, pocałunku nieśmiertelności. Pocałunku wampira. Wydawał się być rozczarowany.

-Tak, to jest to czego chcę.

Nie, nieprawda to nie było to czego pragnęła, ale właśnie to co chciała dostać. Musiała stać się taką jak on, chodzącą śmiercią, jeśli miała wypełnić swój plan. W przeciwnym razie wszystko będzie stracone.

-Nie różnisz się więc zupełnie od innych.

Odwrócił się, lekceważąc ją i wyszedł z pokoju. Jej skronie zaczęły pulsować. Zignorowała ból i pobięła za nim.

-Zaczekaj! Stój!

Był w holu. Otworzył potężne, drewniane drzwi. Ciemność nocy rozlała się po pokoju. Mogło się zdawać, że ta ciemność czeka na nią, czeka by ją pochłonać.

-Dobranoc, pani Daniels.

-Nie!

Zatrzasnęła drzwi, odgradzając się od nocy.

-Musisz mi pomóc.

-Nie pomogłem żadnemu z tych żalosnych głupców, którzy przybywali do mnie w ciągu wielu lat z prośbą o ten pocałunek.

Cyniczny uśmiech wykrzywił jego usta, gdy ujrzał zaskoczenie na jej twarzy.

-Co? Uważałaś, że jesteś pierwszą która odkryła moją naturę?

Savannah poczuła jak czerwone plamy występują na jej policzkach. Tak, myślała że była pierwsza. Od pierwszej chwili, gdy dowiedziała się o Williamie poczuła dziwną z nim więź. Wydawało się istnieć specjalne połączenie między nimi. Ale być może, tylko to sobie wyobraziła.

-Było co najmniej tuzin innych, którzy przychodzili do mnie na przestrzeni wieków.

William wzruszył szerokimi ramionami.

-Wszyscy oni natknęli się na prawdę o moim istnieniu w taki lub inny sposób. I wszyscy chcieli pocałunku. Mężczyźni, kobiety. Młodzi i starzy. Nie obchodziło ich, co będą musieli zrobić, gdy zostaną przemienieni. Nie obchodziło w co się zmieniają. Po prostu chcieli pocałunku.

Savannah starała się przełknąć przez jej nagle wyschnięte gardło. Strach zaczął przetaczać się przez nią. William zamierzał jej odmówić, jak czynił to wiele razy wcześniej.

-I nie zmieniłem ich. Tak jak nie przemienię ciebie.

-Ale jeśli tego nie zrobisz, ja...

Podmuch wiatru otworzył drzwi i przeleciał przez hol, rozsypując włosy Savannah na jej twarzy.

-Nie groź mi! warknął William. Pozostali też mi grozili. Najpierw prosili, błagali, a gdy to nie pomogło grozili. I wiesz co im zrobiłem?

Patrzyła w jego świdrujące oczy. Savannah bała się zapytać o ich los.

-Mogłem ich zabić. Wypijając ich krew do końca lub złamać im kark. Wtedy nie musiałbym się martwić ich żalnymi próbami szantażu.

Savannah się skrzywiła.

-Ale ja tego nie uczyniłem, powiedział, jego głos nagle zmienił się, obniżył, płynął wokół niej, przez nią, jak bogate wino. I nie musiałem ich zabijać. A wiesz dlaczego?

-Dlaczego?

Szepnęła.

Opuścił głową ku niej.

-Wampiry mają wielką moc. Zarówno fizyczną jak i psychiczną.

Savannah wiedział wszystko o posiadanych przez wampiry mocach. Nadludzka siła, psychiczne zdolności. Mówiono, że niektórzy mogą latać. Niektórzy mogą zmiana kształtu. A niektórzy mogą kontrolować działania ludzi za pomocą myśli. Kontrola umysłu. Dreszcz przeszedł przez jej ciało. Uśmiechnął się.

-To prawda, nie musiałem ich zabijać, bo po prostu kazałem im zapomnieć. Tak jak każę zapomnieć tobie...

Jego usta dotknęły jej warg w lekkim, przelotnym muśnięciu. Krótkie mrowienie pojawiło się w jej ciele na skutek tego dotyku.

-To jedyny pocałunek jaki dostaniesz ode mnie, słodka Savannah. Uważaj się za szczęściarę.

Cofnął się i jedną ręką podniósł jej brodę, zmuszając jej oczy by spojrzały na niego.

-Teraz nadszedł czas, aby odeszła. Wróć do swojego, miłego, małego świata i zapomnij o mnie. Zapomnij o mnie i o pocałunek, który chciałaś.

Gdy Savannah patrzył mu w oczy, czuła, jakby odrywała się od świata, zapadała w sen. Światło w holu nagle stało się bardzo słabe. Williama otoczyła ciemność, a wszystkie co widziała to jego oczy, żarzące się czerwienią.

-Zapomnij, Savannah. Zapomnij o mnie. Zapomnij o pocałunku.

Niemy krzyk odmowy zawisł na jej drżących ustach. Krzyk, że nigdy nie wyrazi na to zgody, a w następnej chwili, ogarnęła ją ciemność i Savannah nie pamiętała już nic więcej.

* * * *

Nie miał kłopotów przy przenoszeniu jej z powrotem do miasta, z powrotem do małego pokoju hotelowego, wynajętego na skraju miasta. Kiedy schodził z góry, zobaczył jej samochód. Wydawał się taki mały i opuszczony, na zwirowym poboczu. Mógł zaaranżować zwrot jej samochodu. W odpowiednim czasie mógł zasiał odpowiednie wyjaśnienia jej luk w pamięci.

A był w tym dobry. Gdy się przemieszczali, maskował ich obecność. Nikt nie mógł ich pamiętać. Nawet kilku mieszkańców miasta, którzy widzieli ich w rzeczywistości nie będą w stanie przypomnieć sobie o ich obecności.

Nie było, ich znów tak wielu by mogli ich zobaczyć. Tyler, w Północnej Karolinie nie było dokładnie w wielkim miastem. Było kilka sklepów i przedsiębiorstw wzdłuż głównej ulicy, ale większość mieszkańców faktycznie mieszkała w chatach. Położone w górach, miasto było sporadycznie odwiedzane przez turystów mających nadzieję uciec od zgiełku życia w wielkim mieście. Nawet w szczycie sezonu turystycznego miasto liczyło ledwie kilka tysięcy mieszkańców. To było małe miasteczko, spokojne i zaciszne. Idealne dla niego.

Jednym ruchem ręki otworzył drzwi do pokoju Savannah i zaniósł ją do środka. Była jeszcze nieprzytomna, w wyniku silnego przymusu jaki na niej wymusił. W tym stanie, wyglądała na niezwykle kruchą. I bardzo piękną. Tak dobrze było czuć jej ciało w ramionach. Ciepłe. Żywe. To było lata temu, zbyt wiele lat, gdy czuł ciepło kobiety obok siebie. Jego ciało zaczęło ujawniać swoje potrzeby, jak by wcale nie było martwe.

Szybko, zanim będzie mógł zmienić zdanie, położył ją na małym łóżku. Sprężyny skrzypnęły cicho, gdy przyjęły jej ciężar. Przez chwilę zawahał się, patrząc na nią. Wyglądała tak dobrze. Tak czysto. Dlaczego taka jak ona szuka kogoś takiego jak on? Potrząsnął głową. To nie ma znaczenia. Kiedy się obudzi, nie będzie go pamiętać. Ale on ją zapamięta.

Odwrócił się od łóżka, od niej i zmusił się by przeszukać pokój. Pamiętnik Henrego był tu. W tym pokoju. Dostrzegł jej bagaż wystający z małej szafki. Zrobił krok w tym kierunku.

Na łóżku, Savannah poruszyła się. Jęknęła i jej grube rzęsy uniosły się. William stanął zszokowany. Niemożliwe! Nie mogła się obudzić. Nie mogła...

-William?

Jej głos był ciężki, ochryply. Brzmiał jak pragnienie, które go ogarniało. Patrzył na nią ze zdumieniem. Pamiętała go. Obudziła się sama, i pomimo przymusu, nadal go pamięta. Niemożliwe. Jak ona... Oblizwała wargi. Podniosła głowę i spotkała się z jego spojrzeniem.

-Pamiętam cię.

Potrząsnęła głową otrząsając się z resztek snu.

-Mówiłam ci, że nie zapomnę.

Powinna była zapomnieć. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się by ktoś oparł się jego przymusowi.

Rozejrzała się po pokoju. Jej wzrok padł na mały obrazek w ramce na nocnym stoliku. Uśmiechnięty mężczyzna o ciemnych włosach i szmaragdowych oczach spojrzał na nią. Drobne łzy zwilżyły jej oczy.

-Pamiętam wszystko. Wszystko.

William usiadł obok niej na łóżku. Chwycił jej głowę i przyglądał się jej uważnie.

-Byłem w błędzie. Nie jesteś taka jak inni.

Położył ręce po obu stronach jej głowy. Savannah poczuła dziwne ciśnienie. To było tak jakby mogła czuć go od wewnątrz w swoim umyśle.

-Co.. co robisz?

Zmarszczył brwi i opuścił ręce.

-Twój umysł ... jest inny.

Przygryzła nieco wargi. Nappełnił ją smutek.

-Jestem bardziej różna niż może to sobie wyobrazić.

Jej ręka znalazła jego. William zamarł

-Potrzebuję twojej pomocy. Proszę.

Jego wzrok pozostał na ich złączonych dłoniach.

-Już ci powiedziałem, nie mogę.

-Musisz mi pomóc.

-Dlaczego?

-Bo jesteś jedynym, który może.

Słabe światło słońca zamigotało przez okno. William wstał nagle.

-Muszę iść.

-William, ja...

-Spotkajmy się o północy, zaskoczyły ją jego słowa. U Jake'a.

-U Jake'a?

Savannah przybyła do miasta tuż przed zachodem słońca. Miała tylko czas na wynajęcie pokoju, zanim wyruszyła na poszukiwania William Darka.

-To bar na Miller Street. Po prostu podążaj za brzmieniem muzyki.

Skinęła głową.

-Będę tam.

Spojrzała nerwowo w stronę okna.

-Czy to jest bezpieczne dla Ciebie...

Odszedł. Wystarczyła chwila aby zniknął. Savannah rozglądała się po pokoju, ale nie mogła znaleźć żadnego śladu, świadczącego o jego obecności. Zniknął. Rozpłynął się w powietrzu. Wstała powoli z łóżka. Nie mogła uwierzyć, że to zrobiła. Po tych wszystkich miesiącach planowania, w końcu to zrobiła.

Usiadła i sięgnął po zdjęcie. Jak zawsze, gdy patrzyła na zdjęcie brata jej klatka piersiowa zwięzała się w cierpieniu.

-Wkrótce, Mark. Obiecuję. Będziesz miał swoją zemstę.
Wkrótce.

Ostrożnie odłożyła ramkę z zdjęciem na swoje miejsce, i z drżeniem rąk otworzyła szufladę nocnej szafki. Wyjęła małą, plastikową buteleczkę. Potrząsnęła nią i dwie tabletki wypadły na jej dłoń. Patrzyła na nieszkodliwe wyglądające białe pastylki. Lekarze zalecili je dla niej miesiąc temu. Miały jej pomóc. Nie pomagały, nic nie mogło jej pomóc. Miały zatrzymać ból. Ale nie powstrzymały go. Czasami. Czasami wstrzymywały ból całkowicie. A czasami wcale. Oczywiście nadal miała koszmary. Wiedział, że nic nie jest w stanie ich zakończyć.

* * * *

Usiadł w najciemniejszym kącie baru, plecami oparł się o twardą, czarną ścianę i czekał na nią. Nie zwracał uwagi na tłum wokół niego. Na taniec. Na śmiech. Uznał, że nic go nie interesuje. Ludzie w barze, w ich ciasny ciuchach, o oczach wypełnionych desperacją, nie wzbudzali jego zainteresowania. Ale ona tak.

W momencie, gdy weszła do baru, wyczuł ją. I poczuł pragnienie. Była ubrana w krótką czarną spódnicę, który sięgała do połowy uda. Jej wspaniałe nogi natychmiast zwróciły jego uwagę. Były długie i smukłe. Delikatnie umięśnione. Jej śmiały, dopasowany top obniżał się ukazując głęboko wycięty dekolt. Jej jędrne piersi były wciśnięte kusząco w bluzkę i uświadomił sobie, że może zobaczyć jej sutki.

Każdy mięsień w jego ciele zacisnął się. Napięty. Spragniony. Zdał sobie sprawę, że inni również zwrócili na nią uwagę. Kilku mężczyzn odwróciło się w jej kierunku by popatrzeć, gdy powoli przemieszczała się przez zatłoczony bar. Jeden głupek nawet wyciągnął i położył rękę na jej ramieniu. William uważnie obserwował mężczyznę, tworząc odpowiednie plany. Gość zapłacił za ten nieostrożny dotyk. Savannah uśmiechnęła się do mężczyzny, a William zobaczyła jak cicho szepnęła coś do niego. Ręka opadła z jej ciała i znów zmierzała w jego kierunku. William wstał i wyszedł jej naprzeciw. Chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

-Co ty najlepszego wyczyniasz?

Jego głos był niskim warknięciem. Podniosła delikatnie jedną kasztanową brew.

-Spotykam się z tobą?

Zwęził oczy.

-Dlaczego jesteś tak ubrana?

-Jesteśmy w barze, przypomniała mu, mały uśmiech uniósł kąćki jej ust. Chciałam się dopasować.

Nie musiała się dopasowywać. Kobieta taka jak ona będzie zawsze wyróżniać się z tłumu.

-Cóż, nie bardzo wtopiłaś się w tłum. Przyciągasz więcej uwagi niż tego chcemy.

Nienawidził sposobu, w jaki inni na nią patrzyli. Nienawidził widocznego pożądanie w ich oczach. A jeszcze bardziej nienawidził własnego spojrzenia, które było wypełnione tą samą oszalałą potrzebą.

Poprowadził ją do własnego stolika. Przynajmniej cień będzie ją chronił przed niektórymi, ciekawskimi spojrzeniami. Przychodząc do Jake'a miał świadomość, że popełnia błąd. Kiedy usiadła, przysiadł się koło niej, przysuwają jej ciało blisko swego. Savannah sięgnęła do swojej torby i wyciągnęła brązowy pakunek.

-Proszę.

William zmarszczył brwi.

-Co to jest?

-Pamiętnik Henry'ego.

Rozszerzył oczy ze zdziwienia. Uśmiechnęła się.

-Pomyślałam, że na pewno chcesz go z powrotem.

Ostrożnie rozpakował cenny dar. Zerwał papier i zapatrzył się w obleczony skórą pamiętnik. Palcami delikatnie przeciągnął po miękkiej okładce. Natrafił na jego rodzinny herb i mógłby przysiąc, że rzeczywiście poczuł ciepło, życie, pochodzące z pamiętnika.

-Dziękuję.

-Proszę bardzo.

Skrzywiła się marszcząc przy tym brwi i rozejrzała po barze. Zespół na scenie grał krzykliwy, liryczny kawałek i masy ciał energicznie tańczyła na małym parkiecie.

-Często tu przychodzisz?

Prawie uśmiechnął się na zadanie przez nią pytanie. Prawie, bo zaraz przypomniał sobie prawdziwy cel jego wizyt u Jake'a. Savannah potrzebowała lekcji, którą zapamięta. Starannie zapakował pamiętnik i schował go do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Później się nim nacieszy.

-Przychodzę tu, kiedy mam... potrzebę.

Zmarszczyła czoło.

-Potrzebę? Nie rozumiem.

No, oczywiście, że ona nie rozumie. Ale wkrótce będzie wiedziała. Pochylił się blisko niej, co ułatwiło mu przesuwanie swojego oddechu po jej delikatnej skórze na szyi. Zapach lawendy drażnił jego nozdrza.

-Savannah, tchnął w nią swoim oddechem i z przyjemnością obserwował jak przepływają przez nią dreszcze. Spójrz na tych ludzi. Co widzisz?

Z nieruchomym wzrokiem oblizwał usta, czyniąc ten mały ruch bardzo zmysłowym.

-Widzę ...

Opuścił rękę i przesunął nią po jej udzie. Podskoczyła.

-Ah ... Widzę, tańczących ludzi. Śmiejących się. Spędzających miło czas.

-Naprawdę?

Zamruczał.

-To nie jest to, co ja widzę.

Pochylił się do przodu i lekko polizął ją po szyi. Sapnęła. Kochał jej smak. Tak bogaty. Tak słodki. Zastanawiał się, czy smak

jej krwi będzie taki sam. I wiedział, z nagłą pewnością, że będzie musiał się tego dowiedzieć. Nie będzie w stanie pozwolić jej odejść. Nie bez spróbowania. Jej smaku.

-Co.. co widzisz?

Zapytała cicho, wyginając szyję. Mógł z łatwością odczytać jej potrzeby. Pragnęła, żeby ją ugryzł. By zatopił zęby w jej delikatnej skórze. Nadal pragnęła pocałunku. Musiał zmusić ją by zmieniła zdanie. Zanim zrealizuje jej pragnienie. I swoje własne.

-Widzę pożywienie.

Jego głos stał się surowy, ciął jak ostrze.

-Widzę krew.

Szarpiąc się, próbowała odsunąć się od niego. Mimo jej wysiłku, trzymał ją w miejscu.

-Spójrz na nich, Savannah. Spójrz na nich. Zobacz, jacy są krusi. Jak delikatni. Tak łatwo ich złamać. Tak łatwo ich zabić.

Uniosła podbródek i spojrzała na niego. Jej oczy błyszczały z lekkim połyskiem łez.

-Próbujesz mnie przestraszyć.

Potrząsnęła smutno głową.

-To nie zadziała. Nie sprawisz, że zmienię zdanie.

-Zobaczymy, warknął i wyciągnął ją z za stołu.

Szła posłusznie, pozwalając mu prowadzić ją na zatłoczony parkiet. Cała ocierały się o niego, gdy przechodził. Jego nozdrza zalał zapach perfum. Tanich perfum. Alkoholu. Sexu. Zastanawiał się, czy Savannah również wyczuła te zapachy. Wątpił w to. Jego zmysł węchu był dziesięć razy silniejszy niż śmiertelnika. Tak jak jego wzrok. Zatrzymał się na środku parkietu. Savannah wpadła na niego.

-Co...

Nie zwracał na nią uwagi. Jego oczy były wpatrzone w mężczyznę, który dotknął jej kilka chwil temu. Był młody jak Savannah, prawdopodobnie nie miał jeszcze dwudziestu lat. Był blondynem o niebieskich oczach. Był wysoki, chudy i miał tatuaż czarnego węża na ramieniu. Facet tańczył ze skapo ubraną blondynką. Jego ręce błądziło po jej biodrach, a jej były zaplątane w jego włosach. William uśmiechnął się. Będzie idealny. I ona też.

-Co robisz?

Savannah zapytała i strach zabrzmiał w jej głosie. Szarpnęła go za ramię.

-Wracajmy z powrotem do stolika.

-Jeszcze nie teraz, mruknął.

Następnie czekał. Mężczyzna spojrzał w górę, jakby go wyczuł. Ich spojrzenia spotkały się. Oczy Williama zapłonęły czerwienią.

-Chodź ze mną, rozkazał.

Mężczyzna skinął głową, jego twarz się rozluźniła. Odepchnął od siebie blondynkę i zrobił krok w kierunku Williama.

-Slade? Co ty robisz?

Blondynka chwyciła go za ramię.

-Nie skończyliśmy jeszcze tańczyć!

Odwróciła się i spojrzała w kierunku Williama. Jej wzrok zapłonął nagłym zainteresowaniem i uśmiechnęła się zalotnie.

-No, cześć, kochanie. Jesteś przyjacielem Slade'a?

-Nie do końca, William mruknął, kierując pełną siłą jego spojrzenie na nią. Dlaczego nie przyłączysz się do nas na zewnątrz? Zamrugnęła. Jej rysy złagodniały, rozchyliła usta.

-Dobrze.

-Przestań!

Savannah szepnęła. Czuł napięcie jej ciała.

-Przestań z nimi pogrywać.

Spojrzał na nią, pozwalając jej zobaczyć żądzę krwi, która wyczierała z głębi jego oczu. Nie pożywił się jeszcze dzisiaj i doskwierał mu potężny głód.

-Nie pogrywam z nimi.

Ruszył do tylnych drzwi. Slade i jego dziewczyna chętnie podążyli za nim. Spojrzał przez ramię. Savannah stała wstrząśnięta na parkiecie, wyraz zgrozy obejmował jej piękną twarz. Dobrze. Powinna być przerażona. Ten horror wyśle ją z powrotem do domu. Z dala od niego. Ta myśl nie przyniosła mu żadnego zadowolenia.

Tłum rozstępował się przed nim. Zobaczył drzwi na zaplecze, metalowe, ich powierzchnia lśniła odbijając fluorescencyjne światło. Jednym kopniakiem otworzył drzwi, zawiasy zazgrzytały w proteście. Przeskanował ciemną aleję. Zabłąkany, czarny kot zamiauczał i wyskoczył za kosza na śmieci. Uśmiechnął się, odwrócił do swoich ofiar, i skinął na Slade'a.

-Chodź tutaj.

Slade ruszył w wielkim pośpiechu, potykając się.

-Nie rób tego.

Savannah błagała, idąc powoli ku niemu.

-Proszę, nie rób tego.

Był zaskoczony, że wyszła za nim. Myślał, że uciekła z baru. Od niego. Widocznie musi zrobić coś, co bardziej ją wystraszy. Patrzył w dół na Slade'a, a człowiek chętnie przechylił głowę w bok, wyginając szyję. William poczuł jak jego zęby swędzą i wydłużają się. Spojrzał na Savannah i uśmiechnął się, pokazując jego bardzo ostre kły.

-Nie martw się, Savannah. To nie będzie go bardzo... bolało.

Pochylił głowę w kierunku obnażonego gardła Slade.

-Nie! krzyknęła Savannah, stając za nim. Puść go!

William warknął i zacisnął uściski na Slade. Nie był w stanie wypuścić swojej zdobyczy.

-Przestań!

Oczy Savannah były szeroko otwarte i błyszcząły. Jej paznokcie wbijały się w jego plecy.

-Po prostu pozwól mu odejść.

Spojrzała szybko na bladą twarz towarzyszek Slade.

-Pozwól im obojgu odejść.

Potrząsnął głową.

-Nie mogę tego zrobić.

-Dlaczego?

Odwrócił głowę i pozwolił jej zobaczyć jego płonące spojrzenie. Niech zobaczy bestię, która była w nim.

-Dlatego, że jestem głodny ...

Jej usta drżały, a jej twarz stała się kredowo-biała. William spodziewał się, że w każdej chwili może rzucić się do ucieczki ciemną aleją. Wzięła głęboki oddech.

-Nie mogę pozwolić Ci go zranić.

Jego uniesione brwi utworzyły łuk.

-Muszę się pożywić.

Uśmiechnął się.

-Potrzebuję krwi.

Odsunęła Slade'a do tyłu i wsunęła się między jego ciało i Williama. Jej oczy spotkały jego.

-Więc weź mnie.

Rozdział 3

Mój brat dzieli ze mną mój sekret, moją udrękę.

Będzie szedł ze mną w cieniu, obok aniołów i demonów przeszłości.

Będzie szedł ze mną przez całą wieczność.

- Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 31 Października 1068.

Żądza zawładnęła nim, myślami o jej śmiałej ofercie. To było to czego chciał, czego pragnął od samego początku, gdy tylko ją zobaczył. Posmakować jej. Napić się z niej. To byłaby ekstaza trzymać jej ciało, poczuć jej piersi wciśnięte w jego tors. Jego cało napięło się na tą myśl. Mógłby znaleźć się w niebie. Lub, co najwyżej bardzo blisko nieba, w każdym bądź razie bliżej niż kiedykolwiek był.

-Weź moją krew, jej miękki głos prosił, kusił.

Bestia w nim szalała. Czuł jak jego kontrola słabnie. Chciał napić się od Slade'a, biorąc tylko tyle krwi, aby wytrzymać do następnej pełni księżyca. Chciał go wystraszyć, ukarać za śmiałe zachowanie wobec Savannah. I nastraszyć Savannah, zmusić ją by uświadomiła sobie realia jego egzystencji. Zmusić ją by porzuciła szalony pomysł o zostaniu wampirem. Upodobnieniu się do niego. Ale wydawało się, że jego plan nie działa. Nie była taka jak przewidywał. I jego głód wychodził spod kontroli.

-Odejdźcie, warknął.

Slade i jego blond towarzysza poszli w dół alei. Nie będą pamiętać o spotkaniu z nim. Wprowadził silne zaklęcia do ich umysłów. Z Savannah to zupełnie inna sprawa. Jego zaklęcia zupełnie na nią nie działały. Będzie pamiętała dzisiejsze spotkanie. Będzie pamiętała każdy szczegół. Dźwięki oddalających się szybko kroków rozchodził się echem w oddali, a oni nadal patrzyli sobie w oczy.

Światło księżyca spłynęło na Savannah i owinęło ją delikatnym blaskiem. W bladym świetle, wyglądała jak istota nie z tego świata.

Jak anioł, który spadł na ziemię. Jego wzrok dryfował między kubłem na śmieci, a ciemnym zaułkiem alei. *Albo do piekła.*

-Zamierzasz to zrobić? spytała, podnoszą rękę do gardła.

Śledził jej ruch, wpatrywał się w miejsce na szyi, gdzie rozpaczliwie uderzał puls. Chciał przycisnąć swoje usta do tego miękkiego miejsca. Przesunąć po nim językiem.

-Chcę, żebyś to zrobił, szepnęła.

Jego kontrola się zachwiała. Chwycił ją, jednocześnie popychając w stronę chropowatego muru z cegieł.

-Uważaj o co prosisz, słodka Savannah, bo jeszcze to dostaniesz.

I zrobił to czego pragnął przez całą noc. Położył swoje usta na jej, wargami uwięził ją w pocałunku pełnym głodu i namiętności. Jej usta były gorące, na wpół otwarte, wilgotne. Jej język wyszedł na jego spotkanie, a jej ręce szczelnie owinęły się wokół jego ramion. Przyciągnęła go bliżej, do swojego ciepłego ciała. Była płomieniem ciepła, życia, a on był zimny, tak zimny, przez bardzo długi czas.

Zanurzył rękę w jej włosach, miękkie pukle przepływały mu między palcami. Przechylił jej głowę do tyłu, aż otworzyła swoje przepyszne usta, umożliwiając mu głębszą penetrację językiem. Jej smak, był dokładnie taki jak sobie wyobrażał. Słodki i odrobinę dziki. Nie mógł się nią nasycić. Chciał więcej. Więcej. Wszystkiego, co mogła mu dać.

Jego twarde ciało mocno naprało na jej miękkie biodra. Pchnął delikatnie, pozwalając jej poczuć jak bardzo jest podniecony. Jak bardzo głodny. Nigdy nie pragnął tak mocno kobiety. Nigdy. Nie słyszał odgłosów samochodów, jadących przez główną ulicę. Nie słyszał śmiechu i rozmów dobiegających z baru. Zapomniał o brudnym zaułku. Jego myśli były skupione tylko na niej. Powoli pieścił, łagodnie jej wargi, napierając leciutko, sprawił, że się rozchyliły. Drażnił językiem kąciki jej ust by ponownie wniknąć w ich wnętrze.

Jęknęła cicho, a w tym dźwięku słychać było tęsknotę. Przesunął powoli usta na jej podbródek, potem dalej w dół, po krzywiźnie jej szyi. Lizął ją, smakując sól na jej nagiej skórze. Czuł jej puls, wibrujący pod jego wargami. Mógł wyczuć jej zapach, otaczający go zapach lawendy. Delikatnie ssał jej gardło.

-Zrób to, szepnęła, jej głos był ochryply, uwodzicielski.

A on nie był już w stanie dłużej się oprzeć. Zatopił głęboko zęby. Szarpnęła się, jej ciało drgało w jego ramionach. Jedną ręką ostrożnie,

przytrzymał tył jej głowy. Drugą ciasno, przyciskał jej biodra do swoich. Naprał na nią. Jego wargi piły z niej.

Jej krew była najśłodsza jaką, kiedykolwiek kosztował. Tak czysta. Tak dobra. Nie wiedział, czy kiedykolwiek będzie miał dość tego smaku. Pił, biorąc jej najgłębszą esencję, kochając uczucie jej obecności w jego ramionach. Kochając jej smak. Zadrżała, opuściła powoli powieki. Jej cało zaczęło się osuwać, odginać nieznacznie od niego. Podciągnął ją z powrotem, jego język zlizywał krople krwi, które spływały po jej gardle.

Pragnienie nadal w nim było. Chciał zedrzeć z niej ubranie, aby mieć jej piękne, nagie ciało pod sobą. Chciał zatopić się w niej, głęboko, aż nie będzie mógł powiedzieć, gdzie on się kończy, a ona zaczyna. Jego cało potrzebowało jej.

-Czy ...

Przerwała i zwilżyła usta.

-... dostałeś to, czego chciałeś?

Jej głos był ochrypliwy, matowy. Patrzył na nią.

-Nie, ale dostanę ... wkrótce.

Zmarszczyła brwi, a jej ciało zakołysało się ponownie.

-William? Ja...

Jej głowa opadła, a ona znów zaczęła się osuwać. Złapał ją łatwo w ramiona, podnosząc wysoko i przyciskając do swojej klatki piersiowej. Przeklinał cicho. Wziął od niej za dużo krwi. Jest drobną kobietą, delikatną. Powinien był bardziej uważać.

Prawdę mówiąc, nigdy nie powinien był jej dotykać. Zaspokoił pragnienie Savannah i teraz te same pragnienia szalały w nim. Jeśli nadal ma jakieś resztki sumienia to powinien pozwolić jej odejść. Mógłby odesłać ją daleko, daleko od potwora, którym się stał. Ale jego sumienie umarło dawno temu. Umarło, przesiąknięte krwią na polach Francji. Umarło w chwili, gdy zabił swojego brata. Jego ręce nadal obejmowały Savannah. Była pierwszą rzeczą, której chciał, której potrzebował, od prawie tysiąca lat. I nie zamierzał pozwolić jej odejść.

* * * *

Savannah obudziła się, w jej głowie rozbrzmiewało echo krzyku umierającego brata. Dyszała, mocno i szybko, a jej serce wściekle łomotało w piersi.

-Już w porządku, męski głos szeptał z ciemności obok łóżka. Jesteś bezpieczna.

Savannah zamarła. Znała ten głos.

-William?

Podniosła się by zobaczyć go w ciemności. Wyszedł do przodu, a światło księżyca z otwartego okna oświetliło całą jego sylwetkę. Rozejrzała się po nieznanym otoczeniu.

-Gdzie jesteśmy?

Potrząsnęła głową, starając się przypomnieć sobie, jak znalazła się w tym miejscu i w tym łóżku.

-W moim domu.

Utkwił w niej swoje irytujące spojrzenie. Savannah odsunęła koldrę i prędko wstała. Zachwiała się. William szybko znalazł się przy niej. Chwytał ją za ramię.

-Ostrożnie. Nie ruszaj się tak szybko.

Jej cało rozgrzało się od jego dotyku, a ona odwróciła od niego swoje spojrzenie, przesuwając nim po pokoju. Próbując znaleźć coś, coś innego, na czym mogłaby się skupić.

Światło księżyca przedostało się przez okno i rozświetliło pokój. Wiedziała, że meble to antyki wykonane z ciężkiego wiśniowego drewna. Ogromne łóżko z baldachimem stało na środku pokoju. Biały, jedwabny baldachim spływał z góry na łóżko. Toaletka oraz lustro znajdowały się przy ścianie. W lustrze odbijało się jasne światło. Srebrna szczotka i grzebień pasujące do siebie idealnie, leżały na blacie komódki. Wyglądały tak jak by nigdy nie były używane

-Jak się tu dostałam? zapytała z zaciekawieniem. Ostatnie, co pamiętam to, że byłam w alei...

Zmarszczyła czoło, starając się przypomnieć sobie ostatnie chwile. Zesztywniała.

-Ja cię tu przyniosłem, zaraz po...

-Ugryzłeś mnie, szepnęła, dotykając ręką gardła. Pamiętam, że mnie ugryzłeś! Wziąłeś moją krew.

Sięgnęła po lusterko. Usiadła na krześle i spojrzała na swoją szyję. Gdzie to jest. Tam...dwa małe ślady, małe nacięcia na jej gardle. Stał za nią, a ona w oszołomieniu spojrzała na niego.

-Widzę cię, powiedziała półgłosem.

Uniósł ciemną brew.

-W lustrze. Widzę cię.

Uśmiechnął się.

-Oczywiście, że mnie widzisz. Dlaczego nie mogłabyś mnie zobaczyć?

-Ale ... legendy mówią ...

Pochylił do niej głowę i badał miejsce po ugryzieniu.

-Zapomnij o legendach. Tylko połowa jest prawdziwa.

Zmarszczył brwi.

-Przepraszam za to, że cię skrzywdziłem.

Zaskoczona, patrzyła na niego. Zaciśnął szczęki.

-Wbrew temu co o mnie myślisz, ja naprawdę nie rozkoszuję się w krzywdzeniu ludzi.

Gorący rumieniec pojawił się na jej policzkach. Nie był taki jak się spodziewała. W rzeczywistości oczekiwała, że będzie czuła do niego odrazę, że będzie dla niej odpychający. W końcu przecież był zabójcą, wampirem. Ale kiedy dotykał jej w alei, nie czuła odrazy. Czuła...pożądanie.

Kiedy ją całował, dotykał, ogień rozpalał całe jej ciało. Nie zważając na swój rozsądek, pragnęła go. Nie miało dla niej znaczenia, gdzie są ani że ktoś ich zobaczy. Nie dbała o brudną ścianę, ani o śmieciach na ziemi. William był wszystkim o czym myślała. Ta wiedza zawstydziła ją głęboko. Musiała dotrzymać obietnicy. Nie mogła o niej zapomnieć teraz, ani na chwilę.

-Ugryzłeś mnie raz, szepnęła, odwracając twarz do niego, podnosząc na niego wzrok. Ugryziesz mnie jeszcze dwa razy?

Wiedziała, że potrzeba trzech ugryzień by przemienić człowieka. Trzy ugryzienia i wymiana krwi.

-Nie.

Uciał krótko. Odszedł od niej i stanął przy otwartych na balkon drzwiach. Savannah podążyła za nim.

-Co to znaczy, że nie? Musisz!

Wszedł powoli na balkon, odchylając głowę do tyłu i patrząc na księżyc w pełni.

-Nie muszę nic robić.

Ostrzeżenie. Dreszcz przeszedł po kręgosłupie Savannah, wywołany dźwiękiem stali w jego głosie. Ale nie mogła już zawrócić.

-Dlaczego więc mnie ugryzłeś, skoro nie zamierzasz mnie przemienić?

Ze złości zacisnęła ręce w pięści. Obrócił się do niej twarzą, a światło księżyca zdawało się świecić w głębi jego oczu.

-Chciałem cię posmakować, wyszeptał, jego głos brzmiał jak zmysłowy pomruk. Musiałem cię posmakować.

Przełknęła. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Jej zdziwienie musiało być widoczne, ponieważ maska gniewu przetoczyły się przez jego twarz.

-Czuję, Savannah, pragnę, mam takie same potrzeby jak każdy człowiek.

-Ale nie jesteś człowiekiem, odparła.

Był kimś więcej. O wiele więcej.

-Ale mam ludzkie potrzeby.

Jego oczy przesunęły się w dół po jej ciele, zatrzymując się na krzywiźnie jej piersi i biodrach.

-Ludzkie pragnienia.

Poczuła jak ciepło rozlewa się w jej brzuchu. Wstrzymała oddech. Podszedł do niej, podniósł rękę i delikatnie opuszkami palców przesunął po jej policzku.

-Pragnę tak jak każdy inny mężczyzna.

Zacisnął usta.

-I odkryłem, że bardzo mocno cię pragnę.

-Więc, dlatego mnie ukąsiłeś, stwierdziła cicho, jej głos był spokojny, matowy w ciemnościach nocy. Ponieważ mnie pragnąłeś.

To odkrycie nią wstrząsnęło. William zabrał swoją rękę z jej twarzy. Nagle zrobiło się jej bardzo zimno, bez tego dotyku. Podszedł do krawędzi balkonu i spojrzał w dół na góry

-Moje pragnienia, potrzeby mogą być śmiertelne.

-Nie dla mnie, starała się go uspokoić.

Spojrzał przez ramię.

-Szczególnie dla ciebie. I nie skorzystam z tej szansy, narażenia cię na niebezpieczeństwo. Chcę, abyś odeszła o brzasku.

Przysunęła się do niego.

-Nie odejdę.

-Musisz!

Warknął, odwrócił się do niej, jak osaczone zwierze.

-Jeśli zostaniesz, wezmę cię. Pragnę cię tak jak jeszcze nigdy nikogo w ciągu całej mojej egzystencji. Jestem spragniony ciebie. Twojej krwi. Twojego ciała. Twojego życia.

Savannah uniosła podbródek.

-Nie boję się ciebie. Ani tego, co może mi zrobić.

W jej sercu nie było miejsca na strach.

-Zabiję cię, powiedział, udreńczonym głosem. Zabijam każdego, kto zbliży się do mnie.

-Więc mnie przemień. Jeśli tak się o mnie martwisz to zmień mnie. Daj mi nieśmiertelność!

Miał mizerny wyraz twarzy.

-Chcesz, żebym skazał cię na życie w ciemności?

Niekończącego się głodu i śmierci? Samotności? Bo jeśli staniesz się taka jak ja, właśnie to dostaniesz.

Wzięła głęboki oddech i wyprostowała ramiona. Nadszedł czas, aby okryć swoje karty ze stołu. Nie było wyboru. Nadszedł czas na prawdę.

-A jeśli nie stanę się taka jak ty, to umrę.

William zamarł.

-Co?

Jego oczy zapłonęły ogniem.

-Słyszałeś mnie.

Jej głos drżał.

-Umrę.

Potrząsnęła głową.

-Jak myślisz, dlaczego przyszedłam do ciebie? Jak myślisz, dlaczego spędziłam tyle czasu, żeby cię odnaleźć? Ja umieram, Williamie. I tylko twój pocałunek może mi pomóc.

Chwycił ją za ramiona.

-Jesteś umierająca?

Połknęła gulę w gardle.

-Lekarze mówią, że zostało mi sześć miesięcy, jeśli będę mieć szczęście.

-A jeśli nie będziesz mieć?

Jego blizna odznaczyła się bielą na jego policzku.

-Dwa miesiące.

Zaklął wściekle i zamknął oczy.

-Jak widzisz, nie mam nic do stracenia.

Musiała zmusić go by zrozumiał, by wysłuchał. Musiał dać jej ten pocałunek! Powoli otworzył oczy i patrzył na nią, jego pytanie było pełne ekspresji.

-Co jest nie tak z tobą?

Potarła swoje pulsujące skronie zmęczonymi dłońmi. Co było z nią nie tak ? Nie mogła sobie przypomnieć jakie to uczucie się być zdrową, silną. Ostatnie pięć lat swojego życia spędziła w szpitalu. Przechodząc przez niekończące się badania. Niekończące się zabiegi. Nic jej nie pomagało. Nic nie mogło jej pomóc.

-Mam guza mózgu.

Jej głos był zupełnie spokojny. Przywykła już do informowania o tym ludzi. Brzuch już się nie zaciskać. Ręce nie trzęsły.

-Na pewno lekarze...

Potrząsnęła głową.

-Nic nie mogą zrobić. Starali się. Wierz mi, że próbowali, ale ...

Wzruszyła ramionami. Jego oczy zdawały się płonąć, gdy patrzył na nią. Jego twarz wyglądała jak wykuta z kamienia. Czy jej słowa do niego dotarły? Czy teraz jej pomoże?

-Rozumiesz, prawda? Zrozumiałeś, dlaczego potrzebuję tego pocałunku?

Czekała z nadzieją, przygniatającą jej serce. Odwrócił się od niej i wpatrywał się w noc.

-Nie, nie rozumiem.

Urwał, jakby zamyślony.

-Powiedziałaś, że nie ma nic do stracenia. Mylisz się. Nadal masz duszę.

W przeciwieństwie do Savannah, William stracił duszę dawno temu. W chwili, gdy Henry wydał ostatni, drżący oddech. W momencie, gdy krew przestała wpływać z jego ran na piersiach, dusza William odeszła. I po prostu nie mógł zmusić się do zniszczenia duszy Savannah.

-A więc masz zamiar pozwolić mi umrzeć?

Jej głos był ostry, przepełniony złością. William poczuł jak gardło ściska mu się na te słowa. Pozwolić jej umrzeć? Wzdrygnął się na tą myśl. Miała w sobie tyle siły, tyle pasji. Poruszył się szybko, by schwycić ją i przytulić do swojej klatki piersiowej.

-Pomogę ci. Jestem bogaty. Mogę wysłać cię do najlepszych lekarzy w kraju...

Jej oczy zabłyśły.

-Czy ty mnie słuchałeś? Lekarze nie mogą mi pomóc! Umieram, Williamie. Ja umrę zanim ten rok dobiegnie końca.

William wiedział, że obecnie lekarze mogą dokonywać cudów. Nie było tak za jego czasów. Chorobę można wyleczyć.

-Pod dobrą opieką...

Roześmiała się histerycznie.

-Pod dobrą opieką? Grzebali w moim mózgu. Ogolili mi głowę i rozkrajali mi mózg. Potem powiedzieli, że nie ma zagrożenie. Że nie ma raka.

Wzięła głęboki oddech.

-W ciągu dwóch lat, nowotwór powrócił. I był większy niż przedtem. Zaczęli ponownie poddawać mnie badaniom. Terapią. Zastrzykom. Ale nic nie działało. Nic.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

-Lekarze nie mogą mi pomóc. Tylko ty możesz.

Zacisnął szczęki, słysząc ból w jej głosie. Widząc obrazy jakie wywołał w jego umyśle.

-Proszę.

Delikatny szept.

-Pomóż mi.

Księżyc pieścił jej skórę, oświetlające dwie łzy, które spływały delikatnie po jej policzku. Złapał te łzy na palec, patrzył na nie ze zdziwieniem. Savannah chwycił go za rękę.

-Williamie, proszę.

Wyglądała tak pięknie w świetle księżyca. Tak czysto. Tak żywo. Czy może tak naprawdę stać i patrzeć jej śmierci ją zabiera? Jej błagający wzrok kontrastował z zaległą ciszą. Jej jędrne piersi dociskały się do jego w klatki piersiowej. Ciepło z jej ciała wciągało go, owijało się wokół niego. Delikatny zapach lawendy wzniósł się po raz kolejny, drażniąc jego nozdrza.

-Proszę. Zrobię wszystko czego chcesz ...

Jego ciało usztywniło się, a żądza przetaczała się przez niego.

-Uważaj, co oferujesz, słodka Savannah.

Potrząsnęła głową i przycisnęła się do niego jeszcze bliżej.

-Nie, wyznacz cenę. Jeśli to mam, oddam to tobie, przysięgam!

Potrzeby i głodu walczył z jego postanowieniem.

-Wszystko, szepnęła zrozpaczonym głosem.

-Dlaczego? Dlaczego, Savannah?

Przygryzła nieco warg i opuściła powiek, skrywając się przed jego spojrzeniem.

-Ze względu na Marka.

-Kim jest Mark?

William zapytał cicho, mimo że nieznana wściekłość przetoczyła się przez niego.

-Twoim kochankiem?

Ryknął i przeszył ją ostrym spojrzeniem.

-Martwym człowiekiem.

William zmarszczył brwi. Savannah odsunęła się od Williama i potarła ramiona, mówiąc sobie, że chłód który poczuła, był spowodowany przez nocne powietrze, a nie przez wspomnienie o jej bracie.

-On nie żyje prawie od roku.

-Przykro mi.

Głos William był przyjazny.

-Śmierć nigdy nie jest łatwa.

I on o tym wiedział. Savannah skinął głową, przyjmując jego sympatię. Po miesiącu od śmierci Marka, nienawidziła pustych słów, które płynęły od jej przyjaciół. Nie rozumieli, co ona przechodziła. Nie rozumieli, co ona czuła. On rozumiał. Wiedział to. William rozumiał jej strategię.

-Co mu się stało?

-Został ... zabity.

Krzyki rozbrzmiały echem w jej głowie, a widok krwi wypełnić jej wizję. William wpatrywał się w nią intensywnie. Światło księżyca wydawała się odbijać od jego oczu by z powrotem znaleźć się na niej.

-Jak zginął?

Wzięła głęboki oddech.

-Zabił go wampir. Jego i jego żonę.

Byli małżeństwem nieco ponad rok. Wynajęli mały domek w lesie, planowali uroczy, romantyczny weekend.

-Skąd wiesz, że to był wampir?

-Mark i ja byliśmy bliźniakami. Zawsze był między nami szczególny związek. A gdy nastąpił nawrót choroby, coś mi się stało. To ... mnie zmieniło. Zmieniło mój umysł. Po tym, Mark i ja byliśmy tak blisko emocjonalnie, byliśmy...

Urwała, nie wiedziała, jak to właściwie wyjaśnić.

-Zdarzało się, że mogłam odczytać jego myśli. Widzieć jego sny. Byliśmy połączeni. Bardziej związani, niż byłam kiedykolwiek z inną osobą.

Początkowo połączenie było przerażające, przytłaczające. Ale potem, z każdym dniem, przyzwyczaiła się do uczucia solidarności z cudzym umysłem, cudzymi myślami. William raz skinał głową, przyjmując jej słowa.

-Czy byłeś z nim połączona, w noc jego śmierci?

Przełknęła i spojrzała swoje ręce. Były mocno zaciśnięte w pięści.

-Myślałam, że to był tylko koszmar. Widziałem jego, widziałem Sharon, wyglądali na tak szczęśliwych.

Kiedy zamknęła oczy, mogła nadal ich zobaczyć, siedzących przy ogniu, śmiejących się, całujących.

-Ktoś zapukał do drzwi.

Jej głos był pusty, drewniany.

-Mark ledwo otworzył drzwi przed ... on zaatakował go. Dreszcz udreki przeszył jej ciało.

-Jego oczy, oczy, poprawiła, były czerwone, jakby płonęły ogniem. Złapał Marka za szyję i rzucił nim przez pokój.

Krzyk rozbrzmiał echem w jej głowie.

-Zabił Sharon. Zanim zdążyła wstać, już nie żyła. Krew spływała po jej szyi. Jej sukni. Podłodze ...

Jej oddech zaczął przyspieszać.

-W pewnym momencie Mark zorientował się, co się dzieje, że Sharon już nie ma. A następnie ta kreatura wróciła do niego ...

Nie mogła, nie chciała powiedzieć mu jaka tragedia dotknęła Marka. On był torturowany, brutalnie torturowany, zanim otrzymał

pozwolenie na śmierć. W końcu, to on błagał swego zabójcę, aby zakończył jego męki. Człowiek śmiał się, zdawał się cieszyć z bólu Marka, jego udręki. William nie powiedział ani słowa. Patrzył na nią z niezachwianą intensywnością, jakby zaglądał w jej duszę.

-Kiedy się obudziłam, powiedziałam sobie, że to był tylko koszmar. Że z Markiem wszystko w porządku. A potem zadzwonił telefon.

Smutny uśmiechem zagościł na jej ustach.

-To był policjant. Powiedział mi, że mój brat nie żyje. Że znaleźli jego ciało w leśnej chacie.

-Przykro mi, Savannah.

Jego głos był miękki, szczery. Ledwo go słyszała. Jej wzrok był zamglony, przeglądała sceny wypełnione krwią, tylko to widziała.

-Weszłam do domku. Pojechałam tam tak szybko jak tylko mogłam. Krew była wszędzie. Widziałam Marka. I Sharon. Wyglądało to tak, jakby rozszarpało ich dzikie zwierze.

William dotknął jej ramienia, a ona zamrugnęła, koncentrując się na jego ciemnym spojrzeniu.

-Ale to nie było zwierze. To był wampir.

-A ty masz zamiar go wytropić? Wytropić wampira, który zabił twojego brata?

Niedowierzanie brzmiało w jego głosie.

-Muszę.

Ona nie mogła spocząć, dopóki jej brat nie zostanie pomszczony. I nie może dopuścić, aby to coś było tam, zabijając niewinnych ludzi. Smutnym uśmiechem objął zmysłowe usta Williama.

-Nie masz żadnych szans. Nie ma sposobu, abyś pokonała wampira. Nie masz takiej siły.

Gniew zabarwił jej policzki na te lekceważące słowa.

-Nie mam tej siły teraz, ale będę jeśli mnie zmienisz.

Mając siłę nieśmiertelnego mogłaby powstrzymać potwora.

William spojrzał na nią.

-Moja biedna, zagubiona wróżko. Naprawdę nie rozumiesz, co? Nawet, jeśli cię przemienię, to nie znaczy, że uzyskasz odpowiednią siłę aby pokonać innego wampira. Siła wampira wzrasta wraz z jego wiekiem. Ty byłabyś jak dziecko w porównaniu do zabójcy twojego brata.

Wzruszył ramionami.

-Jego moc mogła się trwożyć przez wieki.

Savannah zbladła. Jej myśli gorączkowo kłębiły się w jej umyśle.

-Ty posiadasz takie moce.

On stał się nieśmiertelnym od bitwy pod Hastings. Musiał mieć ogromną moc.

-Możesz mi pomóc go pokonać. Możesz nauczyć mnie, pokazać mi, co muszę wiedzieć.

-Mógłbym, zgodził się wolno, jego twarz nic nie wyrażał, ale dlaczego ja?

Sapnęła na tą obojętność w jego słowach, na ten zimny ton.

-Nadszedł czas, abyś odeszła.

Odwrócił się od niej.

-Przykro mi z powodu twojej straty, ale nie ma nic, co mógłbym dla ciebie zrobić.

Wrócił do domu. Savannah ruszyła za nim, pozostawiając otwarte drzwi na balkon.

-Jak możesz odwracać się ode mnie?, zapytała cicho, zmieszana. Czytam pamiętnik Henry'ego. Wiem, jakiego rodzaju człowiekiem jesteś.

Zastygł.

-Nie masz na myśli tego rodzaju człowiek, jestem byłem?

Znow spojrzał na nią przez ramię.

-Jak zauważyłaś wcześniej nie jestem człowiekiem. Jestem wampirem, mordercą, jak ten który zaatakował twoją rodzinę.

Gdy uśmiechnął się do niej, jego ostre zęby błysnęły. Nie chciała poddać się nagłemu strachowi, który przetoczyły się przez nią. Przyskoczyła do niego, łapiąc go za ramiona.

-Nie, nie jesteś. Nie jesteś taki jak on. Czytałam pamiętnik. Wiem.

I wiedziała. Czowała głęboko w środku. Odepchnął ją od siebie.

-Ty nic nie wiesz.

Jego słowa były czymś więcej niż ryk. Podniósł rękę i przesunął ją po jej gardle.

-Mógłbym cię teraz zabić, ty nie mogłabyś nic zrobić aby mnie powstrzymać.

-Nie zabijesz mnie, szepnęła. Nie skrzywdzisz mnie.

Jej wzrok spotkał się z jego w niemym pojedynku. Przestał się uśmiechać. Głód odbił się na jego twarzy. Żądza płonęła w jego oczach.

-Nie mógłbym?

Rozdział 4

Istnieje cena za ten dar. Przerazająca cena.

-Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 5 Listopada 1068.

Podbródek Savannah uniósł się, a ona odważnie wpatrywała się w niego.

-Nie boję się ciebie.

-Powinnaś. Powinnaś być przerażona.

Powiedział chłodno.

-Nie boję się ciebie, powtórzyła spokojnie. Ale myślę, że to ty boisz się mnie.

Szarpnął się do niej, jak gdyby chciał ją uderzyć.

-Niczego się nie boję. Ani nikogo.

-No, oczywiście, Mroczny Rycerz nie odczuwa strach, powiedziała, używając tytułu jaki przyłgnał do William po jego licznych zwycięstwach. Ale nie przyznając się do niego, nie oznacza, to że on nie istnieje. To nie znaczy, go nie czujesz.

Wykrzywił usta.

-A dlaczego miałbym się ciebie bać, maleńka?

Podniosła brew.

-Nie wiem Mroczny Rycerzu. Dlaczego?

Zmrużył oczy. Czy to kolor przyciemnił jego policzki? Nie wiedziała, nie była pewna. Światło księżyca nie było wystarczająco jasne. Owinął i zacisnął ręce wokół niej, odsuwając ją od klatki piersiowej.

-Nie boję się ciebie, mruknął ze złością. Ale pragnę.

Jej serce skoczyło. Niech Bóg jej pomoże, bo ona również go pragnęła.

-Chcę pić z ciebie, smakować słodkiego nektaru twojej krwi. Chcę zatopić się w tobie, zatrzymać cię przymnie, warknął.

Pochylił się, liżąc smukłą kolumnę jej gardła. Drgnęła, płynny żar zebrał się w dole jej brzucha.

-Pragnę ciebie, jak jeszcze nigdy nie pragnąłem nikogo.

Był zły, prawie wściekły, gdy wygłaszał te deklaracje. Jej ręce zaczęły gładzić jego szerokie barki, ramiona. Pod jej dotykiem stawały się twarde jak stal. Jego tors otarł się o jej piersi, doprowadzając szczyty jej sutków do napięcia, słodkiego bólu. Sapnęła, ogłuszona przez przepływające przez nią uczucia. Nic w jej ograniczonych doświadczeniach nie przygotowałoby ją na to, na niego.

Jego zęby znów otarły się o jej gardło. Wygięła szyję w łuk, otwierając się na niego, na jego kły. Z rykiem odepchnął ją od siebie. Jego tors wznosił się i opadał w szybkim, urywanym rytmie. Spojrzał na nią, głód wyzierał z jego twarzy. Potrzeba przepłynęła przez jej ciało. Savannah zacisnął dłonie w pięści, walcząc z pragnieniem, aby podejść do niego, owinać swoje ręce wokół niego.

-Chcesz mojego pocałunku.

Bestia patrzył na nią zza twarz człowieka.

-I chcesz mojej siły do pomocy w śledztwie.

-Tak, szepnęła, zastanawiając się na nagłą zmianę jaka w nim zaszła.

-Jak daleko się posuniesz, spytał cicho, aby wymierzyć swoją sprawiedliwość?

-Mówiłam ci, zrobię wszystko.

I robi. Zrobi wszystko co będzie konieczne by szukać sprawiedliwości dla brata. Uśmiechnął się i przez chwilę, przez krótki moment prześlizgnął się po niej strach.

-Dam ci to, czego chcesz, słodka Savannah. Umożliwię cię zemstę, której tak szukasz i dam ci pocałunek, którego tak potrzebujesz.

Urwał.

-A w zamian...

Jego wzrok zachłannie obejmował jej ciało. Przełknęła i uniosła podbródek.

-A w zamian?

-Chcę ciebie.

Te niskie i szorstkie słowa zmroziły jej serce.

-Nie rozumiem.

-Jeśli mam ci dać ten pocałunek, to wtedy chcę ciebie. Chcę, żebyś została ze mną. Żebyś stała się moją towarzyszką. Moją kobietą.

Jej oczy rozszerzyły się. Na pewno nie miał tego na myśli. Zaczęła się śmiać, wysoko i nerwowo.

-Nie mówisz poważnie. Ty...

-Nigdy nie byłem bardziej poważny.

Jego szczęka była mocno zaciśnięta.

-Jeśli chcesz swojej sprawiedliwości, będziesz musiała zapłacić za to cenę.

-To znaczy, że będę musiała sprzedać samą siebie, odparła.

Nie mogła uwierzyć w ofertę jaką zaproponował. Dlaczego? Dlaczego on to robi?

-Myślałam...mówiłeś, że nienawidzisz szantażu.

Podniósł jedną brew. Usta wygiął szyderczo.

-No tak, ale to nie jest szantaż. To jest umowa.

Więc to się czuje, gdy oddaje się duszę diabłu. Savannah patrzył na William rozbieganym wzrokiem i wiedziała, że nie ma wyboru.

-Na jak długo?

Zastygł.

-Słucham?

To pytanie wydawało się brzmieć dla niego obco.

-Jak długo będę musiała zostać z tobą?

Spytała i spłoniła policzki. Podszedł dwa kroki do niej. Podniósł rękę i delikatnie pogłaskał jej policzek.

-Oczywiście, że na zawsze.

Na zawsze. Jej skóra wydawała się płonąć pod jego dotykiem.

-I co będę musiała robić jako twoja....towarzyszka?

Nie mogła się zmusić to wypowiedzenia słowa kobieta. Śledził opuszką palca delikatny zarys jej ust.

-Będiesz moją kochanką. Będziesz dzielić ze mną mój dom, moje łóżko.

-Będę twoją dziwką, powiedziała cicho, czując jak fala wstydu i gniewu przepływa przez nią.

-Nie!

Spojrzał na jej twarz. Zastanawiała się nad gniewem, który ujrzała w jego oczach. Wziął głęboki oddech, pozornie walcząc o kontrolę.

-Będziesz moją kobietą.

Przełknęła, była zaskoczona jego determinacją.

-Dlaczego ja? Mógłbyś mieć każdą gdybyś tego zapragnął.

I wiedziała, że to prawda. William miał nieodparty urok, był tajemniczy. Na pewno mógł mieć każdą kobietę, bez obietnicy nieśmiertelności.

-Chcę ciebie, powiedział po prostu. Nie chcę nikogo innego.

Zmieszła się, zaskoczona jego odpowiedzią. William zaklął i spojrzał w stronę otwartych drzwi balkonu.

-Zaczyna świtać. Muszę odejść.

Cofnął się, zmieszany patrząc na nią.

-Weź dzień na przemyślenie mojej propozycji. Gdy zapadnie zmrok przyjdę do ciebie.

Skinęła głową i patrzyła w milczeniu, kiedy szedł przez pokój. Stał w drzwiach i odwrócił się twarzą do niej.

-Jeśli nie będzie cię tutaj, gdy wrócę, będę wiedzieć jakiego dokonałaś wyboru i zaakceptuję go. Ale jeśli nadal tu będziesz... Zwężył wzrok i powiedział brutalnie.

-Jeśli będziesz tu nadal, będziesz moja. Na zawsze.

Drzwi zatrzasnęły się za nim, a dźwięk jego słów rozbrzmiewał w sercu Savannah.

* * * *

Jestem głupcem. Czy musiał złożyć jej tą śmieszoną propozycję? William leżał na łóżku, bezpieczne w tunelach pod jego dom, i zastanawiał się nad szaleństwem, które przetoczyło się przez niego. Co go popchnęło do złożenia tej diabelskiej oferty Savannah? Nadal widział gniew w jej oczach, mógł odczytać wściekłość, która pojawiała się na jej twarzy. Westchnął i przesunął się na łóżku, ogarnęła go frustracja. Czy ona nadal tam jest? Czy jest w domu, nad nim? Czy już uciekła od niego? Niski pomruk zawibrował mu w gardle.

Nienawidził bycia uwięzionym w tunelach. Ale to było jedyne wyjście. Przeskanował szybko pokój, zastanawiając się, co Savannah

powiedziałyby o miejscu jego spoczynku. Pokój był duży z granitową podłogą, którą sprowadził z Włoch. Ściany zastawione regałami i dwa przestronne krzesła stały w koncie. Jego łóżko stało na środku pokoju. Tak jak w pokoju Savannah było ogromne, z czterema kolumnami, wykonane z bogatego, wiśniowego drewna.

Pewnie myśli, że sypia w trumnie. I, w zasadzie tak było na początku, gdy stał się wampirem. Trumna chroniła go przed wrogimi promieniami słońca. Ale od tamtego czasu wiele się zmieniło. Przez wieki dowiedział się bardzo dużo o swej wampirzej naturze. Opanował swoją siłę. Nauczył się polować. Nauczył się jak przeżyć. I nauczył się być sam. Wtedy do jego świata wkroczyła Savannah.

Zastanawiał się jakie to będzie uczucie dzielić z nią jego łożo. Położyć ją na satynowej pościeli i wziąć ją. Zamknął oczy, starając się wyprzeć te wizje ze swojego umysłu. Ale w ciemności, te obrazy nadal go męczyły. Widział ją tak wyraźnie. Jej jedwabne włosy, rozsypane na poduszkach. Kolumny jej kremowych ud, rozsuniętych dla niego. I wiedział, dlaczego złożył tą propozycję. Ponieważ chciał jej, pragnął jej, z pożądaniem, którego nie mógł kontrolować. Jego cało zaczęło się rozluźniać. Nadszedł czas jego snu. Nie mógł walczyć z nadejściem świtu. Nikt z jego rodzaju tego nie potrafił. Zanim ogarnęła go ciemność, jego ostatnia myśl dotyczyła Savannah. Czy ona nadal tam będzie, gdy się obudzi ?

* * * *

Potrzebowała swoich tabletek. Savannah krążyła po pokoju, jak lew zamknięty w klatce. Przy każdym jej kroku, pulsowanie w głowie zdawało się wzrastać. Zawsze było gorzej w godzinach porannych. Nie wiedziała dlaczego, ale głowa zawsze bolała ją bardziej w pierwszych godzinach dnia. Zacisnęła zęby z bólu. Chciała krzyknąć, wściekła na agonie, która rozrywała jej umysł. Ale krzyki nie przyniosły by niczego dobrego. Nauczyła się tego dawno temu. Tak samo jak prośby czy błagania.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi. Musiała się stąd wydostać. Nie mogła zostać tu ani chwili dłużej. Przekreśliła klamkę i szybkim szarpnięciem otworzyła drewniane drzwi. Spojrzała w dół na opustoszały holl i zastanawiała się, gdzie był William. Wiedziała, że spał. Jego rodzaj musiał spać w ciągu dnia. Szła powoli

przez długi holl, patrząc z ciekawością dookoła. Na ścianach wisiały obrazy. Na niektóre z nich były zamki, niszczące, z dawnych czasów. Inne przedstawiały krwawe pola bitewne. Kto był ich autorem? William?

Była teraz na szczycie schodów. Jej ręka była szczelnie zaciśnięta na poręczy, a ona zaczęła schodzić po schodach. Przy połowie, fala nagłych zawrotów głowy, przelała się przez nią. Z całej siły przytrzymała się barierki, modląc się aby szybko się skończyły. Bała się, że spadnie, a upadek przyczyni się do jej śmierci. Czas zdawał się zatrzymać, gdy przytrzymała się drewnianej balustrady. Drzazgi wbijały się jej w dłonie. Czarne kropki tańczyły jej przed oczami. Wzięła kilka głębszych, desperackich oddechów. Próbowała siłą woli odepchnąć chorobę. Powoli, drzenie opuściło jej ciało. Zawroty głowy ustały. A ciemność zniknęła.

Bardzo powoli pokonała ostatnie stopnie. To wydawało się tak blisko. Musiała zażyć swoje tabletki. Telefon stał na stole u podstawy schodów. Podniosła słuchawkę i wybrała numer informacji.

-Tak, słucham. Jakie miasto? Um, Tyler, Północna Karolina. Tak, potrzebuję numeru firmy taksówkarskiej. Słucham. Dziękuję.

Savannah szybko przerwała połączenie i wybrała podany numer. Po drugim dzwonku rozległ się szorstki głos.

-Firma Mel'a.

-Tak, potrzebuję taksówki, żeby po mnie przyjechała i mnie stąd zabrała.

Przetarła skronie i rozejrzała się po zacienionym korytarzu.

-Tak szybko jak to możliwe.

-Gdzie pani jest?

Savannah skonsternowało pytanie o adres Williama. Miękkie trzaski pojawiły się na linii.

-Na szczycie wzgórza. To będzie co najmniej godzina drogi, nim trafi się na jakiś mieszkańców.

Savannah mocno zacisnęła usta.

-Dobrze. Po prostu powiedz kierowcy żeby się spieszył, ok.?

Im szybciej wróci do hotelu, tym lepiej dla niej.

-Tak zrobię, proszę pani.

Savannah westchnęła i odłożyła słuchawkę. Spojrzała wokół, zastanawiając się, czym może ewentualnie się zająć do czasu

przyjazdu taksówki. Nie chciała wracać do swojego pokoju. Nie mogła ryzyko kolejnych zawrotów głowy, które mogą spowodować jej upadek ze schodów. Drzwi po prawej były otwarte, a miękkie światło świeciło od wewnątrz.

Był to ten sam pokój, w który znalazła się pierwszej nocy, gdy poznała Williama. Podążyła powoli w stronę pokoju. Ogień nie palił się na kominku. Światło pochodziło z małej lampki w rogu. Podeszła w stronę światła. I zobaczyła pamiętnik. Pamiętnik Henrego.

Spoczywał na stole blisko lampy. Podniosła go, jej palce powoli przesunęły się po herbie. Patrzyła na tarczę, na której z drobnymi szczegółami wyryty był jastrząb. Ten pamiętnik doprowadził ją do Williama. Westchnęła. Co ona ma zrobić z Williamem? Czy naprawdę zgodzi się na tą umowę? Pomyślała o bracie i o krzykach, które nadal rozbrzmiewały echem w jej głowie. Czy mogła pozwolić, aby morderca jej brata był bezkarny? Trzymając pamiętnik, usiadła w jednym z wysokim oparciem krzesła. Jej palce nadal śledziły herb. Co powinna zrobić?

* * * *

Dwie godziny później, była z powrotem w Traveler's Inn. Pokój hotelowy wyglądał dokładnie tak, jakim go zostawiła. Zamknęła za sobą drzwi i pobiegła ku nocnej szafce. Otworzyła szufladę i chwyciła swoje pigułki. Szybko połknęła dwie, nie marnując czasu na szykowanie sobie szklanki wody do popicia. Patrzyła w dół na butelki, nienawidząc ich, nienawidząc tej zależności od nieszczęsnych tabletek. Nie mogła spędzić nawet jednego dnia bez nich. Jak by to było być silną? Być wolną od bólu? Wolną od potrzeby zażywania tych pigułek?

William mógł dać jej tę wolność. Zacisnęła palce na butelce. Głośne pukanie dobiegło od strony drzwi. Podskoczyła. Pukanie zabrzmiało ponownie. Drzwi lekko się zatrzęsły. Ostrożnie odłożyła tabletki i powoli podeszła w stronę drzwi. Pochyliła się, zajrzała przez wizjer. Jakiś mężczyzna stał po drugiej stronie jej drzwi. Rysy jego twarzy były napięte, niemal wściekłe. Gdy patrzyła na niego, podniósł rękę i ponownie uderzył w drzwi.

-Pani, Daniels? Wiem, że tam pani jest. Proszę otworzyć drzwi. Muszę z panią porozmawiać.

Zmarszczyła brwi. Skąd ten obcy człowiek zna jej nazwisko?

-Proszę, pani Daniels. Mam dla pani kilka informacji, dotyczących mordercy pani brata.

Rozszerzyła oczy i cofnęła się od drzwi. Pobieгла do szafy i wyciągnęła małe, zamknięte pudełko, z jej ciemnego wnętrza. Wstukała kombinację szyfru i miękkie kliknięcie otworzyło pudełko. Lśniący, czarny pistolet znajdował się w środku. Podniosła broń i pewnymi palcami załadowała kule. Sprawdziła zabezpieczenie oraz czy wszystkie mechanizmy są na miejscu. Wstała, trzymając przy sobie broń i ostrożnie podeszła do drzwi. Uchyliła je, zaledwie na dwa cale, pozostawiając złoty łańcuch zamka na miejscu.

-Kim jesteś?

-Nazywam się Jack Donovan.

Miękki, południowy akcent zabarwił jego słowa. Miał ciemne włosy, może odcień jaśniejsze od Williama, i gładką, przystojną twarz. Savannah oceniła go szybko. Był wysoki. Jego ciało było umięśnione, w dobrej kondycji. Sądziła, że jest po trzydziestce, może trochę młodszy. Ubrany był niedbale, w luźne džinsy i czarny golf. Uniósł obie ręce w powietrzu, jakby chciał udowodnić jej, że nie jest zagrożeniem. Savannah nie otworzyła drzwi ani o cal. Nie ufała temu mężczyźnie, temu Jackowi Donovan. Było w nim coś takiego, co kazało jej zachować ostrożność.

-Skąd wiesz kim jestem, Jacku Donovan?

Spytała cicho, z utkwionym w niego wzrokiem. Jego niebieskie oczy wytrzymały jej spojrzenie.

-Jestem prywatnym detektywem.

Wziął głęboki oddech.

-Śledziłem cię.

-Co?

Spojrzał szybko przez ramię.

-Spójrz, ja naprawdę nie chcę o tym dyskutować na zewnątrz, Ok? Wpuść mnie, a powiem ci tyle, ile mogę.

Savannah zawahała się. Nie знаła go i na pewno mu nie zaufa.

-Nie wydaje mi się.

Jakieś drzwi zatrzasnęły się w korytarzu. Jack zaklął cicho.

-Kobieto, jesteś w niebezpieczeństwie. Masz zamiar dać się zabić!

Uniosła brew.

-Ja już umieram. Co za różnica?

Jej uśmiech kpił z niego. Jeśli prowadził śledztwo na jej temat, to na pewno wie o jej stanie. Zaczęły mu drgać mięśnie szczęki.

-Różnica polega na sposobie, w jaki odejdiesz. Łatwo, leżąc w szpitalnym łóżku. Lub krzycząc w agonii, jak tve ciało będzie pozbawiane krwi.

Jej uśmiech zniknął.

-Pozwól mi wejść do środka.

Jego wzrok zdradzał determinację.

-Możemy pomóc sobie nawzajem, jeśli tylko mnie wpuścisz.

Jej palce naprężyły się wokół broni. Była ciężka, zimna.

Uspokajająca.

-W porządku, możesz wejść do środka. Ale tylko na chwilę.

Kiwnął głową i ponownie spojrzał przez ramię. Savannah miała nadzieję, że nie popełnia pomyłki. Mogła być zmuszona zabić pana Jacka Donovana. Opuściła łańcuch zamka i cofnęła się. Pośpiesznie wszedł do środka. Savannah w milczeniu patrzyła na niego jak kierował się na środek pokoju. Zamknęła drzwi, przekręcając zamek, by nie dopuścić do kolejnych wizyt. Potem podniosła pistolet. Odbezpieczyła. Cichy dźwięk rozległ się echem w pokoju. Jack rozejrzał się i wytrzeszczył oczy.

-Zaczekaj!

Podniósł ręce, dłońmi na zewnątrz.

-Nie jestem tutaj, aby cię skrzywdzić.

Savannah celowała w jego serce. Nauczyła się strzelać dawno temu, gdy była jeszcze beztroską dziewczyną. Na długo przed chorobą, która zniszczyła jej ciało i umysł. Uczył ją ojciec, a ona dobrze pamięta czego się nauczyła na tych lekcjach. Po za tym, była tak blisko niego, że nie mogła spudłować.

-Czego chcesz?, jej głos był opanowany.

Przełknął i spojrzał na broń.

-Posłuchaj, po prostu opuść broń...

Mały uśmiech zagościł na jej ustach.

-Nie wydaje mi się, panie Donovan. A teraz, kto cię wyznają?
Krople potu pojawiły się na jego czole.

-Nie mogę ci tego powiedzieć.

Mogła zrobić z broni młotek.

-To nie jest odpowiedź, jaką spodziewałam się usłyszeć.

Rozszerzył oczy.

-Nie mogę ci powiedzieć, w porządku? Częścią umowy z moimi klientami, jest to, że zatrzymuję ich tożsamość w całkowitej tajemnicy.

-Skąd mam wiedzieć, że jesteś naprawdę prawdziwym detektywem?

Powiedziała Savannah w zadumie. Była zaskoczona samą sobą. Nigdy wcześniej, nie mierzyła do kogoś z broni. Pomyślała, że odwała tu dobrą robotę. Jego ręce zaczęły się obniżać.

-Ah-ah! Trzymaj ręce w górze!

Nie mogła ryzykować, że wytrąci jej broń.

-Chciałem po prostu wyjąć mój dowód tożsamości, ok?
Sięgałem do mojej kieszeni.

Usztywniła ciało, instynktownie szykując się na zagrożenie. Jack poruszał się powoli. Cał po calu, wyjął portfel. Obrócił go, otworzył i podniósł by poddać go jej ocenie.

-Moja licencja detektywa jest tu.

Zerknęła, na próżno próbując odczytać małe literki.

-Rzuć to do mnie.

Zacisnął usta, ale rzucił portfelem przez pokój. Wylądował u jej stóp. Ostrożnie pochyliła się i podniosła portfel, przyglądając się licencji.

-Może być fałszywa.

-Nie jest.

-Dlaczego, wynajęto cię byś mnie śledził?

-Wydaje się, że zarówno ty jak i mój tajemniczy pracodawca, macie wspólnego wroga.

Jego spojrzenie było uważne, czujne. Jej brzuch zacisnął się. Zabezpieczyła broń, ale nie obniżyła jej. Dłonie zaczęły się pocić.

-Co masz na myśli?

-Wiem, że ścigasz zabójcę brata.

Savannah nic nie powiedziała, ani potwierdziła, ani zaprzeczyła jego słowom.

-Brat mojego pracownika został również zabity.

Jack powiedział cicho, patrzył na nią, czekając na jej pytanie. Savannah opuściła broń.

-Jak zginął?

-Nie domyślasz się?

Począł chwilę i powiedział.

-Cała krew została odsączona z jego ciała.

Savannah przełknęła. Wzniosła palce lewej ręki i przesunęła nimi po dwóch małych ranka na szyi. Jack zmarszczył brwi na ten gest i Savannah opuściła dłoń, ściągając przy tym włosy do przodu by zakryć ugryzienie.

-A twój...pracodawca...jak on dowiedział się o mnie?

-Przeczytał o twoim bracie w gazecie. O tym jak umarł. I wiedział, że ten sam morderca popełnił obie zbrodnie.

-Ale jak dowiedział się o mnie?

Savannah powtórzyła zaciekle pytanie.

-Trochę popytał i wynajął mnie.

Jack wzruszył ramionami.

-Twoje imię i nazwisko było wymienione w kilku wycinkach z gazet, które znalazłem. Znając twoje nazwisko, nie było trudno cię wytropić.

-Skąd wiesz, że tropię mordercę?

W jaki sposób ten nieznajomy zna jej plany? Swoimi zamiarami podzielił się tylko z bliskimi przyjaciółmi. Mrugnął, jak gdyby był zdziwiony jej pytaniem.

-Wiem, że go ścigasz ponieważ, przyjechałaś tutaj.

-Co?

-Przyjechałaś do Tyler. Przyjechałaś do miasta zabójcy. W ten sposób wiedziałem, co planujesz.

Patrzyła na niego bez wyrazu.

-Nie wiedziałaś?

Spytał cicho. Wtedy popatrzył na wyraz jej twarzy.

-O cholera, nie miałaś pojęcia! Potykałaś się w ciemnościach.

O czym on mówi? Zabójcy nie było w Tyler. Wiedziałyby. Wyczuwały jego obecność.

-Mylisz się. Ty...

-Byłaś w jego domu, kobieto, powiedział. Byłaś w domu tego potwora !

Potrząsnęła głową. Mylił się. To nie był...

-William Dark. Zamordował twojego brata. To on jest zabójcą!

Rozdział 5

Zło istnieje, nawet w moich snach.

- Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 15 Listopada 1068.

-Mylisz się, z naciskiem powiedziała Savannah. William nie jest mordercą.

-Jest.

Jack był nieustępliwy.

-Przykro mi, ale to on jest tym, który zamordował twojego brata. Jego wzrok był pełen litości. Savannah zacisnęła usta.

-Znam Williama. On nie mógłby...

-Był w Waszyngtonie w chwili zabójstwa twojego brata.

Słowa Jacka oszołomiły ją, uciszając ją.

-Wiedziałaś o tym, pani Daniels?

Nie, nie wiedziała. Ale niech ją szlak, jeśli przyzna mu się do tego.

-To wolny kraj. Każdy może podróżować, gdzie mu się podoba.

-Prawda, ale William Dark był również w Panamie, gdy zginął brat mojego klienta. I był w Atlancie, kiedy młoda prostytutka trafiła do szpitala. Trafiła tam z powodu utraty dużej ilości krwi.

Potrząsnął głową.

-W karetce, myśleli, że ona umrze zanim dowiozą ją na pogotowi. Ale przeżyła. Ledwo. I była w stanie podać policji rysopis napastnika.

Serce Savannah zaczęło głucho łomotać.

-Co....co ona powiedziała o wyglądzie napastnika?

Ani na chwilę Jack nie spuszczał z niej oczu, gdy recytował opis.

-Mężczyzna, sześć stóp wzrostu, 109 kilogramów wagi. Był grupo po dwudziestce. Miał długie, czarne włosy ściągnięte to tyłu, opadające do podstawy szyi. Brzmi znajomo?

Savannah nie zamierzała mu odpowiedzieć. Jack kontynuował:

-Ona nie pamięta dokładnie, co się z nią działo w czasie ataku. Ostatnią rzeczą, jaką widziała był ten człowiek. Złapał ją, a następnie wszystko stało się czarne.

Savannah połknęła.

-Myślisz, że tym człowiekiem był William?

-Nie.

Jack pokręcił głową.

-Ja wiem, że to on. On doskonale pasuje do opisu. I był w każdym mieście w chwili ataku. Jest jedynym, którego ściga policja. Ja wiem, że to on!

-Nic nie wiesz, Savannah szepnęła, spoglądając na pistolet, który nadal ścisnęła w prawej ręce. Teraz, chcę, żebyś wyszedł.

-Kobieto, czy ty mnie w ogóle słuchasz? To morderca!

Zrobił krok w jej kierunku. Podniosła żywo głowę.

-Nie, powiedziała dobitnie. Nie jest.

Savannah otworzyła drzwi i stanęła z boku.

-Tak jak mówiłam, nadszedł czas, aby wyszedł.

Jack nawet nie drgnął. Patrzył na nią, z płonącymi oczami.

-Narażasz się na wielkie niebezpieczeństwo. Nie rozumiesz, do czego on jest zdolny?

-Rozumiem go bardzo dobrze.

I naprawdę tak było. Znała Williama. Wiedziała jaki jest naprawdę.

-Mylisz się, co do niego. Nie jest tym, którego ścigasz.

Wierzyła w to każdym uderzeniem swojego serca. Wierzyła w niewinność Williama. Jack podszedł do drzwi. Stał, patrząc na nią.

-Dla twojego bezpieczeństwa, modlę się żebyś miała rację.

Wyciągnął wizytówkę z portfela.

-Jeśli okaże się, że popełniłaś błąd, zadzwoń do mnie. Nie ważne o jakiej godzinie. Zadzwoń do mnie, a ja przyjadę po ciebie.

Savannah wzięła wizytówkę.

-Planujesz zostać w mieście?

-Będę w pobliżu, powiedział niepewnie. Pamiętaj, po prostu do mnie zadzwoń. Nie pozwól, żeby cię skrzywdził. Nie pozwól, aby William zrobił ci to, co pozostałym.

-William nie zrobił nic nikomu.

Jej głos był stanowczy.

-Mylisz się, co do niego.

-Zobaczymy.

Jego wzrok wędrował do jej twarzy.

-Zobaczymy.

Wyszedł z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Savannah zabezpieczyła drzwi i pobiegła do telefonu przy łóżku. Musiała znać więcej informacji na temat tego detektywa. Wybrała numer i czekała niecierpliwie, aż połączenie zostanie odebrane. Jeden sygnał. Drugi. Trz...

-Słucham?

Odpowiedział ostry, kobiecy głos. Savannah uśmiechnęła się na dźwięk głosu jej przyjaciółki Mary.

-Cześć, Mary. To ja.

-Savannah? Savannah!

Jej krzyk był głośny i wyraźny.

-Byłam chora ze zmartwienia o ciebie, kobieto! Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie wcześniej?

Savannah skrzywiła się na tą nagane.

-Przepraszam. Rzeczy dzieją się tu naprawdę bardzo szybko. Miałam do ciebie zadzwonić zaraz po przyjeździe do miasta.

Czy to naprawdę było dwa dni temu? Wzięła głęboki oddech.

-Mary, poznałam go.

-Go? Masz na myśli William? Spotkałaś William?

W głosie Mary słychać było wielkie poruszenie, jak również przerażenie. Savannah usiadła na brzegu łóżka i wyciągnęła nogi przed siebie. Nadal miała na sobie to co zeszłej nocy. Jej szpili zabijały jej stopy. Zdjęła je i pozwoliła stopą grzęznąć w zużytych dywanach.

-Tak, spotkałam go.

-I?

Savannah zamknęła oczy.

-Jest dokładnie taki, jak sobie wyobrażałam, że będzie.

I naprawdę był.

-Savannah ...,głos Mary brzmiał na naprawdę zaniepokojony. Wiem, że myślisz, że go znasz, ponieważ przeczytałaś tą książkę.

Savannah zmarszczyła brwi.

-To był pamiętnik, Mary. Pamiętnik, który mi dałaś.

-Tak, dobrze, kiedy ci go dawałam, nie miałam pojęcia, że do tego dojdzie!

Savannah wiedziała. Od pierwszej chwili, kiedy jej ręce dotknęły pamiętnika, wiedział że on doprowadzi ją do Williama.

-Czy on naprawdę jest...hm...

Pytanie Mary nagle się urwało. Savannah była ciekawa, czy czerwień zabarwiły policzki Mary.

-Wampirem?, Savannah zapytała miękko.

-Tak...

-A jak myślisz?

Mary nie odpowiedziała. W tle trzasnęły drzwi i echo wkradło się na linię połączenia. Mary zaklęła.

-Cholera. Wrócił mój współlokator. Muszę kończyć.

-Zaczekaj ! Potrzebuję przysługi.

-Co chcesz, żebym zrobiła?

Savannah skrzywiła się. To cała Mary. Zawsze gotowa do pomocy.

-Potrzebuję, żebyś kogoś dla mnie sprawdziła. Możesz to znowu zrobić przez Internet?

-Pewnie, kogo mam dla ciebie sprawdzić?

Mary była prawdziwą hakerką. Ukończyła studia na kierunku technologii informatycznej w wieku dziewiętnastu lat. Dać tej kobiecie komputer, a nie będzie takiej rzeczy, której ona nie będzie umiała zrobić. To ona znalazła Williama dla Savannah. Może też łatwo znaleźć informacje na temat Jack Donovan.

-Nazywa się Jack Donovan. Powiedział, że jest prywatnym detektywem.

Zapadła cisza na linii.

-A ty mu nie wierzysz?

Mary zapytała swoim ciepłym, cichym głosem. Na pewno obawiała się, żeby jej współlokator niczego nie usłyszał.

-Nie wiem. Ale znajdź to dla mnie. Znajdź wszystko co tylko możesz.

-Jasne. Masz tam jakiś numer, na który mogę cię złapać?

-Zatrzymałam się w hotelu Traveler's Inn, pokój 718. Będę tu do wieczora.

Potem będzie musiała wrócić do Williama.

-W porządku. Może mi zająć trochę czasu namierzenie tego gościa, ale szybko do ciebie zadzwonię jak tylko coś znajdę.

-Dzięki, Mary. Dziękuję za całą twoją pomoc.

-Zawsze dla ciebie, Vannie.

Mary użyła zdrobnienia Savannah.

-Zawsze. I bądź ostrożna, dobrze?

-Zawsze jestem ostrożna.

I była, przeważnie.

-Nie zapomnij o lekach.

Gdyby tylko mogła.

-Będę pamiętać.

Mary zawsze przypominała Savannah, by brała lekarstwo. Bez względu na to gdzie były i co robiły, Mary zawsze jej o tym przypominała. Dobrze było mieć taką przyjaciółkę jak Mary. Kogoś na kim mogła polegać, kogoś komu mogła powierzyć wszystkie swoje tajemnice.

-Wkrótce porozmawiamy.

-Do usłyszenia, Vinnie.

Jak tylko odłożyła słuchawkę, żołądek dał znać o sobie, przypominając głośno że nic nie jadła od wczoraj. I, że ma czas tylko na szybką przekąskę. Zerknęła na zegarek przy łóżku. Było kilka minut po dwunastej. Ma trochę czasu, aby zamówić obiad, zapakować go i wrócić do Williama przed zmrokiem.

Wstała i rozciągnęła zmęczone mięśnie. Może będzie w stanie wcisnąć małą drzemka we własnym harmonogramie. Nie mogła dopuścić, że straci teraz siły, nie teraz, gdy była tak blisko celu. Spojrzała w dół na swoje ubranie. Na początku wygląd. To ubranie nadawało się na wizytę w takim miejscu jak Jake's, ale na pewno będzie się wyróżniać jeśli pójdzie w nim na obiad. Savannah zdecydowanym krokiem zmierzała w kierunku prysznic. Umyje się i potem zje.

I być może, kiedy będzie jeść obiad, któryś z gości w lokalu, powie jej coś więcej o Williamie. Być może.

* * * *

Ciało Williama leżało zupełnie nieruchomo. Jego klatka piersiowa nie wykonał żadnego wdechu. Jego serce nie biło. Jego

umysł, zasnuty przez pajęczynę jego głębokiego snu, zadrżał lekko. Przeszył go niepokój. Coś się zbliżało. Ktoś. Mógł to wyczuć. Czuł zło. Tak blisko. Zbyt blisko.

* * * *

-Witaj, kochanie!

Wysoka, stateczna kobieta ze stalowo siwymi włosami pojawiły się przy stoliku Savannah.

-Co mogę ci podać ?

Jej ołówek był gotowy by zapisać jej zamówienie w małym białym notesie.

-Ach...

Savannah urwała. Wzrok kobiety bardzo szybko przesunął się po niej.

-Macie jakieś specjalny?

Kelnerka, na której identyfikatorze widniało imię Pat, uśmiechnęła się.

-Kotku, zawsze mamy jakieś specjalny.

Wskazała głową kuchnię.

-Dzisiejszym specjalnym jest kanapka z tuńczykiem. Otrzymasz kanapkę, frytki i surówkę z białej kapusty, wszystko za pięć dolarów.

Savannah sięgnęła po kartę menu ze środka stołu. Nigdy nie lubiła tuńczyka. Prześledziła wykaz kanapek.

-Myślę, że po prostu wezmę kanapkę „Klub combo” i puszkę Sprite, poproszę.

Pat nabazgrała coś szybko.

-Pewnie, kochanie. Podać ci coś jeszcze?

Savannah uśmiechnęła się niepewnie.

-Nie teraz, ale dziękuję.

-Zaraz wracam z twoim zamówieniem.

Z kołysaniem bioder odwróciła się i Pat zniknęła za wahadłowymi, kuchennymi drzwiami.

Było tylko kilku innych klientów na obiedzie. Dwóch autostopowiczów siedziało przy ladzie, a człowiek w mundurze był zajęty piciem kawy w kąciku. Savannah westchnęła. Wszystko w tym miejscu wydawało się jej tak niewiarygodnie normalne. Łagodna muzyka country płynęła z szafy grającej. Stoły przykryte były

staromodnymi obrusami w kratę. Wszystko było tak niesamowicie normalne. Kto mógł kiedykolwiek zgadnąć, że takie miejsce jak to, stanie się domem dla wampira?

-Nie jesteś stąd, prawda?

Savannah poderwała głowę do góry, i spostrzegła, że jakiś obcy wpatruje się w nią ciepłymi, brązowymi oczami.

-Ach, nie. Nie, nie jestem.

Czego on chce?

-Tak myślałem.

W dalszym ciągu patrzył na nią.

-Jestem jednym z zastępców tutaj w Tyler. Nazywam się John. John Sykes.

Savannah podała rękę.

-Daniels Savannah.

Jego chwyt był silny, ale nie przytłaczający.

-I co sprowadza cię do naszego miasta, pani Daniels?

-Odwiedzam przyjaciela, odpowiedziała szybko, dostrzegłszy okazję wyciągnięcia jakiś informacji o Williamie. Możliwe, że go pan zna.

-Znam wszystkich w tym mieście. W takim miejscu jak Tyler, bardzo łatwo jest poznać swoich sąsiadów.

-Jestem pewna, że tak jest, szepnęła z uprzejmym uśmiechem.

-Jak się nazywa twój przyjaciel?

To była okazja, na którą czekała.

-Nazywa się William Dark. Mieszka na wzgórzu.

Zastępca wytrzeszczył oczy. Pozwolił sobie zagwizdać.

-Jesteś w mieście by zobaczyć się z Williamem Darkiem? Jesteś tego pewna?

Zapytał jak gdyby sprawdzał jej poczytalność. Savannah usztywniła się.

-Myślę, że wiem kogo zamierzam odwiedzić, powiedziała, a jej głos był zimny jak lód.

John poczerwieniał.

-Po prostu, więc, pan Dark nie jest dokładnie typem człowieka, który miewa gości, wiesz ?

To jej nie zaskoczyło.

-Naprawdę, nikt z jego przyjaciół nie przyjeżdżał do miasta.

John potrząsnął głową.

-O których bym wiedział.

-Co dokładnie wiesz na jego temat?

Savannah wstrzymała oddech, czekając niecierpliwie na jego odpowiedź.

-Bardzo niewiele.

John wzruszył ramionami.

-Słyszałem, że jego dziadek kupił nieruchomość na wzgórzu już w latach dwudziestych. I pamiętam, że widziałem ojca Williama w mieście kilka razy, gdy byłem dzieckiem. Oczywiście, jego ojciec nie był ani trochę rozmowny. I myślę, że używał tej nieruchomości jako rodzaj wypoczynku.

Jego spojrzenie stało się mętne, jakby próbował sobie coś przypomnieć.

-Tak, przyjeżdżał tu w lecie. W każde lato, do czasu aż skończyłem osiem albo dziewięć lat.

-Kiedy William przeniósł się do miasta?

Savannah spytała cicho. Uznała to za fascynujące, że William udawał, że jest swoim własnym ojcem, własnym dziadkiem. Sam stworzył cienką zasłonę kłamstwa, aby oszukać mieszkańców miasta, tak by mógł zachować swoją kryjówkę na wzgórzu.

-Przeniósł się tu około sześciu czy siedmiu lat temu. Słyszałem, że odziedziczył majątek, kiedy jego stary umarł.

Sześć lub siedem lat. Gdzie był przedtem? Co robił? Czy naprawdę był sam przez te wszystkie lata? Przez wszystkie stulecia? To stwierdzenie nią wstrząsnęło. Nic dziwnego, że pragnął towarzyski. John zmarszczył brwi, patrząc podejrzliwie na Savannah.

-Ale ty powinnaś to wszystko wiedzieć, prawda? Skoro jesteś tu po to, żeby go odwiedzić...

-My...dopiero się poznajemy.

Tak, spotkali się nie całe dwa dni temu. Tak, definitywnie można uznać że się dopiero poznają.

-Jest tyle rzeczy, których jeszcze o sobie nie wiemy na wzajem. I to było problemem.

-Hmm.

John nie wyglądał na przekonanego.

-Powiedziała pani, że skąd jesteś ?

-Nie zrobiłam tego. Ale jestem z Waszyngtonu. Seattle, Waszyngton.

-Nie uważasz, że przebyłaś długą drogę, żeby odwiedzić przyjaciela?

-Tak, wiem.

Nie zamierza zdradzać zastępcy żadnych więcej informacji.

-Proszę bardzo, Kotku! powiedziała Pat, niosąc talerz w jednej ręce i puszkę napoju w drugiej. Jeden 'Klub combo', tak jak zamówiłaś.

-Dzięki.

Pat uśmiechnęła się do zastępcy.

-Chcesz jeszcze kawy?

Potrząsnął głową.

-Nie. Muszę wracać na służbę.

Spojrzał z powrotem na Savannah.

-Miło było cię poznać, pani Daniels. Jestem pewien, że jeszcze się zobaczymy.

Gdy odszedł, Savannah zastanawiała się, dlaczego mimo jego przyjaznego uśmiechu, słowa te zabrzmiały prawie jak... groźba.

* * * *

Gdy Savannah wróciła do swojego pokoju, otwarcie i zamknięcie drzwi pozbawiło ją resztki energii jaka jej została. Nagła fala zmęczenia ogarnęła ją, jak tylko skończyła posiłek. Zmusiła ją do odłożenia na wół zjedzonej kanapki i wyjścia z jadalni. Był to kolejny skutek uboczny jej leków. Ciężka senność. W jej przypadku, słowo ciężka było dyskusyjne. Oczywiście, fakt że nie odpoczęła wczorajszej nocy tylko pogorszył jej stan. Walczyła z zamkiem, ledwie wsuwając klucz. Wszystkie jej mięśnie zrobił się ociężałe. Powieki zamykały się, a głowa opadała. Wzięła serię głębokich oddechów, starając się zmusić swoje ciało do przytomności. Zamknęła drzwi i weszła do pokoju.

Oparła się o zimną, drewnianą powierzchnię drzwi, dając swojemu ciału chwilkę odpoczynku. Z drżącymi rękami odwróciła się i zablokowała drzwi łańcuchem. Łóżko wydawała się być tak daleko. Była tak bardzo zmęczona. Jej ciało walczące ze zmęczeniem. Z bólem. Kiedy to się skończy? Postąpiła krok do przodu. Jej nogi były

zdrętwiała. Rozłożyła jej walcząc o równowagę. Jeszcze jeden krok. Może dwa.

Mogła poczuć łóżko pod kolanami, padła na łóżko, a jej ciało podskoczyło na materacu. Stare sprężyny skrzypiały w proteście. Przestała walczyć ze zmęczeniem i zamknęła oczy. Odpocznie tylko godzinę, lub dwie. Odpoczynek da jej wystarczająco energię na resztę dnia. Potrzebowała pospać tylko przez chwilę....

* * * *

Całe ciało Williama się trzęsło. **Zło**. Słowo to krzyczało w jego umyśle, ale żaden dźwięk nie wyszedł z jego ust. Mógł czuć jego obecność. Poczuć, że to ciemność. **Tak blisko**.

* * * *

Była w mieszkaniu. Mogła zobaczyć skrzące się drewno. Mogła poczuć, ostry, mroźny zapach zimy.

Wszystko było tak jak zapamiętała. Stół, który jej tata zrobił własnoręcznie, w wakacje, na jej szesnaste urodziny, stał w kącie. Obrazy mamy wisiały nad półkami nad kominkiem. Wesoly ogień tańczył, płonął w kominku. Szła w kierunku ognia, chcąc poczuć jego ciepło. Tak desperacko chciała pozbyć się zimna, które ją ogarniało.

Rozejrzała się zdziwiona, że jest sama. Była prawie pewna, że będzie tam Mark. Albo Sharon. Poczowała coś mokrego i lepkiego, co dotknęło jej bose stopy. Spojrzała w dół, marszcząc brwi. Skąd ta woda? Wydawało się, że wypływa prosto z ognia. W jaki sposób woda może wypływać z ognia? Pochyliła się w dół, dotykając płynu palcami. Uniosła dłoń, by przyjrzeć się im w migocących płomieniach. Jej palce były czerwone, czerwone od krwi. Sapnęła i odskoczyła, starając się uciec od zimnego dotyku krwi. Plama krwi, wydawała się za nią podążać, jak wąż pełzający po podłodze. Dźwięk śmiechu, lekkiego i szyderczego, zmroził Savannah.

-Czekałem na ciebie.

Słowa były miękkie, jak mruczenie, z lekkim akcentem. Jej wzrok gorączkowo przesuwiał się po pokoju.

-Kto tam jest?

Skoncentrowała się by zobaczyć go w ciemności.

-Nie wiesz?

Szepnął.

-Nie wiesz kim jestem?

Jej serce zaczęło mocniej uderzać.

-Nie. Nie, wiem kim jesteś.

-Oczywiście, że wiesz, moja droga.

Znów zaśmiał się cicho.

-Znasz mnie bardzo dobrze. Lepiej niż jakakolwiek kochanka, którą kiedykolwiek miałem. Poza tym, dzieliłaś ze mną zabijanie.

-Co?

Jej stopy były coraz bardziej umazane krwią.

-Byłaś tam wtedy ze mną. Mogłem cię poczuć. Byłaś tam wtedy ze mną, kiedy się pożywiałem.

Jego głos płynął z cienia, otaczał ją. O czym on mówi? Mark. Jej wspomnienia ją oślepiły. Mark zginął. Zginął tutaj, w tym mieszkaniu. Ona to widziała. Ona...

-Dokładnie, wymruczał. Twój kochany, słodki brat. Obawiam się, że wypilem go do sucha.

Poczuła zimny dotyk wokół ramienia. Szarpnęła się do przodu, a krzyk rósł w jej gardle. Odwróciła się szybko, chcąc widzieć twarz zabójcy, który podkradał się do niej. Nikogo tam nie było. Kontynuował swój szept z ciemności.

-Ty wiesz co zrobiłem, prawda Savannah? Byłaś tam tamtej nocy. Czułem cię. Czułem twój strach. Twój gniew.

Savannah miała rozpuszczone włosy. Chłodny podmuch owiał jej szyję. Savannah zadrzała.

-Twój strach czyni mnie silniejszym.

Głos był głośniejszy, coraz bliżej.

-Wyostrza mój głód.

Płomienia ognia tańczyły na kominku, jakby próbowały kogoś złapać zachłannymi rękami. Savannah poczuła, spalanie płomieni na skórze. Następnie, w mgnieniu oka, ogień zgasł. Pokuj pograżył się w ciemności.

Coś otarło się o jej nogę. Savannah przygryzła wargi, powstrzymując krzyk. Wiedziała, że to nie jest prawdziwe.

Mieszkanie. Głos. Nic z tego nie było prawdziwe. To po prostu był kolejny sen. Kolejny koszmar. Chwycił jej rękę, przytrzymując szczelnie jej nadgarstki, miażdżąc skórę i kości w silnym uścisku. To było tak cholernie prawdziwe!

-Powiedź mi, Savannah.

Szeptał koło jej twarzy.

-Podobało ci się? Podobało ci się oglądanie ich śmierci? Podobał ci się tak samo jak mnie?

Próbowała się wyszarpać, ale on mocno ją trzymał. Kopnęła go, raz, dwa, ale tylko śmiał się z niej.

-Puść mnie!

-Nigdy.

Podniósł jej rękę do ust i ucałował skórę na grzbiecie dłoni. Mogła czuć krawędzie zębów na skórze. Ostrza zębów. Jego kłów.

-Kim jesteś?

Szepnęła.

-Nie wiesz?

Odwrócił jej dłoń, a jego zęby znów zaczęły się o nią ocierać. Savannah wciągnęła powietrze, gdy nagle poczuła ból. Skóra została przekłuta, przez dwie długie kły, a krew sączyła się z jej dłoni. To nie miało sensu. Sny nie mogły boleć. Dlaczego czuje ból? Dlaczego? Dlaczego nie może po prostu się obudzić? Potrząsnęła gorączkowo głową.

-To nie jest prawdziwe. To tylko sen.

Jego oczy zaczęły świecić. Dziwne czerwone światło. Nie mogła zobaczyć jego twarzy. Ani jego ciała. Tylko jego oczy.

-Ach, to więcej niż sen. Dużo więcej.

To było piekło. Uwięzienie z nim, czując jego dotyk, to było czyste piekło dla Savannah. Obudź się, kazała sobie. Obudź się!

-Nidzie nie pójdziesz, moja droga.

Zlizywał krew z jej dłoni. Zadrżała.

-Mam co do ciebie plany...

Musiała się obudzić. Musiała! Czerwone spojrzenie jego oczu zatrzymało się na niej. Prawdziwy strach wybuchł w jej sercu. Nie mogła od niego uciec. Nie mogła się obudzić. Została uwięziona, sam...

-Tak jest, bój się mnie. Daj mi ten strach. Czuję się tak dobrze...

-Savannah! William krzyknął jej imię. Savannah!

Niskie warczenie dobiegło od jej porywacza, a on odepchnął ją. Savannah sapnęła i upadła w kałużę krwi. Nadal nie mogła niczego zobaczyć. Nie mogła zobaczyć Williama. Ani mordercy.

-William! William, gdzie jesteś?

-On nie może ci pomóc, głęboki głos warknął z góry na nią. On tylko cię zniszczy.

-Nie.

Savannah podniosła się z kolan.

-William! Gdzie jesteś?

-Savannah! Nie bój się.

Jego ciepły głos płynął do niej.

-Nie pozwolę mu cię skrzywdzić.

Słysząc go było coraz bliżej. Wzięła głęboki oddech. Nie rozumiała co się dzieje. Jak William dostał się do jej snu? Płomień z palonych kłód rozbłysk, wysyłając migoczące światło po pokoju.

William stał w drzwiach, wściekłość malowała się na jego twarzy. A przy ogniu, stał inny mężczyzna, tak samo wysoki jak William i o tak samo ciemnych włosach. Ramię trzymał wysoko przy twarzy, jakby osłaniał się przed ogniem. Nieznajomy odwrócił się do Williama, stając przed Savannah. William zeszywniał, gdy zobaczył twarz mężczyzny.

-Więc, w końcu znów się spotykamy.

Cichy śmiech, złośliwy i okrutny wyszedł z jego ust.

-Witaj, bracie.

Savannah zatkąło. Nie, to nie możliwe...

* * * *

-Nie!

Savannah obudziła się z krzykiem. Jej serce waliło wściekle, jego echo brzmiało w jej uszach. Mieszkanie zniknęło. Była z powrotem w swoim, hotelowym pokoju. Czy to wszystko było tylko snem? Okrutnym koszmarem? Podniosła rękę, starając się odgarnąć włosy z oczu. Była świadoma bólu. Ogromnego bólu. Odwróciła się do światła i popatrzyła na dłoń z niedowierzaniem. Ciemne, czarne siniaki pokrywały skórę jej nadgarstka. Savannah rozszerzyła oczy.

Powoli odwróciła nadgarstek. Dwie, małe ranki znaczyły jej dłoń. I tylko, przez moment, usłyszała echo śmiechu w swojej głowie. Niski, złośliwy śmiech.

Rozdział 6

Każdy mężczyzna ma sekrety. Mroczne, niebezpieczne sekrety.

- Zapis z pamiętnika Henrego de Montfort, 25 Listopada 1068.

Gdy tylko słońce zaszło, William otworzył oczy. Wskoczył z łóżka, a jego szybkie ruchy były jak błysk. Zżerała go wściekłość. Jak ten bękart śmiał zaatakować Savannah? Jak on śmiał? On mógł go zniszczyć, raz na zawsze. Uniósł głowę, wsłuchując się w dźwięki rozchodzące się po pałacu nad nim. Jego wyostrzony słuch niczego nie wychwycił. Gdzie jest Savannah? Dlaczego nie ma jej w domu?

Otworzył swój umysł, uwalniając swą psychiczną moc by jej poszukać. Nie mógł znaleźć żadnego jej śladu, żadnego śladu ciepła, który zwykle charakteryzował jej obecność. Westchnął. Odeszła. Dokonała swojego wyboru. Szedł powoli przez tunel, w górę krętymi schodami do domu. Przechodził przez wszystkie pokoje, sprawdzając dokładnie, tak na wszelki wypadek, czy przypadkiem jej nie przeoczył. Dom był pusty.

Stał w wielkiej sali i jednym ruchem ręki rozpałił ogień na kominku. Wpatrywał się w płomienie, ale tak naprawdę nie widział ich. Zamiast nich, widział ją. Savannah. Jej ogniste, lokowane włosy i piękne oczy. Jej pasję. Jej siłę. Nie mógł jej winić, za jej odejście. Zacisnął ręce. Rozumiał, naprawdę. Dlaczego, chciałyby się wiązać z potworem? Podniósł rękę do ognia. Czuł ciepło na zimnej skórze. To przypomniało mu o Savannah. Przez krótki czas, wniosła z powrotem ciepło do jego zimnej egzystencji. Na krótki czas...

Zamknął oczy. I usłyszał w oddali, odgłos zbliżającego się samochodu. Czy to ona? Wraca do niego? Jego umysł szukał jej. Wyczuł ją natychmiast. Jej ciepło. Kojący dotyk jej duszy. Uczucie to prawie rzuciło go na kolana. Zrobił krok naprzód i zatrzymał się. To ona musi do niego przyjść. To musi być jej decyzja.

Więc czekał, wsłuchując się w ciche mruczenie dobiegające z silnika samochodu, do chrzęstu żwiru pod oponami. Powoli, coraz bardziej powoli, samochód zbliżał się do domu. Mógł ich usłyszeć, słyszał kierowcę, starszego mężczyznę z akcentem z Nowego Jorku jak rozmawiał z Savannah. Usłyszał jej miękką, cichą odpowiedź. Samochód zatrzymał się u bramy jego pałacu.

Jego umysł przepłynął i ciężkie żelazne drzwi otworzyły się natychmiast. Poczł zaskoczenie kierowcy, jego strach. William usłyszał jak Savannah otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu. Usłyszał ją, gdy zaczęła iść w stronę domu. Słyszał jak jej serce zaczęło łomotać, głośniejsze, mocniej. Znalazła się przed drzwiami. Jego mięśnie były napięte, ale nie ruszył się. Ona musi przyjść do niego. Musi! Chociaż pragnął iść do niej. Jej ręka ponownie uderzyła w drewniane drzwi. Zawiał wiatr i otworzył je.

Savannah była zdyszana, świadczyło to o wysiłku jak włożyła w tę podróż. Tak blisko. Była tak blisko. Załedwie dwadzieścia metrów od niego. Mógł poczuć jej zapach. Lawenda. Mógł niemal poczuć jej smak. Wzięła głęboki oddech, dźwięk prawie jak szept. I postąpiła kolejny krok do przodu. Jej tenisówki skrzyphiały cicho na drewnianej podłodze. Jeden krok. Następny. Bliżej. Kolejne kroki. Tak blisko. Cały był skupiony na niej.

Staneła w progu wielkiej sali. Odwrócił się powoli, głodny jej widoku. Jej oczy, jasne i czyste, spotkały jego. Nie powiedziała ani słowa. Była tutaj. Powiedział jej, co się stanie, gdy będzie w domu.

Jeśli nadal tu będziesz, wtedy będziesz moja. Na zawsze.

Te słowa rozbrzmiewały mu w głowie. Savannah upuściła małą torbę podróżną na podłogę. Potem wytarła ręce o przód jej dżinsów. William śledził wzrokiem jej nerwowe ruchy.

-Wybrałam, powiedziała cicho.

Ochryply dźwięk jej głosu wywołał pragnienie, które przeszło przez niego. Chciał do niej podejść, wziąć ją w ramiona i przycisnąć do siebie. Zamiast tego, czekał, w bezruchu, rozpaczliwie wyczekując, aż powie słowa, które zwiążą ich ze sobą.

-Musisz mnie przemienić i pomóc mi wymierzyć sprawiedliwość dla mojego brata i jego żony.

Oblizła swoje usta i wzięła szybki oddech.

-W zamian, będę twoją towarzyszką, na zawsze.

Jego towarzyszka. Jego ciało napreżyło się.

-Wieczność to bardzo długo, Savannah. Skąd mam wiedzieć, że nie zmienisz zdania?

Mogła go opuścić któregoś dnia, tak jak opuścił go jego brat wieki temu. Czy mógł jej zaufać? Nie zaufał, żadnej osobie od czasu swojej przemiany. Spuściła brodę.

-Daję ci moje słowo. Zostanę z tobą.

-Jako moja kobieta?, rzucił, zaciskając szczęki.

Zaczerwieniła się.

-Tak... Szedł ku niej, wykorzystując czas by wychwycić emocji, które były widoczne na jej twarzy. Gniew. Strach. Zatrzymał się zaledwie o krok od niej. Podniósł rękę, owinał ją wokół niej i przyciągnął ją do siebie.

-Pocałunek, wyszeptał, który przypieczętuje umowę.

Jej drżące usta, rozchyliły się. Opuścił głowę i zamknął jej usta swoimi. Była tak słodka jak zapamiętał. Jej smak był tak czysty, tak bogaty. Jego język pieścił jej usta, przesuwał się delikatnie do ich ciepłego wnętrza. Ochoczo wyszła na spotkanie, jego dotyku, jego pocałunku.

Igrał z jej językiem, próbując jej, lekko, delikatnie jakby była wybornym winem. I podobnie jak winem, wiedział że łatwo może upić się jej smakiem. Jego ramiona owinięte wokół niej, przyciągały ją do niego coraz mocniej. Tak dobrze było ją czuć. Taka miękka i uległa. Wsunął ręce pod krawędź jej koszulki. Jej plecy były gładkie, niesamowicie delikatne. Palcami pieścił jej kręgosłup, przesuwał się lekko do brzegu jej pleców. Była taka delikatna w dotyku, taka krucha.

Odpowiedziała na jego pocałunek z tak silną namiętnością, że go ogłuszyło. Jego ręka przesunęła się na brzeg jej koszuli, przemieszczając się i opierając tuż poniżej łuku jej piersi. Chciał chwycić te wzgórki w swe dłonie, poczuć jaj jej sutki naprężają się pod jego palcami. Chciał wziąć je w swoje usta. Ssać je. Lizać je. Jego palce odszukały niewielki wykrój jej biustonosza i przesłodziły jego koronkową powierzchnię. W odpowiedzi jej sutki stwardniały.

Warknął. Savannah wyrwała się od niego. Cofnęła się o krok, ciężko dysząc. Zacisnął szczęki. Czuł swoje zęby, ostre palenie przeszło jego dziąsła. Bestia się obudziła.

-Już wycofujesz się z naszej umowy?

Jego głos był gardłowy. Oczy Savannah były otwarte, głębokie jeziora pełne tajemnic. Przelknęła raz, potrząsnęła głową.

-Zanim pójdziemy dalej, muszę wiedzieć ...

-Co?

Co ona musi wiedzieć? Nie знаła już wszystkich jego sekretów? Czego więcej mogła chcieć? Musi obnażyć się przed nią? Gniew rozpalił się w nim. Chwyił ją za ramię i przyciągnął jej ciało z powrotem do swego, zmuszając ją by poczuła pożądanie, które go spalało.

-Nasza umowa jest ustalona, słodka wróżko. Nie ma już teraz odwrotu.

-Wiem, powiedziała, niskim, prawie smutnym głosem.

Jej wzrok spotkał się z jego.

-Nie chcę się wycofać.

Próbował odzyskać kontrolę, odmawiając bestii wydostania się na wolność. William wziął głęboki, drżący oddech. Będzie mieć Savannah. Wkrótce. Przyglądał się jej uważnie, szukając jej twarzy.

-Co chcesz wiedzieć?

Podniosła dłoń do góry, nadgarstek kierując w jego stronę. Dwa czerwone nacięcia znajdowały się na jej ręce. William zeszywniał na ten widok.

-Co mi się dzisiaj przydarzyło? To nie był sen.

Zacisnęła rękę.

-Sny cię nie krzywdzą.

Niektóre sny tak. To była lekcja, której William nauczył się dawno temu.

-Powiedz mi co się stało, zażądała Savannah.

-Muszę to wiedzieć. Mam do tego prawo.

I naprawdę miała prawo wiedzieć. Wiedział o tym. Ale nie chciał jej powiedzieć. Nie chciał widzieć jak, gniew i nienawiść znaczą jej piękną twarz. Nie chciał ryzykować, że ją utraci.

-Powiedz mi, Williamie! Powiedz mi.

Jej oczy przeszywały go. Nie miał wyboru.

-To było coś więcej niż sen. Przyglądała mu się w milczeniu, skłaniając go by mówił dalej. Wziął głęboki oddech i odsunął się od niej. Szedł w kierunku ognia.

-Więcej niż sen, ale mniej niż rzeczywistość.

-Nie rozumiem.

Jej głos brzmiał bardzo spokojnie. Oczekiwał, że się wścieknie, zacznie krzyczeć. Być może, że to przyjdzie później.

-Ta...kreatura, która była w twoim śnie...

Urwał, nie wiedział jak to wytłumaczyć.

-On...on ma pewne moce.

-Jaki rodzaj mocy?

-On jest stworzeniem nocy. Może kontrolować cień, mgłę...

-Nie byłam w cieniu. Savannah odparła.

-Byłam w pokoju hotelowym. W środku dnia.

William odwrócił się do niej.

-Cienie są wszędzie. Są w ciemnych uliczkach, opuszczonych parkach. Nawet w ludzkich umysłach.

W rzeczywistości cienie najczęściej można znaleźć w umyśle. Mieszkały w nich, rosły, ukrywały się w zakamarkach umysłu. Sfrustrowana Savannah, przesunęła ręką po swoich, zmierzwionych włosach.

-Nie rozumiem. Przestań bawić się w głupie zagadki i po prostu powiedz co się stało.

-Przecież ci mówię.

Jego głos był miękki, tak jak jej był głośny.

-Musisz otworzyć swój umysł, musisz mnie słuchać.

Powiedział przez zaciśnięte zęby.

-Dobrze. On kontroluje cienie. Cienie, które są w mojej głowie.

-Każdy rodzaj cienia.

Było to jedną z największych słabości człowieka.

-Cienie strachu, gniewu. Cienie, które znajdują się w ciemności ludzkiego umysłu, oczekujące by urosnąć. Czekające na rozprzestrzenienie się.

Zmarszczyła brwi.

-Ja nadal nie...

-To twój strach. Twój gniew. To go przyciąga. I to daje mu siłę.

To dało potworowi siłę i uczyniło Savannah słabą. Będzie musiał nauczyć ją jak zamykać swój umysł, żeby umiała się obronić.

-Siłę, żeby wejść do mojego umysłu?

-Siłę, by wejść do twej duszy.

Musiał zrobić wszystko by zrozumiała niebezpieczeństwo.

-Tak długo, jak będziesz czuła strach, on może wejść do twojego umysłu. Może dotrzeć do ciebie. Może cię wyczuć.

Złapał jej dłoń.

-Może sprawić, że ty go poczujesz.

-Powiedział, że czuł mnie już wcześniej.

Mówiła cicho z opuszczonymi oczami.

-Że wiedział o mojej obecności, kiedy on...kiedy on...

Urwała nagle, widocznie nie zdolna dalej kontynuować.

William wiedział, co chciała powiedzieć i skończyła za nią, szepcząc cicho.

-Kiedy zabijał twojego brata.

Jej oczy napełniły się łzami.

-Tak, szepnęła.

Łza spłynęła po jej policzku, ale jednym, szybkim ruchem ręki starła ją.

-Powiedział, że czuł mnie kiedy zabijał Marka.

Przerażenie było widoczne na jej twarzy.

-Twój umysł jest silny, Savannah. On zwrócił na to uwagę. Na ciebie.

Ale William wiedział, że prędzej szlak go trafi, niż pozwoli temu bękartowi położyć ręce na Savannah. Ona była jego. Umowa została zawarta. Zmarszczyła czoło.

-Ty go znasz, prawda?

William spał się. To było pytanie, którego się obawiał. Myślał o kłamstwie, o zaprzeczeniu prawdzie. Przynajmniej na jakiś, dłuższy czas. Ale jak zobaczył jej pośepny wzrok, mógł mówić dalej tylko prawdę.

-Tak. Tak znam go.

-Kim on jest?

Spuścił rzęsy, przesłaniając jego wzroku. Jak ona zareaguje? Czy jego słowa ją odstraszą? Czy ich umowa tak łatwo zostanie złamana? Mówił cicho.

-On jest mordercą. Mordercą, który żywił się krwią niewinnych przez setki lat.

-Musimy go powstrzymać, powiedziała zaciskając pięści. Nie możemy pozwolić mu skrzywdzić nikogo więcej.

William skinął głową. Zbyt wiele osób już zginęło. Savannah zmrużyła oczy.

-Tam jest coś jeszcze, prawda? Coś czego mi nie mówisz?
Zaskoczyła go. Skąd ona to wie? Rozwijał swoje zdolności w ukrywaniu swoich uczuć.

-Tak, jest coś więcej.

-Powiedz mi.

Stała przed nim, patrząc na cały świat, a silniejszy wiatr mógłby ją zdmuchnąć. Ale jej wzrok pełen był takiej siły, takiej odwagi. Nadszedł czas na prawdę.

-Nazywa się Geoffrey.

-Geoffrey, powtórzyła cicho to imię.

Uśmiech zadowolenia wygiął jej wargi. William mógł tak łatwo czytać z jej twarzy. Mogła się teraz skupić, na imieniu. Przedtem miała tylko cień. Potwora czekającego w ciemności. Teraz miała imię, cel swojego gniewu, swojej nienawiści. Spojrzała na niego ostro.

-Skąd go znasz?

Zapytała.

-To mój przyrodni brat.

-Co?

Przygotowywał się na jej wściekłość. Na to, że go odrzuci.

-Geoffrey de Montfort jest moim przyrodnim bratem.

Potrząsnęła głową w gwałtownym sprzeciwie.

-Nie. Nie, to nie może być prawdą.

-Przeczytałaś pamiętnik, przypomniał jej brutalnie. Wiesz, że mam dwóch braci. Henry'ego i Geoffrey'a. Jeden złoty jak dzień, a drugi z duszą tak ciemną jak noc.

-Ale jak...

-Dlaczego żyje. Dlaczego jest teraz tutaj, żeby zabijać?

William zacisnął usta.

-On jest z mojej krwi. Dzieli ze mną takie samo przekleństwo. Byli związani wspólnym dziedzictwem. Związani by chodzić po ziemi, doświadczać wiecznego głodu. Podejrzenie, napełniło jej wzrok.

-Wiedziałaś, szepnęła. Wiedziałaś, że będzie zabijać. Dlatego byłeś w Panamie i w Atlancie. Wiedziałaś co on zamierza zrobić!

Skąd ona wiedziała o Panamie i Atlancie? Myślał, że jego obecność była niezauważona w tych miastach. Tak wiedział, że Geoffrey wymknął się z pod kontroli, ogarnięty zabijaniem, niszczeniem każdego na swojej drodze.

-Tak, wiedziałem.

Proste stwierdzenie.

-I nie powstrzymałeś go?

Popchnęła go, uderzając z całej swojej siły w jego klatkę piersiową. Nie poruszył się.

-Dlaczego go nie powstrzymałeś, draniu? Dlaczego?

Znów go uderzyła. William chwycił ją rękami, trzymając ją łatwo w zasięgu jego rąk. Wtedy otworzył swoje usta do odpowiedzi, ale zamiast tego zamknął je. Powinien był powstrzymać Geoffrey'a. Powinien był go powstrzymać lata temu. Był odpowiedzialny za całe zło, które uczynił jego brat.

-Zabił Marka. Zabił Sharon, i Bóg wie, jak wielu innych ludzi! Jeśli wiedziałeś co on robi, dlaczego go nie powstrzymałeś?

Próbował. Próbował powstrzymać Geoffrey'a. Próbował go powstrzymać od czasu tej krwawej bitwy we Francji. Walczyli godzinami, aż każda kość była złamana, aż opuściły ich wszystkie siły. Kołek był tak blisko serca Geoffrey'a. To były sekundy od zakończenia życia jego brata. A potem spojrzał w oczy brata... I spojrzały na niego oczy Henry'ego. Na chwilę stracił czujność, swoją siłę. I to była chwila, której potrzebował Geoffrey. Geoffrey kopnął Williama w bok i uciekła tak szybko jak tylko mógł. William śledził brata od tego czasu, podążając za nim po całym świecie. Znajdując zwłoki w każdym mieście, ale nigdy nie przybywając na czas aby powstrzymać brata.

-Byłem spóźniony, w końcu odezwał się do Savannah. Za każdym razem, przybyłem za późno.

Pamięć o ofiarach Geoffrey'a zżerała go. Mógł nadal je widzieć, widzieć puste oczy i blade ciała. Zobaczyć strach na zastygłych twarzach. Te twarze będą go prześladować przez całą wieczności.

-Za każdym razem?

Savannah przełknęła. Usta lekko jej drżały.

-Czy to znaczy, że tam byłeś? Kiedy zabijał, byłeś tam?

Ah. Pojawiło się to. Strach. Wstręt. Wiedział, że to nadejdzie. Odwrócił się od niej, nie chcąc patrzeć na jej twarz, nie chcąc widzieć potępiającego spojrzenia.

-Musisz zrozumieć. On jest tak stary jak ja, tak silny jak ja. Tropię go od stuleci. Gdy tylko się zbliżę, kiedy myślę, że już go

mam, on ucieka. I wtedy pojawiają się kolejne tropy krwi do moich poszukiwań.

William widział, że Geoffrey celowo zostawiał swoje ofiary by on je znalazł. To był kolejny sposób jego brata, aby z rozkoszą go dręczyć.

-Musimy go powstrzymać.

Jej głos był miękki, ale mocny.

-Nie możemy pozwolić mu skrzywdzić nikogo więcej.

Dotknęła lekko jego ramienia. William obrócił się. Nie mógł uwierzyć, że ona chce nadal z nim rozmawiać, a tym bardziej go dotykać, po tym jak poznała prawdę.

-Musimy go powstrzymać, powtórzyła cicho, patrząc na niego uroczystym wzrokiem.

-Zrobimy to.

To było ślubowanie. William wiedział, że nie spocznie, dopóki Geoffrey nie zostanie zniszczony. Słabe linie pojawiły się na jej czole.

-Czy będziesz w stanie to zrobić?

Kiwnął głową. Zrobi to, co będzie konieczne do powstrzymania Geoffrey'a.

-Jesteś pewien? Savannah zapytała.

-Czy będziesz w stanie zniszczyć swojego brata?

Fala smutku przeszła przez niego. Zrobił to wcześniej.

-Zrobię to, co musi zostać zrobione.

I myślał o tym poważnie. Nie było możliwości, żeby pozwolił by jego brat skrzywdził Savannah. Dotknęła jego policzka. Jej palce były tak miękkie dla niego.

-W twoim życiu było tyle smutku. Tyle bólu, powiedziała.

Nic nie mówił. Nikt nigdy nie zaproponował mu wcześniej sympatii. Nikt o to nie dbał.

-Przykro, mi Williamie.

Było jej przykro? Jego brat ją prześladował, zabił jej rodzinę, a ona przepraszała jego?

-Chciałabym...

Smutny uśmiech wygiął jej wargi.

-Chciałabym, żeby twoje życie było inne.

Po tysiącu latach swojego istnienia, to on modlił się o inne życie. Ale Bóg już dawno odwrócił się od niego.

-Nie trać czasu na życzenia. Nie możesz zmienić tego co jest.

Cofnął się od niej, nagle potrzebują mieć trochę przestrzeni między nimi. Potrzebował ucieczki od sympatii, od litości, którą widział w jej oczach.

-Pomogę ci. Przemienię cię i nauczę wszystkiego, co musisz wiedzieć o siłach wampira. Znajdziemy Geoffrey'a i go zniszczymy. Masz moją obietnicę.

Jego wzrok zaczął podróż po jej ciele, od jej pięknej twarzy, spoczywając na jej jędrnych piersiach. Powoli, bardzo powoli, obniżał wzrok, na jej wąskie biodrach i długie, długie nogi.

-W zamian, chcę tego, co już mi obiecałaś.

Nie chciał jej sympatii. Chciał jej ciała, gorącego i przepelnionego potrzebą, naprzeciw jego.

-Chcę ciebie.

Teraz. Przy płonącym ogniu. Savannah uniosła podbródek.

-Dałam ci słowo. Nie zamierzam się wycofać.

Uśmiechnął się, ukazując swoje kły.

-Dobrze, więc zaczynajmy....

Rozdział 7

William został wysłany na diabelską misję.

Modłę się, by wrócił do mnie na czas...

-Zapis z pamiętnika Henrego de Montfort, 30 Listopada 1068.

Savannah nie zamierzała dać mu satysfakcji, by zobaczył jej strach. Ukryła trzęsące się ręce za sobą i stanęła naprzeciw niego.

-Jestem gotowa.

Zaśmiał się cicho, mrocznie i zmysłowo. Dźwięk owinał się wokół niej, przeszedł przez nią. Wzięła głęboki oddech. Zaczął chodzić wokół niej, przysuwając krok po kroku, jego ciało coraz bliżej do niej. Mogła go poczuć. Zapach mężczyzny. Pełen ciemnej nocy i tajemnicy. Patrzył na nią, jego gorący wzrok badał, każdy centymetr jej ciała.

-Nie jesteś jeszcze gotowa, wyszeptał, przesuwał się by stanąć bezpośrednio za nią.

Mogła poczuć jego oddech, jak łaskotał delikatną skórę jej szyi.

Pochylił się do przodu, przykładając usta do jej ucha.

-Jeszcze nie, ale będziesz.

Przesunął jej włosy na bok, odsłaniając skórę jej gardła.

Delikatnie dmuchnął na jej kark, a przez jej ciało przeszedł dreszcz.

Zamknęła oczy, starając się odciąć od niego, zablokować własne, szalejące emocje. Zamierza to zrobić teraz? Zamierza domagać się teraz jej ciała? Czowała jego usta, jak poruszają się lekko na jej skórze.

Jego język, lizał tak delikatnie jej szyję. Jęknęła, dźwięk wydostał się z jej ust, zanim udało się jej go zatrzymać. Jego ramię, niczym stal, okrążyła ją w pasie i wciągnęła ją z powrotem w kolebkę jego ciała. Mogła go poczuć, poczuć sztywną długość jego pożądania, napierającą na jej biodra. Wzięła głęboki oddech i wygięła się w łuk. Tym razem to on był tym, który jęknął. Ten dźwięk był niski, nierówny, przepelniony pragnieniem.

-Słodka Savannah, szepnął, liżąc jej wrażliwe gardło.

-Chcę cię smakować, całą ciebie.

Przeniósł rękę pod jej bluzkę, spychając na bok miękką bawełnę, aż dotknął skóry jej brzucha.

-Jesteś tak miękka. Jak jedwab.

Jego palce były szorstkie, ale jego dotyk był niesamowicie łagodny. Podniósł rękę, przesuwając ją do góry w kierunku klatki piersiowej i wzniesienia jej piersi. Ciepło rozlało się w jej podbrzuszu. Jej sutki nabrzmiały w oczekiwaniu. I wiedziała, że nigdy nie pragnęła nikogo w taki sposób, w jaki pragnęła Williama. Jego ręka ostrożnie spoczęła na jej piersi, drażniąc lekko sutek przez koronkę jej stanika. Drugą ręką przytrzymał jej biodra przy swoich i znów na nią naparł. Jego język nadal pieścił jej gardło. Długie, zmysłowe liźnięcia jego ruchliwego języka na jej skórze. Czowała ostrza jego kłów, naciskających na nią.

Otworzyła oczy i zapatrzyła się w ogień. Płomienie płonęły silnie i jasno. Tak jak pragnienie, które szalało w niej.

Warknął, obrócił ją do siebie tak szybkim ruchem, że zdążyła tylko złapać oddech. Patrzył na nią. Jego oczy były czarne, czarne głębie, pełne pożądania. Widziała krawędzie jego kłów. Białych, lśniących.

-Zdejmij bluzkę, rozkazał, przytrzymując swój wzrok na jej twarzy.

Wcześniej, gdy stała do niego plecami, było inaczej. Zagubiła się w jego dotyku, magii uczuć płynących przez nią. Teraz, stojąc z nim twarzą w twarz, nagle poczuła się nieswojo, nieśmiała.

Ale nie chciała się teraz wycofać. Ręce jej się trzęsły, gdy sięgnęła w dół swojej bluzki. Ściągnęła ją szybko, a potem rzucił ją na pobliskie krzesło. Wzięła głęboki oddech, czując ciepło ognia na swojej skórze. Spojrzała w górę, jej oczy spotkały jego przeszywający wzrok.

Co on o niej myślał? Wiedziała, że jej piersi są małe, że jej skóra jest zbyt blada. A on był niewątpliwie z dziesiątkami kobiet. Pięknymi kobietami, z doskonałym ciałem. Nigdy nie będzie się mogła z nimi równać. Zagapił się w dół, patrzył na czarny, koronkowy stanik, który miała na sobie. Był mały, zaledwie skrawek koronki. Oblizwał swoje wargi. Savannah przełknęła.

-Teraz twoje dzinsy, powiedział gardłowym głosem. Zapłonęły jej policzki, a ona zacisnęła usta. Savannah zrzuciła swoje buty i zsunęła skarpetki. Wzięła głęboki wdech, a jej palce dotarły do guzika dzinsów. Strasznie się grzebała, walcząc z zapięciem. Jej ręce trzęsły się, gdy powoli sunęła w dół suwakiem. W paru sekundach, odepchnęła dzinsy daleko, i stanęła przed nim, odziana jedynie w cienką, czarną koronkę jej biustonosza i majteczek. Patrzył na nią, jego wzrok wędrował po niej, jakby dotykał jej fizycznie.

-Jesteś piękna. Każdy cał ciebie.

Podszedł do niej. Powoli, owinął swoją rękę wokół jej tali. Przyciągnął ją do siebie, przyciskając jej cało do materiału jego koszulki i spodni. Sapnęła, czując jak wrażliwa stała się jej skóra. Pochylił głowę i zamknął jej usta swoimi. Jego język śmiało wniknął w jej usta. Włożyła w to całą siłę, całując go z całym pożądaniem jakiego w niej było. Poczuli jak jej stanik opada na podłogę i zastanawiała się kiedy on zdążył go rozpiąć.

Wtedy jego ręce znalazły się na jej ciele, a ona w ogóle przestała myśleć. Szczypał palcami jej sutki, ściskając mocno i uwalniając napięte paki. Ugięły się pod nią kolana, a ona wygięła się na spotkanie jego dotyku. Opuścił głowę, zaczął ją lizać i ssać, rozpoczynając swoją wędrówkę w dół jej ciała. Jego język był jak szorstki jedwab. Położył ją na drewnianej podłodze. Poczuli zimno na plecach. Ale nie dbała o to. Jego usta były zamknięte na jej sutku, a on lizał go, pochłaniając go zachłannie. Jęknęła. Nigdy nie czuła takiej potrzeby. Uniosła swoje biodra, wypychając je w górę do niego. Czuli się tak pusta. Potrzebowała go, potrzebowała go by wypełnić tę pustkę wewnątrz niej. Czuli materiał jego spodni, który ocierał się o skórę jej uda. Chciała go poczuć.

-Twoje ubranie, szepnęła. Zdejmij je. Chcę...

Zanim zdążyła dokończyć zdanie, jego ubranie zniknęło. Jej oczy rozszerzyły się w szoku. Jak on... Rozsunął jej nogi i umieścił swoje ciało dokładnie nad nią. Jego usta nadal lizały jej piersi, gładząc i pobudzając. Jego ręka zaczęła sunąć w dół, przez krzywiznę jej brzucha, niżej, aż dotarła do kępki rudych włosków u zbiegu jej ud.

Rozsunął czule wrażliwe fałdki i jego palce zaczęły je pocierać. Zdławiony krzyk, wyrwał się z jej ust. Warknął, a jego usta zaczęły

ssać mocniej. Jeden z jego palców wślizgnął się do jej wnętrza. Gorączkowo uniosła wyżej biodra. Czuła jak napięcie zaciska się na całym jej ciele. Potrzebowała go, potrzebowała go rozpaczliwie. Rzucała głową. Jego palec poruszył się w jej wnętrzu. Sapnęła. Podniósł głowę, patrząc na nią oczami, które płonęły czerwienią.

-Jesteś już dla mnie wilgotna, Savannah. Czuję twoje pożądanie. Jego palec wniknął głębiej w jej wnętrze, wsuwając się i wysuwając z jej ciała w lekkim rytmie. To nie wystarczało. Jej ciało przeszedł dreszcz. Potrzebowała więcej. Potrzebowała jego.

-William!

Zadrżała, napierając swoim ciałem na jego dłoń.

-Jesteś tak ciasna.

Lizał wzniesienia jej piersi.

-Ale przyjmiesz mnie, prawda? Przyjmiesz mnie w swoje, piękne ciało.

Jego kciuk napała na nią i zwiększył całe napięcie w jej ciele. Ogień przetoczył się przez nią, a ona desperacko siliła się, by wyzwolić się od okrutnego głodu, który skupił się w jej wnętrzu. Nigdy nie czuła takiego pożądania. Jej ciało pulsowało z bólu. Walczyła rozpaczliwie, o wyzwolenie, o złagodzenie pragnień przetaczających się przez nią.

-Nie mogę...Nie mogę...

Savannah nie wiedział, czego potrzebuje, co powstrzyma pożar, który ją spalał. William wiedział. Przysunął się, naciskając swoją erekcją, na jej wilgotne wejście.

-Spójrz na mnie, warknął.

Główka jego penisa wnikała w nią.

-Spójrz na mnie!

Jej wzrok napotkał jego. Rysy jego twarzy, wyrzeźbiły twarde linie pożądania. I głodu.

-Nie ma już odwrotu, Savannah.

Napał na nią i jednym, mocnym pchnięciem zagłębił się w jej ciele. Savannah krzyknęła z nieoczekiwanego bólu. Zastygł i spojrzał na nią, wzrokiem pełnym niedowierzania. Wstrzymał swoje ciało, nadal zagłębiony w niej. Pot wystąpił na jego czole. Ciało Savannah

zaczęło się powoli rozluźniać wokół niego, z chwilą gdy palący ból przygasł do wolnego pulsowania.

-Wszystko w porządku, wyszeptała.

-Nic mi nie jest.

Poruszyła się pod nim, wolno zakołysała biodrami. Stracił kontrolę. Niski ryk zagrzemiał w jego gardle, brzmiał jak u dzikiej bestii. Ręką uniósł jej nogi, owijając sobie nimi biodra i przytrzymał ciasno jej ciało przy swoim. Wsunął się w nią głęboko i mocno. Znowu i znowu. I jej potrzeba wróciła. Pragnienie przedzierało się przez nią. Z każdym ruchem jego bioder, wysłał ją wyżej, bliżej krawędzi płonącej przyjemności. Mogła go poczuć wokół nie. Wewnątrz niej. Tak mocno. Przesunął jej biodra, wnikając w nią głębiej, niż kiedykolwiek wcześniej. Ciało Savannah wygięło się w łuk. Zsunął rękę między ich złączone ciała i dotknął jej, tylko jeden raz. Wybuchła. Przyjemność przetoczyła się przez jej ciało. Krzyczała jego imię. Znow na nią napierał. Głębiej. Mocniej. Spuścił głowę.

Czuła jego oddech na swojej szyi. Czuła drapanie jego zębów. Niemożliwie, czuła, jak jej ciało walczy o kolejne wyzwolenie. Napięcia w niej stało się mocniejsze. Silniejsze. Jego zęby wbiły się w jej szyję. Ogień przyjemności wybuchł w niej. Wsunął się w nią jeszcze raz i rozlał siebie w niej, jego cało drżało. Węzeł napięcia pękł. Jej ciało trzęsło się w kulminacji tak intensywnej, że zdławiła łkanie. Światło błysnęło jej przed oczami i wtedy zapadła się w ciemność. Całkowitą ciemność.

* * * *

Poczuła, że boli ją szyja. Savannah zmarszczyła brwi, czując słaby ból. Dlaczego boli ją szyja? Co się... Szybko podniosła powieki. William spoglądał na nią, marszcząc brwi. Jego włosy uwolniły się z węzła i czarna masa spływała luźno wokół jego nagich ramionach. Wyglądał tak groźnie. Niebezpiecznie. Ale przecież, on zawsze wyglądał niebezpiecznie. Nie można było ukryć prawdziwej natury bestii. Próbowwała usiąść, ale położył ręce na jej ramionach, przytrzymał ją łatwo w miejscu.

-Nie ruszaj się.

W jego tonie pojawił się ślad gburowatości.

-Twoje ciało jest słabe.

Skinęła głową. Poczula jak jej ciało omdlewa i wypełnia je głęboki letarg.

-To z powodu utraty krwi.

Jego wzrok przesuwał się po niej, oceniając.

-Wypiłem, zbyt dużo od ciebie. Powinienem być bardziej uważać.

Zacisnął szczęki, a blizna na policzku wdawała się być jeszcze bielsza. Spojrzał w górę, zapatrując się w płomień.

-Nie ma na to usprawiedliwienia. Przepraszam, Savannah.

Było tyle smutku w jego słowa. Nie chciała zasmucić Williama. Doświadczył już dość bólu w swoim życiu.

-Chciałam, żebyś to zrobił. Wiesz o tym.

Chciała, żeby zrobił to wszystko. Chciała by wypełnił jej ciało. By wziął jej krew.

-Powinienem bardziej nad sobą panować.

Zacisnął rękę wokół jej ramienia. Wzdrygnęła się na ten bolesny uchwyt, a jego uścisk natychmiast złagodniał.

-Nie miałem w tedy zbyt dużej kontroli.

Jej usta wygięte w zwycięskim uśmiechu. Wzrokiem szukał jej twarzy.

-Dlaczego mi nie powiedziałaś?

-Powiedzieć ci?

Przełknęła, starając się złagodzić suchość w gardle.

-Co ci powiedzieć?

-To, że nigdy nie byłaś z mężczyzną. To, że był to twój pierwszy raz.

Słowa te opadały ciężko w cichym pokoju. Wzięła głęboki oddech i odepchnęła się do pozycji siedzącej. Jego ręce zsunęły się z jej ramion.

-Nie pytałeś, zamrugła, czując jak się rumieni.

Cóż nigdy nie uprawiała seksu. Wielka rzecz. Dlaczego robił z tego taki problem?

-Trzeba mi było powiedzieć, mruknął, jego wzrok powędrował do delikatnego wzniesienia jej piersi.

-Niektóre, rzeczy mogłyby być inne. Mógłbym uczynić je lepszymi dla ciebie.

Lepszymi? Savannah nie wiedziała, czy potrafiłaby przetrwać te „lepsze.”

-William, nie chciałam niczego innego. Chciałam po prostu tylko ciebie.

I to była prawda. Ona nie dbała o ich umowę. Myślała tylko o nim. I o pożądaniu, które on w niej rozpalał. Wyciągnął rękę i zaczął pieścić jej piersi.

-Dlaczego czekałaś? Dlaczego nie znalazłaś, jakiegoś miłego człowieka i nie zaczęłaś uprawiać seksu dawno temu?

Jej sutki stwardniały. Wystarczył dotyk, a jej ciało znów płonęło. Wzięła głęboki wdech, starając skupić się na jego słowach.

-Dlaczego czekałam?

Roześmiała się cicho, lekki, gorzki śmiech.

-Po pierwsze byłam za bardzo chora, żeby o to dbać. Po za tym, kiedy jesteś umierający, seks jest bardzo nisko na twojej liście priorytetów. Tak było w szpitalu i kiedy z niego wyszłam. Zmęczona od terapii, od zabiegów, od leków. Nie miałam energii by marnować ją na związek.

Pomyślała o tym, jak się czuła, gdy William domagał się jej. Myślała o przyjemności. O pożądaniu. Tak, to prawda, że nie dbała wystarczająco o seksualne doświadczenia. Ale, gdyby wiedziała wcześniej co traci....

Jego ręce ujęły jej piersi i Savannah wydała gwałtowny jęk. Ach, gdyby tylko wiedziała.... Ale wtedy, seks z kimś innym, nie byłby taki sam. Nie było by kogoś takiego jak William. Nikogo.

Teraz, jej ciało rozgrzało się, jej mięśnie zacisnęły, gdy nowy głód przetoczył się przez nią.

-Jesteś taka wrażliwa.

Jego oczy zaczęły się tlić. Patrzył na nią, jego ciało się napięło. Ręką sunął w dół jej brzuchu, do kolebki jej ud.

-Chcę cię jeszcze raz, powiedział gardłowym głosem. Muszę cię poczuć, owiniętą wokół mnie, ściskającą mnie.

Wsunął palce w jej wnętrze. Savannah wstrzymała oddech, na tą mieszankę przyjemności i bólu, która w nią uderzyła. William zamarł.

-Savannah?

Oblizła swoje wargi.

-Ja...ja jestem trochę obolała.

Ale miała przecucie, że on jest w stanie sprawić, że zapomni o bólu. Zaklął, wymownie i ostro. Jego palce powoli wycofały się z niej, łatwo po za jej wejście.

-Oczywiście, że jesteś. Przepraszam. Ja...

Zacisnął szczękę.

-Wydaje się, że tracę przy tobie kontrolę.

Jej serce podskoczyło na to gorące stwierdzenie. Zdała sobie sprawę, że nie chce, by on się kontrolował. Chciała, żeby jej potrzebował, pragnął jej, rozpaczliwie. Nikt nigdy nie pragnął jej tak wcześniej. Nikt.

Wsunął jedno ramię pod jej plecy, a drugie pod zgięcie jej kolan. Uniósł ją łatwo, przyciskając do swojej klatki piersiowej. Patrzył na nią, a w jego wzroku odbijało się tyle intencji.

-Zaopiekuję się tobą, Savannah.

Delikatnie prześledziła linię jego blizny. Blizny, którą otrzymał od brata podczas krwawej bitwy.

-I ja zaopiekuję się tobą.

Zamrugał, jakby zaskoczony. Savannah uśmiechnęła się i oparła głowę na jego szerokim ramieniu. William nie zdawał sobie sprawy, ale wiedziała, że on jej potrzebuje. Tak samo jak ona potrzebowała jego.

Chodził po domu, niosąc ją bez wysiłku. Jego ramiona były mocno zaciśnięte wokół niej, zapewniając jej ochronę. I ona czuła się bezpiecznie w jego ramionach. Bycie tu, bycie z nim, było właściwe.

Po chwili byli już na piętrze. Savannah rozglądała się z zaciekawieniem. Olbrzymi, drewniany pokój rozciągał się na całą długość domu. Duża, obszerna wanna stała na środku. Nocne niebo rozciągało się nad nimi, oświetlając pomieszczenie tysiącami gwiazd.

Savannah wzdrygnęła się, czując chłodny dotyk powietrza na swojej skórze. William ostrożnie opuścił Savannah na jej stopy, a jego ramiona zagarnęły ją z powrotem do siebie. Pochylił się szybko nad wanną i włączył ciepłą wodę. Trysnął wzmożony strumień.

-To ci pomoże. Złagodzi ból.

Strumienie wody zaczęły rosnać, unosić jak duchy w nocy. Miękki dźwięk szumiącej wody uspokajał ją. William pomógł jej wejść do wanny, a ona wytchnęła na ten wodny dotyk. Siadała powoli, pozwalając okrywać się ciepłej wodzie. William przysiadł przy niej, obserwując ją uważnie. Pochyliła się do tyłu, opierając głowę o krawędź wanny. Tak dobrze było czuć wodę na swojej skórze. Ale nie tak dobrze jak Williama.

-Lepiej?

Jego ręka spoczęła na jej udzie. Savannah skinęła głową, nie ufając swojemu głosowi. Przysunął się do niej, jego umięśnione nogi ocierały się o jej. Wsunął ramię za jej szyję, amortyzację jej głową.

Siedział z nią w czasie bez końca, pozornie zadowolony tylko wpatrywaniem się w noc. Savannah nic nie mówiła. Ten moment wydawał się być wyjątkowy. Ich dwójka, siedząca w ciszy nocy. Nie było tu żadnej śmierci. Żadnego potwora czekającego by zaatakować. Tylko oni. Usłyszał z daleka pohukiwania sowy, smutne, żałosne zawodzenie. William zmienił pozycję, przyciągając ją bliżej swojego ciała.

Był taki silny. Jego ciało było pełne silnych, stalowych mięśni, które ukrywał pod swoim ubraniem. Teraz, nagi wyglądał jak wojownik, którym był tak dawno temu. Wojownik, którym nadal był. Spojrzała na niego uważnie, badając go z pod zasłoną rzęs. Jakie było jego życie? Co takiego widział i zrobił w swoim prawie tysięcznym życiu?

Ona zrobiła bardzo mało w swoim życiu. Dopiero co ukończyła szkołę średnią, gdy pierwszy raz wykryto guza. Po tym, jej życie było wypełnione szpitalem i gabinetami lekarskimi. Chciała iść na studia. Studiować sztukę w Europie. Ale nigdy nie miała na to szansy.

- Czuję cię, Savannah. Twój smutek.

Jego głos rozbrzmiał przy niej.

-Co cię smuci?

-Jak by ci to powiedzieć...

Zatrzymała się w nagłym olśnieniu. Oczywiście, że wiedział. Ugryzł ją drugi raz. Byli teraz związani. Drugie ugryzienie dawało wampirovi ogromną władzę nad jego ofiarą. Zgodnie z legendą,

będzie teraz w stanie czytać jej myśli. Gdyby tylko chciał, miałyby nieograniczony dostęp do jej umysłu, bez względu na to jak daleko była by od niego. Nigdy nie będzie w stanie od niego uciec.

-Nie, powiedział cicho. Nie będziesz mogła.

Wzmocnił uścisk ramion wokół niej.

- Nie podoba mi się, że jesteś w mojej głowie, powiedziała do niego, zapatrzona w kipiącą wodę.

Nie chciała aby on, lub ktokolwiek inny, znał wszystkie jej emocje, wszystkie jej myśli.

-Dlaczego nie? Była pewna ostrość w jego słowach. Ty byłaś w mojej przez całe dni.

Żywo podniosła głowę, patrząc na niego w oszołomieniu.

-Co...co masz na myśli?

Zapatrzył się na nią, z gwałtowną intensywnością.

-Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem, byłaś wszystkim o czym mogłem myśleć. Na jawie. We śnie. Byłaś tam. W moim umyśle.

Doprowadzając mnie do szaleństwa.

Przełknęła.

-Myślałem o tobie przez cały czas. O rzeczach, które chciałbym z tobą zrobić.

Jego wzrok palił ją.

-Pragnąłem ciebie, nagiej, pode mną. Trzymającą mnie tak ciasno, że nie wiedziałbym, gdzie ty się kończysz, a ja zaczynam.

Pragnienie uderzyło w nią. Myślała, że jest zbyt zmęczona, by odpowiedzieć na więcej. Ale tych kilka słów, które wypowiedział rozpałiło ponownie jej pożądanie.

-Ty też mnie pragniesz, prawda?

William mruknął, zanurzając rękę by pieścić jej piersi pod powierzchnią wody.

-Mogę wyczuć twoje pożądanie.

I to było prawdą. Mógł to wyczuć. Jej pasję. Jej potrzebę. To go rozpałiło. Chciał jej. Teraz. Chciał poczuć jej ciało zaciskające się wokół jego. Chciał usłyszeć jak wykrzykuje jego imię. Jej pragnienie było pokusą, której nie mógł się oprzeć. Opuścił głowę.

-Chcę tego skosztować. Skosztować ciebie.

Wziął w niewole jej wargi. Odpowiedziała mu chętnie, jej wilgotne wargi rozchyliły się na spotkanie jego języka. Jego ciało stwardniało, pulsowało dla niej. Musiał ją mieć znowu. Musiał.

Jego ręce pieściły jej piersi. Idealne piersi. Mieszczące się w jego dłoniach, jak by były stworzone właśnie dla niego. Jęknęła, a on spijał chętnie ten dźwięk z jej ust. Rozsunął jej uda, wzuwając pomiędzy nie swoje biodra. Szeroka główka jego penisa napierała na jej wejście, pragnąc powrócić do rajy jej ciała. Prawą ręką zsunął między ich ciała. Odnalazł jej środek, drażniąc go, przycisnął lekko guziczek jej pożądania. Jej nogi zaczęły zaciskać się na nim.

-Jesteś tak piękna, wyszeptał.

I była. Nigdy nie widział nikogo tak doskonałego. Jej oczy były jasne, migające z pragnienia. Jej policzki pokrył jasny róż. Jej usta były rozchylone i wilgotne, czekają tylko na jego pocałunek. Gwiazdy świeciły na nią, z delikatną poświatą, oświetlając jej delikatną skórę. Była tak piękna, że patrzenie na nią sprawiało mu ból.

Jej paznokcie wbijały się w jego plecy. Napierała swoimi biodrami na jego. Rosło w nim pragnienie krwi. Bestia była jej spragniona, wyrzyczała swoje pragnienie. Jeszcze raz spróbuje. Jeszcze tylko jeden raz spróbuje... Opuścił głowę do jej gardła. Polizał je. Raz, drugi. Była tak słodka. Tak cholernie słodka. I po prostu musiał jej skosztować. Swędziało go kły. Czuł jak się wysuwają. Wszystko co weźmie to jedno ugryzienie. Tylko jedno ugryzienie. I ona będzie jego na zawsze. Ocierał się o jej szyję, otwierając szerzej usta. Złapał jej delikatną skórę krawędziami swoich zębów.

-William, szepnęła miękким, pełnym potrzeby głosem.

Zastygł. Bestia w nim wyła. Mężczyzna walczył o kontrolę. Nie była wystarczająco silna. Jej ciało nie przetrwa trzeciego ugryzienia. Nie teraz. Wziął za dużo od niej wcześniej. Utrata krwi uczyniła ją zbyt słabą. Jego ciało trzęsło się z wysiłku by utrzymać kontrolę. Nie mógł tego zrobić. Nie teraz. Nie mógł napić się z niej. Gdyby to zrobił, mógłby ją zabić.

Podniósł głowę powoli, boleśnie, z dala od jej szyi. Patrzył na nią, biorąc głęboki wdech i przetykając w pośpiechu. Musi zachować kontrolę. Nie może ryzykować, że ją zrani. Zsunęła rękę po jego

ramieniu, aż do jego klatki piersiowej. Jej palce przeczeswały włoski na jego torsie, ocierając się o jego sutki. Jej zapach owinał się wokół niego, wyostrajając jego pragnienia. Jej biodra napierające na jego, wsuwały główkę jego penisa coraz bardziej do środka jej ciasnego wejścia. Drgnął.

-Tak cholernie dobrze, wyszeptał, a jego głos przypominał dziki ryk.

Uniósł jej gładki, miękkie nogi i owinał się nimi w pasie. Nie mógł już dłużej czekać. Wsunął się w nią mocno i głęboko. Oboje wstrzymali oddech. Była tak ciasna. Czuł jak jej ciało go ściska, delikatnie wsysa. Poruszał się najpierw powoli, starając się dać jej ciału szansę, przyzwyczajenia się do jego obecności w nim. Lecz ona wypchnęła swoje biodra jeszcze bliżej niego. I był zgubiony. Wysunął się i naparł jeszcze głębiej. Znowu i znowu. Szczęki miał zaciśnięte. Pot zrosił jego czoło. Głębiej. Musiał znaleźć się głębiej.

-Dojdz Savannah. Dojdz dla mnie. Daj mi więcej. Daj mi...
wszystko, dokończył w milczeniu.

Pragnął wszystkiego co mogła mu dać. Czuł jak zaciska się wokół niego, usłyszał jej zdławiony krzyk i poczuł falę jej wyzwolenia. Jej orgazm posłał go na krawędź. Jeszcze jedno pchnięcie i wybuchł. Przyjemność przepływała przez niego. Całe jego ciało trzęsło się w błogim wyzwoleniu. Poczuł się całkowicie spełniony przez nią, przez przyjemność, która falowała wewnątrz niego. Kiedy fale ustały, głowa mu opadła na jej ramie. Jego ciało lekko się trzęsło. Oddech był urywany. Serce mocno biło. Woda piętrzyła się wokół nich. Pocałował jej gładką skórę.

Po raz pierwszy od dziewięciuset lat poczuł spokój. A to wszystko dzięki niej. Podniosła rękę i zmierzwiła lekko jego mokre włosy. Poruszył się, podnosząc swoje ciało do góry. Zamknął jej dłoń w swojej. Miał wyostrzony wzrok. Nawet w świetle gwiazd, mógł zobaczyć dwie czerwone ranki, które znaczyły jej nadgarstek. Podniósł jej dłoń do ust, polizał ranki delikatnie, ostrożnie. Patrzyła bezpośrednio na niego, wyczekująco. Ona jest jego towarzyszką. Ta kobieta o szmaragdowych oczach i smutnych ustach. Należy do niego. A on ją ochroni własnym życiem. Wycofał się powoli z jej ciała, nienawidząc oddzielenia od jej ciepła, ale wiedząc, że ona potrzebuje

czasu na odpoczynek. Miał wobec niej plany. I musiał mieć pewność, że ona zachowa swoją siłę. Wygląda na to, że zapowiada się długa noc.

* * * *

-Rozmawiałem z nią dzisiaj.

Jack nie kłopotał się by się przedstawić. Wiedział, że jego pracodawca rozpozna jego głos.

-I co pani Daniels powiedziała?

Głos ten był mieszanką kulturową, z wieloma akcentami. Jack nie byłby w stanie wskazać właściwego akcentu. Czasami brzmiał jak angielski. Czasami jak francuski. Nigdy nie mógł być pewien.

-Nie uwierzyła mi, kiedy powiedziałem jej, że William jest mordercą.

-Ale nim jest.

Jego pracodawcy nie zmienił ton. Mówił spokojnie, grzecznie.

-Ona musi to zobaczyć. William Dark jest mordercą.

Jack wziął głęboki oddech. Wiedział, że jego szefowi nie spodoba się nowa informacja, ale musiał mu powiedzieć.

-Ona poszła do Williama.

Cisza. Jack rozejrzał się szybko po całym swoim, małym pokoju. To było piętro niżej od Savannah. Wszystkie meble były takie same. Małe łóżko. Stary, kolorowy telewizor z pięcioma kanałami. Obdrapanym kredensem i biurkiem. Był już naprawdę zmęczony, przebywaniem w miejscach takich jak to. Zmęczony szukaniem ludzi, którzy nie chcą być znalezieni.

-Nie usłyszałem, co powiedziałaś Jack. Powiedz mi jeszcze raz. Co zrobiła pani Daniels?

Jack westchnął i przesunął rękę po przydługich już włosach.

-Poszła do niego. A ja poszedłem za nią. Wyszła trochę po zmroku i wzięła taksówkę do jego domu.

Wzięła też małą, podręczną torbę, więc wiedział, że planuje zostać na noc z Williamem. Chciała się tam zatrzymać, chociaż Jack ostrzegał ją.

-Cholera! Myślałem, że ma więcej rozumu. Myślałem, że zrozumie. Ten drań zabił mi brata.

-Niektórzy ludzie po prostu nie wiedzą co jest dla nich dobre.

To była prawda. Savannah Daniels narażała swoje życie na wielkie niebezpieczeństwo, ale nie wydawała się tym przejmować. Ona stała przed nim, uparcie deklarując niewinność Williama. Ignorowała przedstawione przez Jack dowody, ufając całkowicie mężczyźnie, którego on uważał za mordercę.

-Chcesz, żebym dalej miał ją na oku?

Jack zapytał, starając się wymasować napięcie z jego szyi.

-Właściwie, myślę, że od teraz sam poradzę sobie z panią Daniels.

Jack zmarszczył brwi. Nagle poczuł duże zagrożenie. Poradzę sobie z nią? Co on przez to rozumie?

-O czym ty mówisz?

-Nie ma potrzeby, abyś się tym martwił, Jack. Będę pilnować Pani Daniels od teraz.

Z jakiegoś powodu te spokojne słowa wysłały chłodną falę w dół kręgosłupa Jacka.

-Ale ja jestem tutaj. W Tyler. Mogę jej pilnować, upewnić się, że ona jest bezpieczna.

-Twoja praca dobiegła końca, Jack. Wracaj do domu. Wracaj do tej małej, ładniutkiej nauczycielki, która czeka na ciebie.

Palce Jacka zacisnęły się na słuchawce. Skąd on wie o Kelly? Jego pracodawcy w dalszym ciągu mówił, jego głos był gładki jak jedwab.

- Nie martw się, Jack. Obiecuję ci, że obejmę panią Daniels specjalną opieką.

Połączenie zostało przerwane i Jack uświadomił sobie nagle, że popełnił straszliwy, straszliwy błąd. Błąd, który może kosztować niewinną kobietę jej życie.

Rozdział 8

William jest moją jedyną nadzieją, moim ostatnim zbawieniem.
-Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 2 Grudnia 1068.

William niósł Savannah na górę, tuż przed świtem. Tulił ją łagodnie do swojej klatki piersiowej, trzymając ją jak cenny dar, którym była. I pomyślał o pasji, którą dzielili....

Trzymał ją przez całą noc. Słyszał jej słodkie jęki, czuł jej zaciskające się mięśnie, które sygnalizowały jej szczytowanie. Miał ją w posiadaniu, gdy usłyszał jej zduszony krzyk, kiedy dochodziła pod nim. Słyszał jak krzyczała jego imię. Uprawiał z nią seks wiele razy. I za każdym razem, musiał walczyć z bestią wewnątrz niego, walczyć z pokusą by zakosztować jej drogocennej krwi.

Ale ona nie była jeszcze gotowa do ostatecznej wymiany. Musiał jeszcze poczekać. Patrzył na jej uśmiechniętą twarz. Była tak piękna. Nie miała pojęcia jaką siłą dysponuje. Może go skłonić żeby zrobił wszystko czego tylko zapragnie, jednym skinieniem swego, drobnego palca. Wiedział, że to niebezpieczne, pozwolić jej tak się do niego zbliżyć. Mogła uczynić go słabym, nieostrożnym. A on nie mógł pozwolić sobie na nieostrożność, nie z polującym Geoffrey'em.

Położył ją delikatnie na jej łóżku, przykrył narzutą jej nagie ciało. Nie poruszyła się. Wyczerpał ją. Wiedział, że powinien się pohamować, ale jego potrzeby, jego pragnienie jej, było zbyt silne. I gdy za każdym razem po nią sięgał, witała go z równą pasją.

Pogładził jej policzek. Była jego słabością. Wiedział to i będzie musiał dobrze jej strzec. Ucałował jej usta, delikatnie, niczym szept oddechu. Nie pozwoli Geoffrey'owi dotknąć jej, nawet w snach. Stanie

na straży, upewni się, że jej sen będzie spokojny. W końcu, jest jego kobietą. *Jego.*

Szedł powoli w dół po schodach, zmierzając do wielkiej sali, jakby coś go tam przywołało. Stał w progu, patrząc na pamiętnik Henry'ego. Przeszedł w milczeniu przez pokój i podniósł rękę by otworzyć pamiętnik, ale zatrzymał się. Nie mógł tego zrobić. Jeszcze nie. Nie mógł czytać słów Henry'ego, zobaczyć ostatnich myśli brata. Był odpowiedzialny za jego śmierć. Krew jego brata zawsze będzie na jego rękach. Zaciśnął pięści. Nie, jego ręce nie mogą dotknąć pamiętnika. Nie mogą przewrócić jego cennych stron. Jeszcze nie. Zamknął oczy i zobaczył twarz swego brata.

Wybacz mi, Henry.

* * * *

Savannah obudziła się sama. Spojrzała z pod przymkniętych powiek, jej oczy powoli przyzwyczajały się do światła słonecznego, dostającego się z przez szklane drzwi balkonowe. Rozejrzała się po rozległym pokoju, rozpoznając meble. Znała ten pokój. Była tu wczoraj. William przyniósł ją tutaj, zaraz po tym jak wziął jej krew w tej strasznej alei.

William. Przeciągnęła się powoli, czując lekki ból w całym ciele. Nigdy nie myślała, że uprawianie miłości jest takim uczuciem. Tak intensywnym. Tak czasochłonnym. Spodziewała się radości z bycia z Williamem, ale nie oczekiwała przyjemności, która dosłownie ją przytłaczała.

Zarumieniła się na wspomnienie rzeczy, które robili razem. Rzeczy, które ona robiła. I wiedziała, że nie może się doczekać, kiedy ponownie go zobaczy. Aby jeszcze raz poczuć magię jego dotyku. I wcale nie chodziło o umowę. Chodziło o niego. Śmierć otaczała ją tak długo, a on sprawił, że poczuła, że żyje.

Usiadła, zastanawiając się, która godzina. Wiedziała, że William był na dole, odpoczywał w swoim pokoju. Powiedział jej, że wstanie

po zachodzie słońca. Ile jeszcze godzin do zachodu słońca? Jak długo jeszcze, zanim znowu go zobaczy? Jej ubranie było starannie złożone na skrzyni u stóp łóżka. William musiał je przynieść, być może, gdy niósł ją na górę.

Wsunęła się w swoje dzinsy i cienki sweter, poczym podeszła w stronę balkonu. Miętko popchnęła i otworzyła drzwi, wpuszczając światło słoneczne i świeże górskie powietrze. Zapach sosny łaskotał ją w nos. Spojrzała w górę, starając się ocenić położenie słońca. Zaczynało tonać w zachodniej części nieba. W ciągu godziny lub dwóch, będzie zmierzch. I William wstanie.

Nie mogła uwierzyć, że tak długo spała. Zwykle wstawiała wcześniej, zwłaszcza od kiedy zaczęła miewać koszmary. Odwróciła się od balkonu i wróciła do pokoju. Jest tak piękny dzień, a ona wiedziała, że nie zobaczy więcej słonecznych dni. Niedługo będzie widziała tylko noc, więc lepiej żeby nacieszyła się światłem, póki jeszcze może. Jej buty były ułożone na podłodze obok kanapy. Pośpiesznie je włożyła, a potem przeczesła włosy i upięła je w luźny kok z tyłu głowy.

Przeszła przez balkon. Las stanął przed nią, sosny kołysały się łagodnie. Podążyła w ich kierunku. Ptaki ćwierkały miękką melodię. Lekką, szczęśliwą melodię. Jej usta wygięły się w uśmiechu, gdy dostrzegła kardynała, siedzącego na jednym z wierzchołków, rosnących w pobliżu drzew. W tym momencie zdała sobie sprawę, że czegoś jej brakuje. Po raz pierwszy od pięciu miesięcy, nie obudziła się ze zwykłym bólem głowy. Zamiast tego, czuła się silna, odświeżona. Żywa. Uśmiechnęła się, zadowolona. Czuła się dobrze. Po raz pierwszy od bardzo długo czasu, czuła się dobrze. Szła starym szlakiem, spacerując pomiędzy drzewami. Zastanawiała się jak długo te drzewa tu były. Niektóre z nich były stare i poskręcane. Siegające wysoko w niebo. W górach było tak pięknie. Tak spokojnie. Tak....

Dźwięk pękającej gałęzi rozniósł się echem jak strzał. Odwróciła się, jej ręka instynktownie uniosła się do jej gardła. Nikogo nie widziała.

- Czy jest tam ktoś?

Las był niesamowicie spokojny. Nawet ptaki umilkły. Savannah zmarszczyła brwi. Może to było zwierzę. Szopa pracza. A może to było coś innego. *Albo ktoś inny.*

Cofnęła się o krok, spoglądając na leśną strzechę. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że ktoś tam był, obserwował ją. Jej serce zaczęło mocno uderzać. Cofnęła się kolejny krok i natknęła się na coś. *Na kogoś.*

Czyjaś ręka chwyciła jej ramię, odwróciła się i prawą nogą wymierzyła kopniaka. Warknął, a jego ramiona rzuciły się by złapać jej ciało w szczelnym uścisku. Otworzyła usta do krzyku, ale jego ręka przykryła je zanim zdążyła wydać choć jeden dźwięk.

-Nie jestem tutaj, żeby cię skrzywdzić, powiedział ostro. Jestem tutaj, żeby ci pomóc.

Savannah zamrugał, wpatrując się w szoku na mężczyznę przed nią. Jack Donovan patrzył na nią z zaciśniętą szczęką.

-Obiecuję ci, że jestem tu aby ci pomóc.

Odepchnęła jego rękę ze swoich ust.

-Oczywiście, że jesteś.

Jej spojrzenie zdradzało podejrzliwość, gdy patrzyła na niego. Wziął głęboki oddech.

-Posłuchaj kobieto, sędzę, że jesteś w poważnym niebezpieczeństwie.

Skrzyżowała ramiona na piersi. Ona naprawdę nie była w nastroju, żeby słuchać jak on atakuje ponownie Williama.

-Mówiłam ci, że William nie jest zagrożeniem. On nikogo nie zabił!

Jack nie odpowiedział. Savannah spojrzała na niego. Poszedł za nią do lasu, przestraszył ją i teraz jeszcze nadal obwinia Williama o morderstwa, mimo, że mu powiedział iż William jest niewinny.

Ominęła go i zmierzała w kierunku domu. Nie chciała słuchać więcej jego kłamstw.

-Zaczekaj!

Podbiegł, żeby ją dogonić.

-Cholera, możesz po prostu się zatrzymać?

Nie przestała iść. Chwycił jej łokcia.

- Proszę, zatrzymaj się i posłuchaj mnie.

Szarpnęła się uwalniając ramię.

-Nie chcę słuchać niczego, co masz mi do powiedzenia.

Dlaczego po prostu nie wrócisz do miasta?

I nie zacznie trzymać się do diabła z dala od niej.

-Nie mogę cię tutaj zostawić.

Spojrzała przez ramię, szyderczo wykrzywiając usta,

-Oczywiście, że możesz. Po prostu wróć do swojego samochodu, zapal silnik i zjedź ze wzgórza. Mnie nic nie będzie.

-Nie! Ty nic nie rozumiesz

Chodził w tę i z powrotem, przeczesując włosy.

-Próbuję ci pomóc!

Jego słowa otarły się o krawędź desperacji. Ta desperacja zatrzymała ją. Odwróciła się z powrotem do niego, patrząc na niego zmrużonymi oczami.

-William nie jest morderca, panie Donovan. Już ci to mówiłam.

Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo z jego strony.

-To nie Williamem się martwię, powiedział Jack.

-Co?

Jack rozejrzał się po lesie, gorączkowo na prawo i lewo. Zachodzące słońce wysyłało promienie, ukazując cienie między drzewami.

-Posłuchaj, możemy wejść do środka? Naprawdę musimy porozmawiać.

Savannah zawahał się.

-Nie mam zamiaru cię skrzywdzić, obiecał. Ja tylko chcę ci pomóc.

-A co z twoim klientem?

Mięśnie jego szczęki napięły się.

-Już dla niego nie pracuję.

Brwi Savannah spotkały się ze sobą.

-Więc co tutaj robisz?

-Powiedziałem ci. Jestem tutaj, żeby ci pomóc.

-Dlaczego?

Jego usta przypominały cienką linię.

-Ponieważ, myślę, że zaaranżowałem twoje morderstwo.

* * * *

William mógł ją wyczuć. Coś było nie tak. Bała się. Leżał zupełnie nieruchomo na łóżku. Ani jeden mięsień się nie poruszył. Jednak jego umysł szalał. Coś się stało. Savannah była w niebezpieczeństwie. Zło ponownie się zbliżało.

* * * *

Savannah zamknęła drzwi balkonowe za Jack'em.

-W porządku. Jesteśmy w środku. A teraz powiedz mi to jeszcze raz.

Westchnął ciężko i opadł na pobliskie krzesło.

-Schrzaniłem.

-Jak?

Zaczął ją przerażać, a ona nie lubiła się bać. Potarła ręką o rękę.

-Co zrobiłeś?

Oparł głowę do tyłu i zamknął oczy.

-Pamiętasz, kiedy powiedziałem ci, że brat mojego klienta został zabity?

-Tak.

Jego słowa nadal rozbrzmiewały w jej umyśle. ***Cała krew została odsączona z jego ciała.*** Odczuła mrowienie na szyi.

-Zadzwoiłem do kumpla, który jest gliniarzem w Panamie. Podał mi nazwisko ofiary. Peter Gilbert.

Savannah kroczyła, wsłuchując się w jego słowa, kiedy kontynuował:

-Dopasowałem do tego to, co już wiedziałem. Mój kumpel potwierdził, że ofiara miała brata, człowieka o imieniu Jonathan.

-I Jonathan był twoim klientem?

-Jonathan Gilbert to imię i nazwisko, które podał mi mój klient, Jack odpowiedział ostrożnie.

Savannah przestała chodzić.

-Imię i nazwisko, które ci podał? Czy chcesz mi powiedzieć, że to nie było jego prawdziwe imię i nazwisko?

Pokręcił głową ze znużeniem.

-Nie. To nie było jego prawdziwe imię i nazwisko.

Rozmawiałem z prawdziwym Jonathan'em wczoraj, późno w nocy.

Nie znał mnie. Nie miał nawet pojęcia, że pracuję nad sprawą jego brata.

Savannah poczuła jak lodowate ostrza zbliżają się do jej serca.

-Jeśli nie pracowałeś dla Jonathan'a, więc kto dokładnie był twoim klientem? Kto cię wynajął, żebyś mnie śledził?

Jej buchające spojrzenie spotkało wymijający wzrok Jack'a.

-Nie wiem.

-Co?

Jack zaczerwienił się.

- Nigdy nie spotkałem się z nim osobiście. Rozmawiałem z nim przez telefon i przez Internet. A on przesyłał pieniądze bezpośrednio na moje konto.

Wzruszył ramionami.

- Przysłał mi kopię zapasową plików z jego historią. Nie miałem powodu, aby wątpić w jego tożsamości.

-Chcesz mi powiedzieć, że ktoś cię wynajął, abyś mnie śledził po całym kraju i ty nie masz pojęcia, kim jest ta osoba?

Pokiwał głową, a jego policzki zabarwiły się na ciemną czerwień.

Świetnie. Po prostu świetnie. Detektyw nie ma pojęcia. Niestety, Savannah miała pojęcie, kto był jego klientem. Głęboko w środku, ona wiedziała. Ale modliła się, że to była pomyłka. Zatarła ręce i zaczęła chodzić po pokoju.

-Powiedziałeś, że zaaranżowałeś moje morderstwo. Co miałeś przez to na myśli?

-Tak.

William wycedził przez otwarte drzwi.

-Powiedz nam w jaki sposób zaaranżowałeś jej śmierć.

Jack zerwał się z krzesła, jak gdyby zaczęło go parzyć.

-Kto...

Odwracając się, napotkał wzrokiem wściekłe oblicze Williama. Jego oczy rozszerzyły się. William podkładał się do niego z powolnym, nieubłaganym krokiem myśliwego. Myśliwego, który zwęszył zapach prawdziwej ofiary. Słaby blask czerwieni płonął z głębi jego czarnych oczu. Savannah pośpiesznie wślizgnęła się

między dwóch mężczyzn. William wyglądał jakby mógł z łatwością zabić Jacka w tej chwili.

-William, mogę wyjaśnić...

William ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Jack'a.

-Chcę, żeby to on wyjaśnił. Chcę, żeby mi powiedział, dlaczego nie powinienem wyświadczyć światu przysługi i nie zabić go właśnie teraz.

Jego akcent był ciężki. Savannah lekko dotknęła jego ramienia.

- Powiem ci, dlaczego. Ponieważ nie jesteś mordercą.

-Tak, jest.

Jack przesunął się by stanąć obok niej, starając się wypchnąć ją za siebie. Kiedy ręka Jack'a zacisnęła się na jej ramieniu, z gardła Williama wydostał się niski, gardłowy pomruk. Savannah była prawie pewna, że widzi ostrza jego zębów.

-Odsuń się, szepnęła do Jacka, wiedząc, że był w poważnym niebezpieczeństwie.

-Nie ma mowy.

Jack był oczywiście przerażony, ale twardo stał przy swoim.

-Wiem o nim. William Dark to zimny morderca, i ja nie pozwolę mu cię zabić!

Zimny wiatr przetoczył się przez pokój. Gęsia skórka przeszła wzdłuż ramion Savannah. William spojrzał na Jack i uśmiechnął się. Jego kły były długie. Śmiertelne. A jego oczy były krwisto-czerwone. Przez moment prawdziwy strach przetoczył się przez Savannah.

-Nie!

Krzyknęła i postąpiła krok na przód, uwalniając się z pod ograniczającego uchwytu Jack'a.

-Zwariowałaś?

Rzucił Jack.

- On nas zabije!

Nie, William nie zamierzał jej zabić. Wiedziała, że on nigdy by jej nie skrzywdził. Ale Jack to zupełnie inna historia.

- William, uspokój się. To nie jest tak jak myślisz. On jest detektywem. Śledził mnie...

Gniew przetoczył się przez jego twarz. Mogła poczuć jego złość, uderzającą w jej umysł. Uh-oh. Ona definitywnie powiedziała coś złe.

Jack głupio chwycił ją ponownie, ciągnąc ją z powrotem w stronę drzwi balkonowych. William tylko patrzył na nich, jego wzrok palił, przeszywał zdradzając jego śmiertelne intencje.

-Musimy się stąd wydostać, powiedział Jack dopadając drzwi balkonowych.

Przekreślił klamkę i otworzył szklane drzwi jednym pchnięciem. Podmuch wiatru zatrzęsnał drzwi, zanim mógł zrobić jeden kroku.

-Nigdzie nie pójdziesz.

William szedł powolnym krokiem naprzód. Jego ręce były opuszczone po jego bokach, zrelaksowane, luźne. Ale jego paznokcie przypominały ostre, wydłużone szpony.

-A teraz, odsuń się od Savannah, albo rozszarpie twoje gardło.

Savannah wiedział, że mówił poważnie. Zastanawiała się czy Jack zdawał sobie sprawę, że jest kilka sekund od własnej śmierci. Jack zamarł. I zdawało się, że spojrział na William po raz pierwszy. Naprawdę na niego spojrział. Oczy Jack'a były rozszerzone ja w horrorze.

-Jezu Chryste, czym ty do cholery jesteś?

William uśmiechnął się ponownie, ukazując jego niesamowicie ostre zęby.

-Jestem śmiercią.

Nie. Ona nie zamierza pozwolić Williamowi skrzywdzić Jack'a.

Tylko dlatego, że człowiek został oszukany nie znaczy, że zasłużył na atak.

-William, powiedziała, celowo zachowując spokój w głosie, musimy porozmawiać. Zaszło tutaj nieporozumienie.

-Nieporozumienie?

Jack pokręcił głową. Jego oczy były ogromne.

-Kobieto, chyba żartujesz. Ten facet to jakiś potwór!

Jego palce wbiły się w jej ramię, głośno sapnęła z powodu ostrego bólu. W jednej chwili to Jack był tym, który sapała z bólu. William poruszył się w mgnieniu oka, jego ciało, jak strzała przeniosło się przez pokój. Ściągnął rękę Jack'a z ramienia Savannah, bez wysiłku, zgniatając kości i mięśnie.

-Musisz teraz opuścić pokój, Savannah.

William był skupiony na swojej zdobyczy. Savannah potrząsnęła głową. Wzięła krok naprzód i odepchnęła go na bok. Warknął, zwracając przerażające spojrzenie na nią. Patrzyła na błyski w jego oczach. Czerwony. Czarny. Czerwony.

-Posłuchaj mnie, błagała, jej wzrok był zawzięty. Wiem, że myślisz, że on chciał mnie skrzywdzić, ale to nie tak. On przyszedł tu, ponieważ chce mi pomóc.

Musiała zrobić wszystko, żeby jej uwierzył. Nie mogła mieć także krwi Jack'a na swoich rękach.

William dotknął jej policzka. Zamknął oczy i wziął dwa głębokie oddechy. Kiedy podniósł powieki, jego wzrok koloru północnego nieba powrócił.

-Za bardzo ryzykujesz, szepnął, pochylił głowę szybko kradnąc jej pocałunek.

Uśmiechnęła się, ulga przetoczyła się przez nią. Pokonał bestię, przynajmniej na razie. Jej ramiona szczelnie owinięły się wokół niego.

-Niczym nie ryzykuję. Wiem, że nigdy nie zrobiłbyś mi krzywdy.

I wiedział o tym. Ufała mu całkowicie. Przyciągnął jej ciało do swego, trzymając ją blisko. Mogła poczuć jak słabe drżenie, przeszło przez jego ciało. Jack szarpnął za klamkę u drzwi. William podniósł głowę do góry.

-Nie zamierzasz wyjść tak szybko, prawda?

Jego ramiona powoli uwolniły Savannah. Tak, że stała u jego boku. Jack odsunął się od drzwi.

- Uh, nie. Ja właśnie, uh, upewniałem się, czy drzwi są nadal zamknięte.

Biorąc wszystko pod uwagę, Savannah stwierdziła, że Jack wykazywał niesamowity spokój. Prawie zostałby zabity przez wampira, a jednak nie krzyczał ze strachu. Ręce mu się trzęsły, ale schował je za plecami, kiedy odwrócił się do Williama.

-Kim jesteś?

William zażądał odpowiedzi.

- Jack Donovan.

Jego głos nie był dość stabilny, ale udało mu się spojrzeć w żądający wzrok Williama.

-I zostałeś wynajęty, żeby śledzić Savannah.

Jack skinął głową.

-Dlaczego?

Jack spojrział błagalnie na Savannah. A ona powiedziała:

-Jack wiedział, że szukam mordercy mojego brata. On też starał się znaleźć zabójcę.

-Więc podążył za tobą.

William potrząsnął głową z niesmakiem.

-Jak długo ją śledziłeś?

-Odkąd ona opuściła Seattle.

- Powiedz mi, kto cię wynajął.

Savannah usłyszał przymusu w głos Williama. Jack odpowiedział natychmiast.

- Nie wiem. Powiedział, że nazywa się Jonathan Gilbert.

Powiedział mi, że jego brat został zabity przez tą samą osobę, która zamordowała Marka Danielsa. Wynajął mnie abym śledził Savannah. Powiedział, że ona zaprowadzi mnie do mordercy.

Savannah usiadła na brzegu łóżka.

- Nigdy nie poznał swojego klienta. Oni po prostu rozmawialiśmy przez telefon i wymieniali wiadomości przez Internet.

-Jak dużo mu powiedziałaś?

William zapytał, korzystając z tego samego, miękkiego, przekonującego tonu.

-Wszystko, powiedział Jack zmieszonym głosem. Powiedziałem mu, o każdym kroku, który zrobiła. Z kim rozmawiała. Gdzie się zatrzymała. Kiedy przyjechała by zobaczyć się z tobą.

William zaklął i spojrział na Savannah.

-Zamierza przyjść po ciebie.

-Chwileczkę, zaczekaj.

Jack podniósł rękę.

-Co ty mówisz? Że mój klient....

-To ten, który zamordował tych ludzi, William dokończył. I teraz, dzięki tobie, wie dokładnie, gdzie może znaleźć Savannah.

Savannah wpatrywała się w swoją prawą dłoń. Zadrapania były teraz, już ledwo widoczne. On zamierza po nią przyjść. Jej palce zacisnęły się w pięści.

-Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, zaczął Jack.

-Wiesz, że mam rację, William przerwał mu, żywszym tonem.

Nie zaprzeczysz. Dlatego tu jesteś. W głębi duszy, wiesz, kim on jest. Wiesz do czego jest zdolny.

Zrobił pauzę.

-I wiesz, co ma zamiar zrobić.

Jack opuścił ramiona. Nagle wyglądała bardzo blado.

-Musimy zadzwonić na policję.

Jego głos był ochrypły

-Jeśli masz rację i ten facet jest mordercą, musimy do jasnej cholery wynosić się stąd.

-Nie, powiedziała cicha ale jednocześnie ze stanowczością Savannah. Policja nam nie pomoże.

I nie mogłaby pomóc. Pojęła właśnie tą lekcję. Jedynym, który mógł jej pomóc to William.

-Oczywiście, że mogą nam pomóc!

Głos Jacka był silny. Dziki.

-Oni mają broń. Jeśli ten facet zamierza po ciebie przyjść, mogą go powstrzymać. Mogą go zastrzelić!

-Broń go nie zatrzyma, powiedziała Savannah.

Gdyby to było takie proste.

-Nie można go zabić z broni palnej.

Jack przestał chodzić.

-Kobieto, z broni możesz zabić wszystko. Zaufaj mi. Byłem przez dziesięć lat w wojsku. Kula w sercu zatrzyma, każdego mordercę na jej drodze.

William zbliżył się do Savannah. Jego nogi otarły się o stronę łóżka.

-Ale to nie zatrzyma wampira.

-Wamp....

Jack rozszerzył z niedowierzaniem oczy.

-O czym ty mówisz, człowieku? Zwariowałeś albo....

Urwał, otwierając usta z niedowierzaniem. William patrzył na niego, jego oczy świeciły krwistą czerwienią, jego wysunięte zęby lśniły złowieszczo.

-Jasna cholera.

Ciało Jack'a wydawało się trząść.

-Jasna cholera, powtórzył. To się nie dzieje naprawdę. Ty nie możesz być....

-Ale jest.

Powiedziała Savannah.

-William jest wampirem

-Twoje oczy! Twoje zęby!

Jack zaczął ciężko oddychać.

-Jesteś pieprzonym wampirem!

Usta Williama drgnęły.

-Jesteś bardzo spostrzegawczy, detektywie.

Savannah zmarszczyła brwi, gdy spojrzała na Jack'a. Jego oddech brzmiał jakby miał atak astmy.

-Wszystko z tobą w porządku?

-Świetnie. Dyszał.

-Po prostu. Sapał.

-Wspaniale.

Odetchnął głęboko, wdechu i wydechu. Wyglądał trochę jak ryba wyrzucona na ląd, z dala od swojego komfortowego, wodnego domu.

-Nie wierzę w to!, szepnął. Nie wierzę!

-Lepiej uwierz.

Oczy Williama płonęły.

-Ale wampiry nie są prawdziwe.

-Zaufaj mi.

William uśmiechnął się, ukazując swoje kły.

-Jestem bardzo realny.

Ciało Jack'a się zachwiało. Uh-oh. Savannah przygryzła wargi. Wyglądało to tak, jakby dobry detektyw miał zejść w każdej chwili.

-Jack? Czy na pewno wszystko z tobą w porządku?

-Świetnie. Po prostu cholernie świetnie.

Zamknął oczy i westchnął. Stał chwilę, nie mówiąc ani słowa, tylko oddychał. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Savannah zmarszczyła brwi. Nagle otworzył oczy. Wskazał na Williama.

-Jesteś wampirem.

-Winny.

Zakpił zimno. Jack otworzył usta jakby coś rozważał.

-I ten facet, który zabija ludzi, też jest wampirem, prawda?

Savannah pomyślała, że teraz może wreszcie skupić jego uwagę. Dobrze. Może, po tym wszystkim, będzie mógł im pomóc.

-Dlatego ofiary zostały osuszone z całej krwi. On się pożywił.

Jack zapytał:

-Rozmawiałem z wampirem? Moim klientem był wampir?

-Tak, powiedziała.

Jack, zrezygnowany opuścił ramiona. Jego oddech nadal był jeszcze nieregularny, ale okazało się, że odzyskał kontrolę.

-Masz rację. Policja nam nie pomoże.

Savannah spojrzała na Williama.

-Jak myślisz, kiedy po mnie przyjdzie?

Chciała być przygotowana. Musiała być przygotowana. William nie od razu odpowiedział. Odwrócił głowę w bok, prawie jakby usłyszał coś. Albo kogoś.

-William?

Przekreślił głowę, skupiając swój wzrok na niej.

-Wkrótce. Przybędzie tak szybko, jak tylko zdoła.

-Musimy być przygotowani.

-Przygotowani?

Jack pokręcił głową.

-Będziemy przygotowani, kiedy wyniesiemy się stąd w cholere.

-Nie.

William nie zgodził się cicho.

-Savannah jest tu bezpieczna, bardziej niż byłaby w jakimkolwiek innym miejscu.

Jack spojrzał mając wątpliwości.

-Bez obrazy, ale, ja się do niej dostałem. I skoro mnie się to udało, to jestem cholernie pewny, że on też się dostanie.

William zeszywniał. Spojrzał głęboko w oczy Savannah.

-A jak właściwie, nasz dobry detektyw dostał się do ciebie?

Jack był tym, który udzielił odpowiedzi.

- To nie było takie trudne. Była sama, spacerowała w lesie.

Gdybym był zabójca, ona byłaby teraz martwa.

Savannah spuściła wzrok na swoje stopy. W jednej chwili zerwała się, podbiegła w stronę Jacka, naciskając palcem na jego pierś.

- Masz szczęście, że nie jesteś martwy!

Rozwścieczyło ją, że myślał, że ona jest taka bezbronna. Ona potrafi się sama obronić. Chwycił ją za rękę.

-Uspokój się Savannah. Nie jesteś wystarczająco silna...

Jego słowa zakończyły się, w momencie, gdy Savannah wyciągnęła rękę do przodu, obróciła się i bez wysiłku przygniotła go do podłogi.

-Mój błąd, udało mu się wykrztusić, patrząc w sufit. Po tym wszystkim, nie mogłabyś być martwa.

-Mam czarny pas, powiedziała do niego, ciskając wściekłym spojrzeniem. Potrafię zadbać o siebie.

Nauczyła się tego, mimo protestów lekarzy, żeby umieć się bronić. Chciała udowodnić im, rodzinie i sobie samej, że może być silna. Że jest silna. William przesunął delikatnie palcem po jej szyi. Jego oddech lekko owiał jej skórę.

-Jestem pod wrażeniem, mruknął. Ale obawiam się, że twój czarny pas, nie powstrzyma Geoffrey'a.

Ona o tym wiedziała. Mogła posłać Jacka na podłogę, ale nie była wystarczająco silna fizycznie, by pokonać wampira. Jeszcze nie. Ale gdy dostanie trzecie ugryzienie, wtedy będzie. Jack wstał na nogi. Skrzywił się, masując plecy.

-Nie wiem kogo obawiam się bardziej, powiedział, wpatrując się w Savannah. Ciebie i twojego chłopaka czy mordercy.

-To nie nas powinieneś się bać, powiedział William. Geoffrey przyjdzie też po ciebie. Nie pozwoli ci żyć. Zbyt wiele wiesz. Jack zbladł.

-Kelly, wyszeptał.

Savannah zmarszczył brwi.

-Kto?

Przełknął, przeciągając trzęsącymi się rękoma włosy.

- Kelly Taylor. Moja narzeczona. On o niej wie. Drań, wspomniał jej imię przy naszej ostatniej rozmowie.

Savannah poczuła jak ściska się jej żołądek. Geoffrey nie wspominał by imienia kobiety, chyba że...

-On zamierza ją zabić.

Jack wyglądał na chorego.

-Zamierza zabić moją Kelly, prawda?

-Jedź do niej.

Nakazał mu William, skupiając jego wzrok na swoim.

-Wywieź ją z kraju. Zabierz ją tak daleko jak tylko zdołasz.

-Ale powiedziałeś, że on za nami będzie podążać.

-Nie, Savannah wyszeptwała, wiedząc, że powie prawdę. On najpierw przyjdzie po mnie.

I przyjdzie. Jack i Kelly będą bonusem. Geoffrey najpierw zaatakuje ją i Williama. Ale oni będą przygotowani na jego wizytę. Powstrzymają go.

-Idź. Chroń swoją kobietę.

Jednym ruchem ręki, William otworzył drzwi balkonowe. Spojrzał na Savannah.

-A ja będę chronić moją.

Rozdział 9

Nie ma miejsca do ukrycia. Diabeł widzi wszystko.

-Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 5 Grudnia 1068.

Nie lubił widzieć innego mężczyzny przy niej. Bestia w nim szalała, domagając się ukarania mężczyzny, który śmiał dotknąć tego, co należy do niego. Był w stanie utrzymać swoją kontrolę tylko ze względu na nią. *Savannah*.

Patrzyła teraz na niego, jej oczy głębokie, szmaragdowe jeziora pełne tajemnic. O czym myślała? Czy obawiała się Geoffrey'a? Powinna wiedzieć, że on ją ochroni. Wziął jej dłoń w swoje, podziwiał delikatność jej kości.

-Nie ma powodu do strachu. Geoffrey nie zrobi ci krzywdy. I on upewni się, że Geoffry nie zrani jej ponownie.

-A co z Jack'em? Czy on będzie bezpieczny? Jej wzrok był zachmurzony, zmartwiony.

-Powstrzymamy Geoffrey'a. William obiecywał.

-Nie pozwolimy mu skrzywdzić Jack'a. Nie pozwolimy mu skrzywdzić nikogo więcej.

-Zamierzasz dać mi pocałunek dzisiejszej nocy? Savannah zapytała nagle.

William zawahał się. Chciał, bardziej niż cegokolwiek innego, dać jej swój pocałunek. Chciał ją przemienić, aby stała się jego towarzyszką na całą wieczność. Ale nie mógł, jeszcze nie. Czuł słabość jaka emanowała z niej. Jeśli spróbowałby ją przemienić, nie mógł zagwarantować tego, że przeżyje. To było ryzyko, którego nie zamierzał podejmować.

-Jeszcze nie teraz, powiedział cicho. Jeszcze nie teraz.

-Kiedy?

To było żądanie. Szedł w stronę drzwi.

-Kiedy będziesz wystarczająco silna. Teraz, chodź ze mną, mam coś dla ciebie.

Nie poruszyła się.

-Mógłbyś spróbować powiedzieć proszę, wiesz. Tego wymagają dobre maniery.

Stanął w drzwiach i spojrzał z powrotem przez ramię. Jego oczy spotkały się z jej.

- **Proszę**, chodź ze mną.

Jej pełne usta wygięły się w uśmiechu.

- To nie było tak trudne, prawda?

Podeszła do niego, a on mógł przysiąc, że zobaczył tańczące ogniki zgorzenia w jej oczach.

-Musisz pamiętać, że nie jesteś już na polu bitwy. Nie możesz po prostu rozstawiać ludzi dookoła.

-Zapamiętam to, mruknął, wdychając jej słodki zapach, kiedy jej ciało otarło się o niego.

Pragnienie zatrzęsło nim, nagle i ostro. Chciał jej posmakować, wślizgnąć się językiem do jej ciepłych ust. Minęły godziny odkąd miał ją w objęciach. Gdy czuł jak jej ciało drży w jego ramionach.

- Co chcesz mi pokazać?

Szła przez korytarz, nie zwracając uwagi na walkę jaką on prowadził ze sobą. Wziął głęboki oddech, chwycił swoje opanowanie obiema rękoma i podążył za nią.

-Zobaczysz. To niespodzianka.

Po tym jak zostawił Savannah w jej łóżku, wyszedł aby przynieść parę rzeczy dla niej. Musiał ścigać się ze słońcem, zdeterminowany by wrócić do domu z zakupionymi rzeczami. Poszedł za nią w dół po schodach, a gdy się odwróciła, aby przejść do wielkiego pokoju, on złapał jej rękę i pociągnął ją w dół wąskim korytarzem.

-Nie pamiętam, abym kiedykolwiek szła tą drogą, powiedziała.

Wiedział, że nie miała okazji obejrzeć domu. Chciał, żeby to zrobiła. Mogła przecież chodzić gdziekolwiek chciała. W końcu, to miał być też jej dom. Nie chciał, że czuła się tutaj jak gość. Chciał, żeby poczuła, że tu przynależy. **Jak we własnym domu**. Postanowił, że jej to ułatwi.

-Mój dom jest twoim. Nie krępuj się i zwiedzaj go do woli.

Zbliżyli się do białych drzwi. William pchnął drzwi by je otworzyć i wprowadził Savannah do środka.

-Co...

Jej oczy rozszerzyły się w zachwycie na widok lśniącej kuchni. Kuchnia była ogromna. Były dwa podwójne piekarniki, lodówka chromowana i błyszcząca zamrażarka, oraz zestaw różnych gadżetów na marmurowych blatach. Duża wolna przestrzeń wypełniała środek pomieszczenia. A w końcowej części sali stał przytulny, nakryty, dla dwóch osób stolik.

Otworzyła lodówkę, patrząc ze zdziwieniem na asortyment żywności w środku. Zmarszczyła brwi, wciąż pochylona nad otwartymi drzwiami.

-Nie rozumiem. Myślałam, że nie potrzebujesz jedzenia. Zamknęła powoli drzwi, patrząc na niego.

-Nie potrzebuję.

Mógł przeżyć tylko na krew. Wielu z jego rodzaju decydowało się właśnie na ten sposób.

-Jedzenie jest dla ciebie. Wybrałem się po nie przed świtem. Zamrugła i jej policzki pokrył róż.

-Przyniosłeś to wszystko dla mnie?

Odchrząknął zmieszany.

-Musisz jeść, mruknął. Musisz odzyskać siły.

Machnęła ręką, pokazując nią pozostałe urządzenia.

-A co z tym wszystkim? Do czego one...

-Powiedziałem, że nie muszę jeść. A nie, że nie mogę.

Po pięciuset latach, zaczął tęsknić za smakiem czegoś innego niż krew. Odkrył, że może nadal jeść ludzkie jedzenie, tak długo, jak będzie jadł z umiarem.

-Nie jem często, ale jem.

Wzruszył ramionami.

-Poza tym, gdyby ktoś przyszedł do domu i zobaczył, że nie mam kuchni... Powiedzmy, że mogłoby to wywołać kilka pytań.

Wymuszony uśmiech pojawił się na jej twarzy.

-Domyślałam się, gdzie mógłby pojawić się problem.

Otworzyła lodówkę i sięgnęła do wewnątrz, wyciągając szynkę i indyka.

-Myślę, że zrobię sobie kanapkę.

Spojrzała na niego pytająco. Zrobił krok do tyłu.

-Nie. Ja mam coś innego.

Wskazał na stół, gdzie stał duży, gruby kieliszek wypełniony krwistoczerwoną ciecżą.

- Zgaduję, że nie jest to wino.

Prawie się uśmiechnął.

-Nie. Nie jest.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się do swojego jedzenia. Złapała bochenek chleba i rozpoczęła tworzenie kanapek. Kiedy skończyła, podeszła do stolika, kładąc je ostrożnie na talerz. Jej spojrzenie powędrowało do jego napoju. William usiadł. Uniósł brwi.

-Wolałabyś, żebym teraz nie pił?

Wzięła głęboki oddech.

- No, proszę bardzo.

Jej uśmiech był słaby.

William przesunął kieliszek na bok, kładąc ręce przed siebie. Chciał, żeby Savannah zjadła pierwsza. Wiedział, że ona potrzebuje energii, którą może zapewnić jej jedzenie i obawiał się, że jeśli zobaczy jak pije, nie będzie w stanie nic zjeść.

- Opowiedz mi o swoim życiu, powiedział, świadomie obniżając swój głos.

Wiedział, że przymus nie będzie na nią działał, ale wciąż mógł użyć swoich mocy by ją uspokoić. Jej palce bawiły się obrusem.

- Co chcesz wiedzieć?

Nawet nie dotknęła swoich kanapek. Ani szklanki soku pomarańczowego, którą dla niej postawił.

-Wszystko.

Wszystko. Każdy szczegół z jej życia.

- Wiem, że mieszkałaś w Seattle. Podobało ci się tam?

Rozluźniła ramiona.

-Oh, tak. To znaczy, padało tam cały czas, ale ja lubię deszcz.

Wszyscy są tam zawsze tak zajęci. Wydaje się, że miasto żyje razem z ludźmi.

- Czy kiedykolwiek mieszkałaś gdzieś indziej?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Tam się urodziłam i wychowałam. Moja matka pochodziła z południowych stron. Z Georgii. Dlatego nazwała mnie Savannah.

Wzięła kanapkę i ugryzła mały kęs.

-Nie przypominam sobie, żebyś wcześniej wspominała o rodzicach, mruknął i zaostrzył spojrzenie.

Smutek przetoczył się przez jej twarz.

-Moi rodzice nie żyją. Zginęli w wypadku samochodowym nieco ponad cztery lata temu.

-Przykro mi, Savannah.

Wtedy została już tylko ona i jej brat.

-Mark zaopiekował się mną, powiedziała Savannah jakby czytała w jego myślach. To on za każdym razem woził mnie do szpitala. Trzymał mnie za rękę. Mówił, że wszystko będzie dobrze.

Przygryzła wargę.

-Ale nie było dobrze. Rak powrócił. A on umarł.

Cierpiał razem z nią, przez ten cały ból, który musiała znosić w ciągu swojego, krótkiego życia. Chciałby móc zabrać to wszystko z dala od niej. Ten ciężar, który przygniatał jej smukłe ramiona, był zbyt duży.

-Jego śmierć nie była twoją winą, Savannah.

Mógł zajrzeć do jej umysłu, jej serca. Drugie ugryzienie stworzyło między nimi więź i z łatwością mógł w nich czytać.

-A jeśli była?

Przestała jeść. Jeden kęs, to wszystko co zjadła.

-Nie możesz wierzyć, że to twoja wina!, powiedział z niedowierzaniem. Geoffrey go zabił. I Geoffrey jest tym, który za to zapłaci, obiecuję ci. Przestań się obwiniać. Nic przez to nie uzyskasz.

Sięgnął po jej rękę.

-Czy nie wystarczająco się już ukarałaś?

Spojrzała na ich złączone dłonie.

-Powinam mu była pomóc. On mi pomagał, chronił mnie przez te wszystkie lata. Powinam coś dla niego zrobić.

-I zrobisz coś dla niego.

Zacisnął palce na jej ręce.

-Wymierzysz dla niego sprawiedliwość. I powstrzymasz Geoffrey'a, by nie mógł już więcej nikogo skrzywdzić.

Skinęła głową.

- Tak, zrobię to.

Wolną ręką sięgnęła po kanapkę. Upewniał się, że zje ją do końca, a następnie jeszcze jedną. Świadomie utrzymywał lekką rozmowę, opowiadając jej, o różnych krajach, które odwiedził, o cudach, które widział. Kiedy wspomniał o Włoszech, jej twarz jakby rozjaśniła się od środka.

- Zawsze chciałam pojechać do Włoch, powiedziała, sięgając po jej sok. Czy są tak piękne jak słyszałam?

Patrzył na nią.

-Bardziej.

Westchnęła, mieszając sokiem w szklance.

-Chciałam być artystką, wcześniej, kiedy myślałam, że świat jest mój i mogę zrobić wszystko, być gdziekolwiek, wtedy kiedy zechcę.

Wyraz jej ust zdawał się kpić z jej młodzieńczych marzeń.

-Planowałam pojechać do Europy. Chciałam zobaczyć Kaplicę Sykstyńską. Chciałam malować kanały Wenecji. Głupie, prawda?

-Nie, to wcale nie jest głupie.

Starął się cofnąć w myślach, by zobaczyć o czym marzył gdy był młody. Wszystko, co pamiętał to krew i śmierć, i bitwy, które nigdy się nie kończyły. Sięgnął po swój kieliszek.

- Musimy zaplanować podróż do Włoch.

Wstrzymała oddech.

-Naprawdę? Mówisz poważnie?

Mógł usłyszeć nadzieję i podniecenie w jej głosie.

-Oczywiście.

Uśmiechnął się.

-Po tym wszystkim, będziemy mieli mnóstwo czasu.

Zdawało się, że chłoneła, każde jego słowo.

-Zgaduję, że będziemy mieli.

Potrząsnęła głową.

-To dziwne. Tak długo, wiedziałem, że mój czas tutaj jest krótki. Ograniczony. A teraz wiem, że nie umrę...

Uśmiechnęła się, jej oczy lśniły.

-To po prostu nie wydaje się realne.

Pił z kieliszka, a krew spływała mu po gardle. Wiedział, że jego oczy zabarwiły się czerwienią, od jej pysznego smaku. Savannah przestała się uśmiechać.

-A potem, czasami wydaje się zbyt realne.

Patrzyła daleko, spoglądając nieruchomo na dużą zamrażarkę w tylnej części pokoju. William skończył pić, nie odrywając od niej wzroku.

-Wolisz, żebym wziął krew od żywego człowieka? Żebym rozerwał mu gardło i pił jego krew?

- Oczywiście, że nie!

Wróciła wzrokiem do niego.

-Jak możesz nawet o to pytać?

Podniósł swój pusty kieliszek.

- Używam tego więc nie muszę polować. Nie muszę też wychodzić co noc i pić od kogoś.

I nie musiał się patrzeć w oczy swojej ofiary. Słabe zmarszczki pojawiły się na jej czole.

-Ale zamierzałeś się napić ze Slade'a.

Ostrożnie postawił swój kieliszek na stole.

- Co najmniej raz na księżyc w pełni, potrzebuję świeżej krwi. Jeśli nie będę jej mieć, moja siła słabnie.

Ale kiedy się pożywiał, trzymał się mocno w ryzach, zawsze świadom, że jeżeli straci swoją kontrolę, może łatwo zabić swoją ofiarę.

-Więc ja też będę potrzebowała świeżej krwi.

Jej twarz wyglądała bardzo blado, bardzo delikatnie.

-Tak. Będziesz musiała pić, aby przeżyć.

Począł chwilę, po czym zapytał:

-Czy będziesz w stanie to zrobić?

Rzuciła spojrzenie na jego pusty kieliszek, potem na jego usta, które wiedział, były czerwone od krwi. Założyła ręce na piersi i uniosła swój podbródek.

-Zrobię to, co będę musiała zrobić. Mogę tego nie lubić, ale zrobię to.

William uśmiechnął się, ulga przetaczała się przez niego.

-Nie martw się. Pokażę ci, jak pić krew. Nie skrzywdzisz tych od których ją weźmiesz i przy pomocy małego przymusu, możesz sprawić, że twoja ofiara zapomni o całym spotkaniu.

-Muszę wiele się nauczyć, prawda?

-Ja cię nauczę. Nauczę cię wszystkiego, co musisz wiedzieć.

I zrobi to. On musi się upewnić, że Savannah w pełni zrozumieć jej nowe moce. Odsunął krzesło do tyłu i ruszył w stronę ciężkich metalowych drzwi po drugiej stronie pokoju. Wyciągnął duży, srebrny klucz z kieszeni i włożył go do zamka. Savannah podeszła, stając za nim.

-Co tam jest?

-Twoja pierwsza lekcja.

Savannah zrobiła krok na przód, tylko do progu, by zobaczyć widok długich, krętych schodów. Spojrzała w dół, starając się zobaczyć dno. Widziała tylko ciemność.

-Co jest tam na dole?

-Dlaczego nie zejdziesz i się nie przekonasz?

Jego słowa rzucały jej wyzwanie, a jego ręka delikatnie pchnęła ją w plecy. Zaczęła powoli schodzić po schodach. Stopnie skrzypiały pod jej ciężarem, ten dźwięk przypominał jej kobiece jęki. Mogła poczuć Williama za sobą, ciepło jego ciała, pocałunek jego oddechu we włosach. Była tak boleśnie świadoma jego obecności, że mogłaby przysiąc, że nawet słyszała bicie jego serca. Schody kończyły się przed kolejnymi dużymi, metalowymi drzwiami. Spojrzała przez ramię. Nie wiedziała, czy chce to zobaczyć. Rosnący w niej strach spowodował uczucie ucisku w jej brzuchu. William wręczył jej srebrny klucz.

-No dalej, Savannah, namawiał. Otwórz drzwi.

Czując się jak Pandora, niepewnie wsunęła klucz do zamka i usłyszała cichutkie kliknięcie, gdy klucz znalazł się na miejscu. Jej dłonie były spocone, gdy przekreśliła klamkę i otworzyła drzwi. Weszła powoli, przez próg i znalazła się w długim, krętym tunelu. Tunel był oświetlony przez szereg małych świateł. Nie zadała Williamowi żadnych pytań. Po prostu szła, zastanawiając się, co będzie ją czekać na końcu tunelu.

Po kilku chwilach, miała już swoją odpowiedź. Kolejne drzwi. Tym razem nie metalowe tylko drewniane. Nie było żadnego zamka, któryby szpeciłby ich starą powierzchnię. Otworzyła je nie czekając

na Williama. Zapłonęła w niej głęboka ciekawość. Co ona znajdzie w tym pokoju? Trumnę? Zamknęła oczy na chwilę, a potem weszła do środka.

W pierwszym momencie, widziała tylko ciemność. Następnie, w jednej chwili, kilkanaście świec zapłonęło białym światłem, oświetlając pokój. A potem zobaczyła duże, wiktoriańskie łóżce, podobne do tego w jej pokoju. Pościel była w nieładzie, jakby ktoś właśnie z niej wstał. Przełknęła i odwróciła wzrok z dala od łóżka, zmuszając się do spojrzenia na resztę pokoju. W rogu stał regał na książki. Wypełniony różnym rodzajem egzemplarzami: w twardej oprawie, w miękkiej, klasyka i współczesne thrillery. Okładki były dobrze przetarte, a kanty pozaginane, co świadczyło, że wszystkie były często czytane. Dwa krzesła stały przy regale. Staromodne z wysokim oparciem. Pomiedzy nimi stał mały stolik, a rzeźbiona z drewna lampa, wystająca ze ściany świeciła z góry na niego. Nie było żadnego śladu trumny, co przyjęła z westchnieniem ulgi.

-Więc, to tutaj śpisz w ciągu dnia?

To nie było to czego oczekiwała. Pokój, z miękkim światłem i kuszącym łóżkiem, był przytulny i zachęcający. Nie tego się spodziewała po Williamie. ***Nie tego się spodziewała po wampirze.*** Zamknął drzwi, a ten dźwięk rozszedł się echem w podziemnych tunelach.

-Tak, powiedział. Jestem tu bezpieczny na dole. Nie może mnie tu osiągnąć słońce, a drzwi trzymają wrogów z daleka.

Pomyślała o długich tunelach i wijących się schodach.

-Jesteśmy we wnętrzu wzgórza, prawda?

Kiwnął głową.

-Zajęło mi lata, aby zbudować to miejsce.

-Ty je zbudowałeś?

Była pod wrażeniem. Jeden mężczyzna, który wykonał tyle pracy...

- Potrzebowałem bezpiecznego miejsca do odpoczynku, powiedział z małym wzruszeniem ramionami. Więc zrobiłem to, co trzeba było zrobić.

Nie mogła w to uwierzyć. Kopać wewnątrz wzgórza. Jeden człowiek.

- Jak to możliwe? Jak udało...

Zaśmiał się.

- Ach, Savannah. Już zapomniałaś. Mam siłę dziesięciu śmiertelnych mężczyzn. I mogę poruszać się i pracować, dziesięć razy szybciej niż przeciętny człowiek. To nie było trudne dla mnie, by zbudować to miejsce. W rzeczywistości, stworzyłem kilkanaście podobnych bezpiecznych domów na całym świecie.

Sila dziesięciu śmiertelnych mężczyzn. Potrząsnęła głową, oszołomiona.

-Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś tak silny. Te słowa brzmiały śmiesznie w jej uszach, ale były prawdziwe. Nie zdawała sobie w pełni sprawy z rzeczywistej skali siły Williama. Za każdym razem, gdy jej dotykał, był delikatny, troskliwy. Nie miała pojęcia, że mógł dosłownie zmiażdżyć jej kości, gdyby tylko chciał.

Sila fizyczna to dopiero początek. Jego słowa były szeptem w jej umyśle, choć nie powiedział ani słowa. Znieruchomiała. W jaki sposób...

Jesteśmy związani ze sobą Savannah. Więzią, której nikt nie może w pełni zrozumieć. Gdziekolwiek pójdziesz, cokolwiek zrobisz, będę z tobą. W tobie.

Poczuła jego dotyk na sobie, lekkie muśnięcie w okolicy czoła. Mimo, że on stał jakieś dziesięć kroków od niej. Kiedy przemówił, jego głos był czysty, a słowa przerażające.

-Mogę zrobić dosłownie wszystko. Mój umysł jest niezwykle silny.

-Możesz przenosić przedmioty, pomyślała o otwieranych i zamykanych drzwiach oraz jego znikającym ubraniu. Możesz czytać w myślach. Kontrolować umysły.

-Tak.

Tego rodzaju moce oszołomiły ją.

-Jak to jest możliwe?

-Dar ten pochodzi od mrocznego pocałunku.

Wyciągnął rękę, wysyłając jej ciche ponaglenie, żeby do niego podeszła. Savannah cofnęła się o krok.

-Powiedziałeś wcześniej, że nie jesteś w stanie mnie kontrolować.

Żywo przypomniała ich spotkanie w jej hotelowym pokoju.

-Ale to było przed drugim ugryzieniem.

Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

-Wiem, że możesz wejść do mojego umysłu. Udowodniłeś to. Ale czy możesz kontrolować moje myśli?

Strach prawie ją ogłuszył. Nie mogła znieść myśli, że ktoś może ją kontrolować. Opuścił swoją rękę do boku. Stał przed łóżkiem, patrząc wprost na nią. Mogła prawie poczuć ciepło jego dotyku.

-Nie wiem, powiedział. Nie próbowałem ponownie cię kontrolować.

Zmarszczył brwi, wyraźnie koncentrując się uważnie.

-Co? Co to było?

Jej serce zamarło. Potrząsnął głową.

-No dobrze. Mówiłem ci wcześniej, że twój umysł jest inny.

-Nie możesz mnie kontrolować?

Czy usłyszał nadzieję w jej głosie?

-Gdybym mógł, to stałabyś teraz przede mną, naga i błagałabyś mnie, żebym się z tobą kochał.

Zamrugła.

-Ponieważ nawet się nie poruszyłaś, będę musiał założyć, że moje sugestie ugięcia cię do mojej woli są zawodne.

Jego słowa były łagodne, ale jego spojrzenie przypominało głodnego drapieżnika.

-Zgaduję więc, że będę musiał spróbować innych metod perswazji.

Była oszołomiona. On na pewno nie miał na myśli...

-Chcesz się ze mną kochać? Teraz?

Jej serce zaczęło łomotać. Jeszcze przed chwilą się bała. Teraz, wystarczyło jedno jego gorące spojrzenie, by pragnienie go powróciło. Zaczął kroczyć ku niej.

-Tak.

Spojrzała na niego. Miał zaczerwienione policzki i rozszerzone źrenice. Owinął rękę wokół niej i przyciągnął ją do swego ciała. Mogła poczuć jego pobudzenie, naciskające na nią. Gorące. Twarde. Poczwała żar między nogami. Jak to możliwe? Jak ona może najpierw się go obawiać by potem go pragnąć i to wszystko w zaledwie chwilę?

Pocałował ją, jego usta karmiły się jej ustami. Nie wahała się. Oddała pocałunek, jej język rozpoczął zmysłowy taniec z jego

językiem, wywołując niski, gardłowy pomruk z głębi jego gardła. Przyciągnął ją bliżej, poruszając ustami w dół kolumny jej smukłej szyi. Czuła szorstki jedwab jego języka, który ślizgał się po jej skórze. Zamknęła oczy, jej oddech stał się ciężki i szybki. Walczyła, żeby trzymać się swojego rozsądku, który szybko zniknął, zamieniając się w wir pożądania.

-Jesteś pewien, zatrzymała się, zwilżając usta, że mnie nie kontrolujesz?

Podniósł głowę i odszukał jej wzrok. Gniew był widoczny na jego twarzy.

-Co masz na myśli?

Jej palce zacisnęły się na szerokich mięśniach jego ramion.

- Myślę, że potrzebuję ciebie bardziej niż kogokolwiek, kiedykolwiek wcześniej. Myślę, że pragnę cię tak bardzo, że trudno mi oddychać, ponieważ ten głód jest tak ostry.

Czuła jak jej własne ciało drży.

-Nigdy wcześniej taka nie byłam. To nie jestem *ja*!

I nie była. Ona zawsze była chłodna, zawsze opanowana. Wszystkie jej emocje, uczucia, były ostrożnie hamowane. Teraz czuła się jak by była szalona, nieostrożna. Jej ciało było zbyt gorące. Ubranie było jak więzienie. Wyraz twarzy Williama złagodniał. Jego palec przesunął się po jej wrażliwych ustach.

-Biedna Savannah. Ty zupełnie nie rozumiesz, co się już stało, prawda?

Jego ręce uspokajająco i delikatnie gładziły jej włosy z tyłu głowy.

-Ja też to czuję. Ten głód. Pragnienie. Jestem jego niewolnikiem tak samo jak ty.

Jej oczy rozszerzyły się.

-Chcę ciebie, szepnął, jego oddech był lekki jak piórko. Chcę ciebie bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Jesteś ogniem we mnie. Widzę cię i pożadam cię. Potrzebuję cię.

Jej usta drżały. Jej ciało tęskniło.

-Nie kontroluję ciebie, mówił dalej chrapliwym głosem. Nie mógłbym zrobić tego tobie.

Uwierzyła mu. Otworzyła usta aby coś powiedzieć. William cofnął się i jej ręce opadły z jego ramion. Poczula zimno, pustkę bez niego. Jednym ruchem ręki William otworzył drewniane drzwi.

-Możesz wyjść. Możesz pójść na górę i spać sama. Nie musisz być ze mną dzisiejszej nocy. Wybór należy do ciebie.

Myślała o odejściu. O powrocie do jej cichego, pustego pokoju. I myślała o nim. Wzięła krok naprzód, owijając swoje ręce wokół niego.

- Chcę ciebie, Williamie. Ciebie.

Jej wola była jej własną. Tak jak jej pragnienie. William chwycił ją na ręce i zaniósł ją z łatwością w stronę łóżka. Światło od świec wydawało się błyszczeć jaśniej. Trzymał ją mocno, przyciskając do swojej klatki piersiowej. Mogła poczuć jak jego serce galopuje pod jej palcami. Mogła poczuć drzenie pożądania, które przepływało po jego ciele.

Położył ją na środku łóżka. Zanim zdążyła nawet mrugać, on pozbył się ich ubrań. Stał, nagi i silny, obserwując ją w migoczącym blasku świec. Jego spojrzenie było intensywne, niemal wielbiące, gdy spoczęło na niej.

-Jesteś najdoskonalszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Dotknął delikatnie jej piersi. Jej sutki stwardniały. Wygięła się w łuk od jego dotyku. Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Kiedy jego rzesy się uniosły, zobaczyła słabe, czerwone kręgi wokół jego źrenic.

-Nie będę wstanie działać powoli, nie tej nocy.

Wypowiedział te słowa gardłowym głosem.

Sięgnęła po niego, przesuając ręce w dół jego klatki piersiowej. W dół do kręconej masy włosów, do złączenia jego ud. Dotknęła go, podziwiając twardość i żar jego pożądania. Jej palce zamknęły się wokół niego, ściskając lekko. Warknął. Pochyliła się, jej język przesuwał się by posmakować szczytu jego penisa.

-Nie dbam o to, szepnęła. Chcę po prostu ciebie.

Wzięła go do ust. Zanurzył palce w jej włosach. Zamknął oczy, a jego ciało zadrżało pod jej dotykiem. Całowała go. Lizła go. Czuł się tak silny. Tak gorący. Tak...

-Wystarczy!

Popchnął ją z powrotem na pościel. Jego ciało wślizgnęło się na nią, a on rozsunął jej uda daleko od siebie. Uniosła biodra, pragnąc poczuć go znowu. Jego usta pochłoneły jej, w pocałunku pełnym namiętności. Głodu. Wsunął się w nią i Savannah wydała jęk, gdy przeszła ją przyjemność. Jego ręce przytrzymały jej biodra, gdy ją uniół, poruszając się w niej, w tym samym czasie potężnymi pchnięciami.

Jej głowa rzucała się na poduszce. Usłyszała czyjś płacz, jęki, ale nie zdawała sobie sprawy, że te odgłosy pochodzą od niej. Wyraz twarzy Williama zdradzał determinację. Jego oczy były krwistoczerwone. Jego palce były tak mocno zaciśnięte wokół jej bioder, że wiedziała, że pozostawia ślady. Ale ona o to nie dbała.

Przyjemność wzrastała. Bliżej. Bliżej. Jej ciało naprężyło się. Napięło. William wsunął się w nią. Ekspłodowała, gdy fale przyjemności wybuchły w niej. Krzyknęła jego imię. Jego ciało wygięło się naprzeciw niej, było napięte jak drut. Zamknął oczy, jego zęby były zaciśnięte. I wyszeptał jej imię.

Szczytowali razem, przyjemność była tak intensywna, że prawie bolesna. Ich ciała były złączone. Serca biły jednym rytmem. W tym nie kończącym się momencie, byli jednością.

* * * *

-Jak stałeś się wampirem?

William wzdrygnął się na to pytanie, zaciskając rękę na jej ramieniu. Rozkoszował się chwilą po ich upojnym kochaniu się, ciesząc się uczuciem trzymania jej w ramionach.

-Williamie?

Rzeczywistość wdzierała się w jego świat, a on tego nie chciał. Nie chciał rozmawiać o swojej przeszłości. Nie teraz. Nie kiedy jeszcze byli razem. Nie kiedy jeszcze w powietrzu unosił się zapach lawendy. Nie kiedy jeszcze jej dotykał.

Pochylił się i pocałował ją delikatnie, pieszcząc wargi. A ona miała tak wspaniałe usta. Pełne. Kuszące. Przyciągnął ją bliżej, układając ją przy swoim ciele. Chciał ją tulić. Chciał...

Szturchnęła go w klatkę piersiową.

-William.

Przełknęła, a on dostrzegł w jej oczach pożądanie. Pożądanie, które ona starała się kontrolować.

- Powiedz mi. Powiedz mi co się stało.

Westchnął i przebiegł ręką po swoich, rozwianych włosach.

-Myślałem, że już to wiesz. Powiedziałaś to pierwszego dnia. Zmarszczył brwi, przypominając coś sobie.

-Ach, tak, było tam coś o zostaniu wampirem z powodu mojej miłości do czarnej magii?

Potrząsnęła raz głową, wykonując szybkie ruchy. Owinęła w prześcieradło swoje miękkie, rozkoszne piersi i spojrzała na niego z ustami przypominającymi cienką linię.

-To nie była prawda.

Uniósł jedną brew.

-A skąd ty to wiesz?

Jego miłość do mrocznej magii była legenda, która rozpoczęła się zanim osiągnął wiek męski.

-Nie jesteś zły Williamie.

Proste słowa. Szczere słowa. Mógł zobaczyć tą szczerość w jej twarzy, usłyszeć w jej głosie. Te proste słowa przebiły go do szpiku kości.

-Są tacy, którzy nie zgodzili by się z tobą, powiedział, zaciskając szczękę.

Czasami gdy spał, nadal słyszał jeszcze szepty wieśniaków. Mógł nadal zobaczyć strach i obrzydzenie, które wypełniały ich spojrzenia.

-Nazywali mnie bękartem diabła.

Słowa te wymknęły się mu niekontrolowane. Sapnęła, jej twarz się skrzywiła.

-Kto tak powiedział?

Przypomniał sobie małego chłopca, nie więcej niż dziesięć lat. Starą kobietę. Kowala.

-Každy tak mówił. Szeptano za każdym razem, gdy ich mijałem. Každy kto mieszkał na ziemiach mojego ojca, myślał, że jestem przeklęty. I nienawidzili mnie.

-Nie rozumiem.

Savannah potrząsnęła głowę w zakłopotaniu.

-Dlaczego? Dlaczego mieli by tak mówić o tobie? Dlaczego mieli by cię nienawidzić?

Westchnął.

-Ponieważ byłem synem swego ojca.

Jej wzrok wypełniło zmieszanie i niedowierzanie.

-To szaleństwo. Twój ojciec nie był...

Podniósł rękę, powstrzymując jej dalsze słowa.

-Ta legenda jest błędna, oczywiście. Mój ojciec nie był diabłem. Choć czasami on zachowywał się tak jakby nim był.

Jego ojciec, baron Guy de Montfort, był okrutnym, sadystycznym wojownikiem. W jego życiu nie było miejsca na słabość i sentymenty. Tolerował Williama. Ignorował Geoffrey'a. I gardził Henry'm.

-Mój ojciec miał obsesję na punkcie władzy, powiedział jej William. Chciał kontroli, absolutnej kontroli nad wszystkimi i wszystkim. Był silnym mężczyzną. Dowodził ogromną armię, trzymając ją krótko. Nikt nie mógł przeciwstawić się sile mojego ojca i przeżyć. Nikt. Mieszkańcy wsi mawiali, że sprzedał duszę diabłu, by uzyskać tę siłę.

-Zrobił to? Zapytała Savannah.

-Mój ojciec nigdy nie miał duszy.

Zimne, ostre słowa.

-Nigdy o nikogo nie dbał, a już z pewnością nie o mnie i moich braci.

Geoffrey wyrósł na człowieka, takiego samo jak jego ojciec. Głodnego tylko krwi i władzy. Savannah siedziała cicho, jej wzrok był skupiony na nim. Zaczął lekko gładzić jej ramię. Nie był nawet świadomy tego gestu.

-Kiedy osiągnąłem wiek męski, siły zaczęły opuszczać mojego ojca i on tego nienawidził.

Nadal mógł słyszeć brzmienie wściekłych krzyków ojca. Guy był rozwścieczony, gdy własne ciało zaczęło go zdradzać, gdy słabość dotknęła jego kończyny.

-Zaczął się trząść. Miewać skurcze. Nie mógł już prowadzić swojej armii. Był zdesperowany.

William przełknął, wspominając przeszłość.

- Nie mógł znieść tego, co się z nim dzieje. Więc zaczął...szukać porad u innych. Lekarzy.

Zatrzymał się, a następnie powiedział:

-Czarownic. Jasnowidzów.

-Czego się dowiedział?, szepnęła.

-Dowiedział się, że może żyć wiecznie.

William pamiętał jego szyderczą radość.

-Dowiedział się, że może przemienić się w inną istotę.

Nieśmiertelną.

- Twój ojciec stał się wampirem?

Jej szok był widoczny. William potrząsnął głową.

-Nie. Wiesz on nie miał pewności czy rytuał zadziała. Chciał, żeby ktoś inny przeszedł przemianę jako pierwszy, na wszelki wypadek, gdyby coś się stało. Na wszelki wypadek, gdyby jego jasnowidzący się mylił.

-Dobry Boże, szepnęła. Zmusił cię, żebyś to zrobił, prawda?

Pokiwał głowę, zaciskając zęby. Blizna na policzku była znowu biała.

-On uwięził Henry'ego. Nigdy nie dbał o niego. Myślał, że Henry jest słaby. Henry nienawidził naszego ojca. Nie mógł tolerować jego zła. Nie chciał wyruszyć z Guy'em na wojnę i Guy odebrał to jako jego zdradę. Kiedyś powiedział mi, że karą za zdradę jest śmierć. Torturował Henry'ego. Trzymali go w niewoli przez kilka dni bez mojej wiedzy. A kiedy był już ledwie żywy, Guy zaprowadził mnie do niego. Odbywałam ćwiczenia ze swoimi ludźmi, więc Guy wyniósł zmalretowane ciało Henry'ego na podwórze. Z trudem można było rozpoznać Henry'ego. Powiedział mi, że Henry jest umierający. Że jeśli chcę go ocalić, muszę odnaleźć mroczną istotę. Wampira. I muszę przejąć jego moce.

Ona pogłaskała go delikatnie po policzku.

-Oh, Williamie. Tak mi przykro.

Jego oczy zapłonęły, gdy spojrzał na nią.

-Nie potrzebuję twojej litości, Savannah.

Wzdrygnęła się i cofnęła swoją rękę. Zacisnął zęby. Wiedział, że ją zranił. Ale nie był przyzwyczajony, że ktoś troszczy się o niego, nie był przyzwyczajony, że ktoś próbuje go pocieszyć. Chwycił jej dłoń w swoje, w niemych przeprosinach. Po chwili, kontynuował swoją opowieść, czując potrzebę powiedzenia tej historii, całej historii. By w końcu komuś opowiedzieć tę mroczną historię. Nie, by koniecznie opowiedzieć to *jej*.

-Postępując zgodnie z instrukcjami jasnowidza, znalazłem wampira. To był mężczyzna.

Pokręcił głową, pamiętając jego pierwsze spojrzenie na wampira.

-Wyglądał na zaledwie osiemnaście lat. Myślałem, że on był tylko chłopcem. Pamiętam, że miał blond włosy i błękitne oczy.

Smutne oczy. Oczy, które widziały zbyt wiele na świecie. Oczy, które widziały zbyt wiele śmierci.

- Powiedziałem mu o Henry'm, powiedziałem mu, że musi mnie przemienić.

-I on zgodził się.

William skinął głową.

-Spojrzał w głąb mojego umysłu i podarował mi dar. Savannah oblizwała wargi.

-A potem wróciłeś do domu.

-Wróciłem do piekła, poprawił cicho. Wróciłem by znaleźć rozszarpane ciało mojego ojca. Geoffrey go zabił. Wypatroszył go. I zostawił jego ciało bym ja je znalazł.

Zamknęła oczy.

-A co z Henry'm?

-Przeczytałaś pamiętnik. Nie wiesz?

-Nie.

Jej ramiona to wznosiły się to opadały. Prześcieradło obniżyło się nieznacznie.

-Ostatni wpis kończy się na śmierci twego ojca. W wigilię Nowego Roku. Henry napisał, że poszedłeś szukać wampira, ale nie napisał co się stało po twoim powrocie.

Podniosła powieki i napotkała jego wzrok.

-Gdy czytałam pamiętnik, wynioskowałam, że zdobyłeś ten dar. Ja po prostu...wiedziałam.

Przełknęła.

-Poprosiłam moja przyjaciółkę Mary, aby cię odnalazła. Mary jest czarodziejką od komputerów. Znalazła wzmiankę o człowieku imieniem William Dark z 1101. I potem w 1290. I w 1670...

Wszystkie opisy William były takie same.

Podniosła rękę i dotknęła jego blizny.

-Ta blizna. Wspominano o niej za każdym razem. Więc wiedziała. Wiedziała, że stałeś się...

-Wampirem, dokończył cicho.

Skinęła głową.

-Ale nie wiem, co stało się z twoją rodziną. Z Geoffrey'em, z Henry'm...

-Geoffrey dowiedział się o planach ojca i udał się w poszukiwaniu wampira na własną rękę.

-Czy on próbował ocalić Henry'ego?

-Nie wiem, powiedział William.

I on naprawdę nie wiedział. Nie wiedział, czy początkowa motywacja Geoffrey'a była związana z Henry'm, czy po prostu pragnął mocy nieśmiertelnego.

-Geoffrey zawsze był trudny, okrutny. Myślał, że to nic uciąć rękę chłopcu, za to, że go dotknął. A mój ojciec zachęcał go do takich czynów.

-Dlaczego on zabić własnego ojca?

Savannah potrząsnęła głową.

-Dlaczego miałby to zrobić?

-Ponieważ Guy de Montfort nie był jego ojcem. Geoffrey był moim przyrodnim bratem, Savannah. Mieliliśmy tę samą matkę, ale różnych ojców.

-Kto był jego ojcem?

Wstał z łóżka i zaczął się krążyć po pokoju, ledwie świadomy swej nagości.

-Brat Guy'a. W rok po tym, jak się urodziłem, moja mama zaszła z nim w ciążę. Guy zabił swojego brata, jak tylko się o tym dowiedział. Moja matka umarła na gorączkę wkrótce po urodzeniu dziecka.

William zawsze skrycie wierzył, że jej śmierć była aktem miłosierdzia ze strony Boga. Zostało jej oszczędzone stanięcie przed obliczem śmiertelnego gniewu Guy'a.

-Więc twój ojciec zabrał Geoffrey'a i uznał go?

-W tamtych czasach, mężczyzna nie miał wielu synów.

Wszyscy przywódcy potrzebowali ludzi, którzy za nimi podążą, synów, którzy poprowadzą ich armię. Powiedział światu, że Geoffrey jest jego i wykorzystał go, tak samo jak Henry'ego i mnie.

Zatrzymał się, chwytając się łoża.

-Nie wiem, dlaczego Geoffrey w końcu go zabił. Może za to co Guy zrobił Henry' mu. Zawsze wydawało się, że Geoffrey...opiekował się Henry'm. Przynajmniej na swój, własny, pokręcony sposób. Myślę, że czyn mojego ojca doprowadził go krawędzi. I dlatego też szukał wampira.

Mógł prawie zobaczyć trybiki obracające się w jej głowie, gdy rozważała wszystkie możliwości.

-I w końcu wróciłeś do domu.

Urwała na chwilę, a potem powiedziała.

-I znalazłeś Henry'ego.

-Henry wiedział czym się stałem. Widziałem to w jego oczach. Nadal pamiętał strach jaki ujrzał w oczach brata.

-Ledwo się trzymał. Był znów torturowany i zostawiony na śmierć. Dusił się własną krwią.

Zacisnął zęby, chcąc skończyć tą mroczną opowieść i rozstać się z przeszłością. Savannah patrzyła na niego, z niesamowitą wiedzę w jej szmaragdowych oczach.

-Próbowałeś go przemienić mimo wszystko, prawda?

Kiwnął głową.

-Był moim bratem, powiedział po prostu, wiedząc, że ona, ze wszystkich ludzi, go zrozumie. On wiedział, że wyruszyłem po mroczny dar. Próbowałem go przemienić, dać mu moją krew. I myślę, myślę, że rozpocząłem przemianę...

-Co się stało?

-Zostaliśmy zaatakowani. Wieść o śmierci mego ojca dotarła do jego wrogów. Oni zaatakowali nasze gospodarstwa, zabijając wszystkich na swojej drodze. Rycerzy, służących. To nie robiło różnicy. Okazali moim ludziom takie samo okrucieństwo, jakie mój ojciec okazywał im.

Krzyki rozbrzmiewały echem w jego głowie. Mógł słyszeć dźwięk palonego drewna. Zobaczył miecz wymierzony w niego.

-Żołnierze znaleźli mnie i Henry'ego. Zaatakowali nas.

Walczyłem z nimi i pozabijałem wszystkich. Ale kiedy wróciłem do Henry'ego...

Smutek spłynął na całą jej twarz.

-Już nie żył.

Pokiwał głową i starał się przełknąć bolesne wspomnienia. Ból, który go dławił.

- Jeden z mieczy przebił mu klatkę piersiową. Krew była wszędzie.

Wyjął miecz z piersi Henry'ego i stał odrętwiały, patrząc w dół na nieruchome ciało brata.

-Czekałem zbyt długo, aby go przemienić. Umarł przeze mnie. Zerwała się z łóżka, odrzucając prześcieradło i przyskoczyła do jego boku.

-Nie mów tak, Williamie. To nie jest prawdą. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, by uratować Henry'ego.

- Gdybym tylko dostał się z powrotem do niego trochę wcześniej, gdybym tylko wcześniej go przemienił...

Przeszłość nawiedzała go już tak długo. Gdyby tylko, niektóre rzeczy były inne... Szarpnęła go za ramiona, zmuszając go by się odwrócił i spojrzął na nią.

- Posłuchaj mnie! To nie była twoja wina. Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, aby pomóc Henry'emu. Nie możesz wciąż obwiniać się za jego śmierć! Nie możesz!

Przerwała, a potem cicho powiedziała:

-Henry by cię nie winił.

Nie winił by?

-Geoffrey mnie obwinia.

-Co?

Otworzył swoje usta do odpowiedzieć, ale potem zmarszczył brwi, czując drobną zmianę w atmosferze. Chłodne ostrzeżenie spłynęło w dół jego kręgosłupa. Świt się zbliża. Odsunął się od niej, ignorując jej pytające spojrzenie i podszedł do regału z książkami.

-William?

Savannah patrzyła bezmyślnie na niego.

-Co ty robisz?

Na pewno nie pozwoli, żeby spuścił na nią taką bombę i potem odszedł! Wyciągnął czarną skrzynkę z najwyższej półki. Otworzył pokrywę i wyjął srebrny klucz, klucz dokładnie taki sam, jaki był używany do otwierania metalowych drzwi w tunelu. Wrócił do niej.

-Chcę abyś go zatrzymała, powiedział. On pozwoli ci przyjść i odejść przez tunel, kiedy zechcesz.

Wzięła od niego klucz. Był zimny, ciężki w jej ręce.

-Ale co z Geoffrey'em...

Dotknął delikatnie jej policzka.

- To jest już inna historia. Która musi być zachowana na inny czas. Świt się zbliża.

Zwrócił uwagę na klucz.

- Chcę, abyś czuła się swobodnie przy zwiedzaniu domu w ciągu dnia. Żaden pokój nie jest dla ciebie zamknięty. Jedyne o co proszę to pozostań wewnątrz domu.

Jego spojrzenie przypominało głębokie jeziora.

-W domu jest bezpieczniej.

Dotknął ją tą uwagą.

-Nie odejdę, obiecała, zaciskając palce na kluczu.

-Będiesz bezpieczna w ciągu dnia, powiedział jej. Geoffrey w tedy odpoczywa. Nie będzie w stanie cię dotknąć.

-A co z moimi snami?

Spytała cicho, z dreszczem przypominając sobie lęk.

-To było w ciągu dnia, gdy wszedł do mojego snu.

Dotknął jej policzka. Lekki, przelotny kontakt.

-Ja cię ochronię. Teraz po drugim ugryzieniu, jestem z tobą związany. Upewnię się, że on nie wślizgnie się do twojego umysłu.

Ulga przetoczyła się przez nią. William podniósł głowę i zmrużył oczy.

-Słońce wschodzi.

Jego głos był przygaszony.

-Musisz odejść.

-Nie, chcę zostać z tobą.

I naprawdę chciała. Nie chciała wracać do pustego pokoju. Chciała zostać z Williamem. Zaczęły mu drgać mięśnie szczęki. Dotknęła jego ramienia.

-O co chodzi?

Nie patrzył na nią.

-Gdy świt przychodzi, następuje zmiana.

-Zmiana?

Zacisnął pięści.

-Moje ciało zamiera. Nie będę oddychać. Moje serce nie będzie biło.

W końcu spojrzał na nią, śledząc uważnie jej twarz.

-Będzie tak jakbym nie żył.

-Wiem, co się dzieje, podczas twojego snu, Williamie, powiedziała do niego łagodnie. Wiem, że musisz regenerować siły w ciągu dnia.

Czytała o wampirach, że potrzebują pełnej ciszy. Słońce było niebezpieczne, wyczerpujące dla nocnych stworzeń. W ciągu dnia, wszystkie wampiry blokowały fizycznie swoje ciała. Ich umysły pozostawały aktywne, zaplątane w snach świata, ale ich ciała były zmuszone do leżenia bez ruchu.

-Więc rozumiesz, dlaczego musisz odejść.

Savannah potrząsnęła głową.

-Nie, nie rozumiem. Chcę zostać z tobą.

Wiedziała, że jest uparty, ale naprawdę nie dbała o to. Chciała mu udowodnić, że się nie boi. Ona sobie poradzi z nim, ze wszystkim co jest z nim związane. Wycisnął z jej ust pocałunek. Mocny. Szybki.

-Więc zostań.

Owinał ręce wokół niej.

-Zostań ze mną do świtu.

Uśmiechnęła się do niego. I tylko, przez chwilę jego usta odpowiedziały uśmiechem. Leżeli już w łóżku, zawinięci w swoje objęcia. Dobrze było być tu, razem z nim. Właściwie.

-Śpij Savannah.

Głos Williama był miękki. Jego ramiona wokół niej silne. Savannah zamknęła oczy, czując się bezpieczną, całkowicie chronioną.

Zanurzyła się we mgle snu z delikatnym westchnieniem. Chwilę później, gdy słońce weszło, była już w krainie snów i nie czuła nagłego chłodu, płynącego od napiętego przy niej ciała Williama.

Na początku jej sny były radosne. Była z Williamem. Tańczyli na tle nocnego nieba. Była tak szczęśliwa. Ale potem, odepchnął ją, a jego ciało wydawało się chwiać przed jej oczami. Podbiegła do niego, ale on zniknął. Wokół niej był las. Poskręcane drzewa. Biegła, szukając Williama. Ale to nie Williama znalazła. W mroku świata z

jej snu, znalazła swoją przyjaciółkę Mary. Jej długie, czarne włosy powiewały na wietrze, a ona patrzyła w dół na przepływającą rzekę. Uśmiech pojawił się na ustach Savannah, a ona podbiegła aby ją powitać. Mary zrobiła krok naprzód, w kierunku rzeki. Błyskawica przecięła nocne niebo. Woda była spieniona, a Mary stała w niej do kolan. Savannah zdała sobie sprawę, że woda jest czarna. Tak czarna jak sama noc. Głodne fale zdawały się otaczać Mary, wciągając ją głębiej i głębiej w ich zimne objęcia. Savannah biegła tak szybko, jak mogła, zdesperowana, aby dostać się do Mary. Jej bose stopy ślizgały się po wilgotnej ziemi. Serce łomotało w jej piersi. Była tak blisko. Tak blisko. Tylko kilka metrów...

Mary odwróciła się, jej twarz przypominała maskę strachu. Wyciągnęła ręce do Savannah. I Savannah usłyszała echo krzyku.

Rozdział 10

Mój brat rozsmakował się w śmierci.

-Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 11 Grudnia 1068.

Słońce jeszcze nie weszło w Seattle. Ciemność nocy nadal obejmowała puste ulice miasta. Cienie nocy maskowały go, gdy patrzył na nią. Widział ją tak wyraźnie przez cienkie szkło okna. Jej czarne włosy ściągnięte były do tyłu w niedbały koński ogon. Jej twarzy, napięta z koncentracji, odbijała się w ekranie komputera. Ramiona były zgarbione, a jej palce gorączkowo wędrowały po klawiaturze.

Dotknął tafli szyby, czując jej chłodną powierzchnię pod palcami. Był tak blisko niej. Zaciągnął się głęboko, wyczuwając nocne powietrze. Mógł poczuć zapach potu, krwi i słaby zapach spalonych liści i śmieci. Ale nie mógł wykryć żadnego jej zapachu. Jeszcze nie.

Potarła czoło, wyraźnie zmęczona. Siedziała przy komputerze, ponad cztery godziny. Wiedział o tym, bo obserwował ją całą noc. Obserwował. I czekał. Z biegiem lat nauczył się doceniać cierpliwość. Mógł czekać w nieskończoność na swoją zdobycz. Była łatwa do wyśledzenia. Zbyt łatwa. Czy łatwo będzie ją zabić? Czy będzie krzyczeć? Będzie z nim walczyć?

Zawsze rozkoszował się w dobrej walce. Miał nadzieję, że ona go nie rozczaruje. Wstała i wyłączyła swoją maszynę. Widział jak podchodzi do szafy i zakłada czarną, skórzaną kurtkę. Uśmiechnął się, zęby błysnęły w słabym świetle ulicy. Szła do niego.

Przeniósł się z dala od okna, z powrotem w cień. Drzwi otworzyły się z lekkim piskiem. Usłyszał brzęk jej kluczy, jak dokładnie zamykała dom. Ona wydaje się być taka ostrożna, drobiazgowa, ryglując drzwi jak przystało na dobrą dziewczynkę. Jakby to mogło ją ocalić.

Stała do niego tyłem, pochylona i skupiona na zamkach. Było by tak łatwo, podejść do niej, schwytać ją teraz. Ona by nigdy, nawet nie dowiedziała się, co się stało. Ale w tym nie byłoby żadnej zabawy. Więc on poczeka. Milczący. Czujny. Kiedy stąpała po kamiennych schodach, jej buty nie wydały żadnych dźwięków na betonowych

stopniach. Kiedy dotarła do chodnika, zatrzymała się i rozejrzała po okolicy. Wiedział, że ona nie może go zobaczyć. Był zbyt biegły w maskowaniu swojej obecności. Poszła w dół chodnikiem. Gdzie ona idzie o tak późnej porze? Czy jej matka, nigdy jej nie mówiła, że w nocy może być niebezpieczne?

Skradał się za nią, wdychając jej zapach. Mógł wyczuć woń jej szamponu. Przypominała mu zapach jabłek. A on zawsze lubił jabłka. Ona nadal miała klucze w ręce. Były zaciśnięte między jej palcami. Prawie się roześmiał, na myśl o jej żalostnej broni. Słyszał jej serce, jak waliło ostro w jej piersi i mógł prawie poczuć smak jej krwi, płynącej obficie w jej żyłach. Słodka. Słodka krew. Oh, jak on kochał jej smak....

Przybliżył się do niej, prawie na jeden cal. Nigdy nie odwracała się. Ulica była zupełnie pusta. Wszystkie domy były spowite ciemnością. Nikt nie mógł jej zobaczyć. Lub jego. Sięgnął do niej, dotykając delikatnie jej szyi. Krzyknęła i szarpnęła się do tyłu, starając się, zamachnąć się na niego kluczami. Śmiał się, gdy klucze przecięły skórę na jego twarzy. Owinął ręce wokół niej i przycisnął do siebie. Wyszarpnął jej klucze i rzucił je na ziemię.

-Witaj ślicznotko, szepnął, a jego oczy były krwistoczerwone. Czekałem na ciebie.

Jej oczy rozszerzyły się, zdając sobie sprawę z przerażającego odkrycia. Otworzyła ponownie usta do krzyku. Zaciśnął rękę na jej ustach.

-Shhh, miłości. Nie chcemy obudzić teraz sąsiadów, prawda?

Uśmiechnął się, pozwalając jej zobaczyć swoje zęby. Mógł wyczuć bogaty, mocny zapach jej strachu. Kochał smak strachu.

-Nie ruszaj się, kochanie.

Polizał ją po gardle i poczuł jej drżenie. Łzy płynęły z kącików jej oczu. Zawsze nienawidził kobiecych łez. Ukazywały słabość. Bezżyteczność.

-Czy boisz się śmierci?

Zapytał, czułym głosem. Czuł jej powolne skinienie.

-Szkoda, mruknął.

I zatonął zębami w jej gardle.

* * * *

-Mary!

Savannah, krzyknęła już na jawie, jej serce łomotało. Widziała swoją przyjaciółkę tak wyraźnie, walczącą w ciemnych wodach rzeki. Krzyczała. Prosiła ją o pomoc. Zimny węzeł strachu ulokował się w dole jej brzucha. Coś się stało. Coś straszego.

Obok niej, ciało Williama leżało w niesamowitym spokoju. Dotknęła go, jej palce łagodnie przesunęły się po jego nagim ramieniu. Jego skóra była tak zimna, a on nie oddychał. Nie poruszył się.

-Williamie?

Nie odpowiedział, ale ona wcale nie oczekiwała tego od niego. On nie chciał, nie mógł, wstać przed zmrokiem.

Strach nadal w niej rósł. Była przerażona, że coś stało się Mary. Zsunęła się z łóżka, zastanawiając się, która godzina. Jak długo spała? Jak długo śniła o czarnej rzece kipiącej nienawiścią? Wsunęła się w jej ubranie i chwyciła swój klucz. Musiała zadzwonić do Mary. Musiała mieć pewność, że z jej przyjaciółką jest wszystko w porządku.

Biegła tunelami i schodami w górę. Piekły ją nogi, ale śpieszyła się, poruszając się tak szybko jak mogła. Wpadła do kuchni i biegła przez pokój. Pchnęła rękami drzwi z takim impetem, że odbiły się od ściany. Biegła przez korytarz, a jej białe stopy uderzały o zimną, drewnianą podłogę. Chwyciła telefon i szybko wybrała numer mieszkania Mary.

Telefon dzwonił. Raz. Drugi razy. Savannah zaczęła się modlić. Trzeci raz. Mary zwykle odbierała swój telefon po drugim dzwonku. Zawsze mówiła, że po prostu nie może się doczekać, by dowiedzieć się kto dzwoni. Czwarty dzwonek. Wciąż nie odbiera. Ręka Savannah kreśliła dziwne wzory obok telefonu. Dlaczego Mary nie odbiera? Gdzie ona jest?

-Słucham?

Kobięcy głos był miękki i ochryply. Kolana ugięły się pod Savannah.

-Mary?

-Nie, głębokie westchnienie. Mary jest w szpitalu.

W szpitalu? Pokój wydawał się wirować. Savannah osunęła się na ziemię, trzymając telefon ze wszystkich siły. Poznała głos współlokatorki Mary.

-Sara, to ja Savannah. Czy z Mary wszystko dobrze? Co się stało?

Nastąpiła chwila ciszy.

-Nie Savannah, nie jest dobrze. Lekarze mówią, że ona z tego nie wyjdzie.

Savannah słyszała ból w głosie Sary.

-Co się stało?

Poczuła, że drętwieje.

-Miała wypadek samochodowy. Znaleźli ją na końcu ulicy. Wjechała samochodem prosto w drzewo, powiedziała Sara. To było tuż przed świtem. Co do diabła ona tam robiła o tej porze? Dlaczego prowadziła?

Łzy zadławiły jej głos. Usta Savannah drżały.

-W którym jest szpitalu?

-W Mercy's Heart. Słuchaj, Savannah, jeśli chcesz zobaczyć Mary, to lepiej przyjedź tu szybko. I nie myśl, że ona ma dużo czasu.

Lepiej przyjedź tu szybko.

-Ja...ja nie mogę. Nie mogę wyjechać.

Obiecała Williamowi. **Proszę cię tylko, żebyś została w środku.** Jego słowa były echem w jej głowie. **W domu jest bezpiecznie.**

-Musisz przyjechać, głos Sary był nagłący. Ona...ona umiera. Lekarze mówią, że to kwestia dni, może godzin.

Łzy spłynęły po policzku Savannah. Nie Mary. Drogi Boże, nie. Nie Mary.

- Savannah? Jesteś tam?

-Tak, szepnęła.

-Musisz przyjechać. Musisz się z nią zobaczyć zanim...zanim...

Zanim będzie za późno. Zanim ona umrze.

-Przyjadę.

Nie było wyboru.

-Przyjadę tak szybko jak się da, powiedziała Savannah mocnym głosem.

William zrozumie. Zrozumie, że musiała wyjechać, że musiała zobaczyć Mary. O, Boże, Mary. Przelknęła, próbując łez i bólu. Nic nie mogło jej powstrzymać by znów zobaczyć Mary. Nic.

* * * *

William czuł jej ból. Uderzał w niego, łomotał w jego głowie. Starał się dotrzeć do niej, dotknąć jej, ale znalazł tylko pustkę. Słyszał jej głos. Słyszał jej łzy. Co się stało? Co się wydarzyło? Savannah. Płacz odbijał się echem w jego umyśle.

* * * *

Savannah ledwo pamiętała jak zjechała samochodem w dół wzgórza. Szalony rajd na lotnisko był jak mgliste wspomnienie. Kiedy siedziała w samolocie, patrząc przez okno na oddalającą się ziemię poniżej, mogła tylko myśleć o Mary. Jej drogiej przyjaciółce. Jej najdroższej przyjaciółce. Dlaczego? Dlaczego Mary ucierpiała? Czy to był zwykły wypadek? Dlaczego Mary była o tej porze poza domem? Co tam robiła?

Coś było nie w porządku. Savannah mogła to poczuć. Było coś więcej w tej historii. Więcej niż „wypadek” Mary. Czy to Geoffrey wysledził Mary? Czy to on jest przyczyną jej przyszłej śmierci? Myśl o winie prawie ogłuszyła Savannah. Czy to ona przyprowadziła mordercę pod drzwi przyjaciółki?

Modliła się, aby Mary nadal żyła. Żeby wyzdrowiała. Modliła się i błagała, mając nadzieję, że Bóg usłyszy jej rozpaczliwe wołanie. Jej palce były szczelnie zaciśnięte. Zgarbione ramiona. W skroniach pulsowało, w równym, łomoczącym rytmie. Była przerażona. W całym tym roztargnieniu, w jej umyśle zakwitła jedna myśl.

Chciała, żeby był tu z nią William.

* * * *

William obudził się sam w łóżku. Wiedział, że Savannah nie ma, zanim wziął pierwszy oddech. Czuł jej nieobecność. Czuł pustkę w domu. I czuł echa jej bólu. Coś się stało. Coś, co zmusiło ją do opuszczenia schronienia w jego domu.

Serce mu się ścisnęło. Była gdzieś tam, w nocy. Sama. Geoffrey będzie czekał na nią. Czekał na swe perfekcyjne zabójstwo.

Błyskawicznie przemierzył tunel, następnie przeszukał cały teren wokół domy w zaledwie kilka sekund. Był całkowicie skupiony na

Savannah. Musiał do niej dotrzeć. Musiał ja znaleźć. Zanim będzie za późno.

Poszedł do jej pokoju. Wiedział, że jej tam nie będzie, ale zmusił siebie do wspięcia się po wąskich schodach i śpiesznego wejścia do ciemnego pokoju. Musiał to sam zobaczyć. Musiał zobaczyć...

Pokój był pusty. Ale nadal mógł jeszcze poczuć jej zapach. Słaby zapach lawendy był na pościeli, poduszce. Nie zamierzał włączyć światła. Widział doskonale w ciemności, tak samo jak w świetle. Była jakaś kartka z wiadomością na jej łóżku, oparta lekko na poduszce. Była krótka, zwięzła, przerażająca.

Wybacz mi Williamie. Muszę wrócić do Seattle. Moja przyjaciółka Mary miała straszny wypadek. Muszę się z nią zobaczyć. Nie martw się o mnie. Będę bezpieczna. I wrócę tak szybko jak będę mogła. Obiecuję.

Nie podpisała wiadomości, nie musiała tego robić. Zgniółł kartkę w pięści. Ona może nie wrócić. Nie jeśli Geoffrey stanie na jej drodze. Wiedział, że Savannah wpadła w pułapkę. Geoffrey zaatakował jej przyjaciółkę, aby wywabić ją na otwartą przestrzeń. To była taktyka, której jego brat użył dziewięćset lat temu. Udało się wtedy i William obawiał się, że teraz również zadziała.

Musiał dostać się do Savannah zanim Geoffrey to zrobi. Ruchem ręki otworzył drzwi balkonowe i pobiegł prosto w noc. Wyskoczył wysoko w powietrze, a jego ciało zaczęło się zmieniać, nabierać kształtu. Miał wiele mrocznych zdolności. I użyje ich wszystkich, aby uratować Savannah.

Zniknął mężczyzna. W jego miejsce, duży, groźny jastrząb wystrzelił w niebo. On ją znajdzie. Nie było innego wyjścia.

Savannah.

* * * *

Nienawidziła szpitali. Nienawidziła tych zapachów, dźwięków i przytłaczającej bieli sal. Szpital był zimnym, nieprzyjemnym miejscem pełnym śmierci i rozpacz. Zbyt wiele lat spędziła wewnątrz zimnych, szpitalnych ścian. Miała nadzieję, że już nigdy w przyszłości, nie przestąpi kroku przez szklane, szpitalne drzwi. Nie

mogła uwierzyć, że Mary była tutaj. Że jest umierająca. Nie Mary. Była zbyt silna. Zbyt dobra.

Jej przyjaciółka była na oddziale intensywnej terapii. Jej ciało było podłączone do wielu różnych rur i urządzeń. Stały sygnał był emitowany z aparatury. Nie wpuszczano do jej sali gości. Ale Savannah знаła, dzięki swoim częstym wizytą w Mercy's Heart, pielęgniarkę oddziałową.

Patty O'Connor, była słodką, starszą kobietą po pięćdziesiątce, która troskliwie zajmowała się Savannah, podczas jej długich pobyków w szpitalu. Ona i Patty zostały przyjaciółkami po spędzeniu ze sobą tylu godzin. Patty zgodziła się na to, żeby Savannah przyszła i odwiedziła Mary, ale powiedział jej, że może pobyć tam tylko przez kilka minut.

Łzy przesłoniły jej wzrok, gdy spoglądała na swoją przyjaciółkę. Twarz Mary była posiniaczona i pocięta. Obie nogi były połamane. Patty powiedziała, że jej przyjaciółka doznała wstrząsu mózgu, ma załamane dwa żebra i zgniecioną miednicę. Jej lewe płuco było przebite. Do czasu, gdy sanitariusze dotarli do Mary, jej płuca zaczęły wypełniać się płynem. Mary straciła dużo krwi. Za dużo.

Lekarze gorączkowo pompowali szlachetną ciecz z powrotem do jej ciała. To był naprawdę cud, że ona nadal żyła. Niestety, lekarze nie byli pewni, jak długo będzie w stanie wytrzymać. Savannah trzymała rękę Mary, przesuwając delikatnie palcem po otarciach na jej powierzchni.

-Mary, to ja Savannah.

Przełknęła, starając się pozbyć guli z jej gardła.

-Słyszysz mnie?

Nie było odpowiedzi. Maszyny nadal wydawały dźwięki. Cisza nadal obejmowała ciało Mary.

-Proszę Mary. Musisz walczyć. Nie możesz jeszcze odejść. Po prostu nie możesz.

Ale, gdy spojrzała na bladą, nieruchomą twarz Mary, rozpaczliwie się przeraziła, że Mary rzeczywiście opuści ją wkrótce. Jej palce zacisnęły się na palcach Mary.

-Ile razy to ty mnie trzymałaś za rękę, gdy leżałam w szpitalnym łóżku? Ile razy powtarzałaś mi, że nie mogę się poddawać? Pamiętasz to Mary? Ty i Mark. Oboje mówiliście mi, że nie mogę zrezygnować. Kazaliście mi walczyć.

Znów łzy zasłoniły jej wzrok.

-Więc teraz ja ci to mówię. Musisz walczyć, Mary. Musisz żyć! Czy rzęsy Mary zatrzepotały? Savannah nadal mówiła, z gorączkową intensywnością.

-Słyszysz mnie, prawda, Mary? Wiem, że tak. Zostań ze mną Mary. Zostań ze mną! Wiem, że jesteś zmęczona i, że cię boli, że jedyne co chcesz zrobić to zasnąć, by powstrzymać ból. Wiem to ponieważ ja też tak robiłam. Chciałam tylko zamknąć oczy i sprawić, że to wszystko minie. Ale nie robiłam tego. Nadal walczyłam. Chciałam żyć. I ty też chcesz żyć. Wiem, że tak jest. Chcesz wyjść za mąż. Mieć dzieci. Śliczne, małe dzieci, które będziesz uczyć jak być hakerem komputerowym. Chcesz pojechać do Hiszpanii. Chcesz uciekać przed bykiem. Chcesz zrobić tak wiele rzeczy. Ale jeśli nie będziesz walczyć, nie będziesz w stanie nic zrobić.

Poczuła jak palec Mary zapleciony z jej palcami poruszył się. Savannah pochyliła się do przodu, nadzieja rozświetliła jej twarz.

-Mary?

I wtedy je zobaczyła. Dwa niewielkie nacięcia po lewej stronie gardła Mary. Ledwie widoczne, mogły być nie zauważone przez większość ludzi. Ale Savannah miała podobne znaki na własnej szyi. Wiedział co te znaki oznaczają, wiedział skąd one się wzięły. Fala mdłości przetoczyła się przez nią.

-Dobry Boże, szepnęła, jej twarz wyrażała pełną grozę. To nie był wypadek. Nie było możliwości, że był to tylko wypadek. Nie z tymi znakami. Geoffrey je zrobił, to on zaatakował Mary. Powieki Mary uniosły się. Jęknęła, dźwięk ten był ostry i pełen lęku.

-Już dobrze Mary. Jestem tutaj.

Savannah próbowała ją uspokoić. Mary zaczęła się rzucać na łóżku, wymachując rękami, starając się wyszarpać od urządzeń, które ograniczały jej wolność.

Jej kropłówka przeleciał przez pokój. Krew spłynęła w dół po jej ręce.

-Nie! Przestań! Zrobisz sobie krzywdę!

Savannah gorączkowo nacisnęła przycisk aby wezwać pomoc. Usta Mary drżały. Starła się coś powiedzieć, ale wydała tylko jęk.

Patty wbiegła do sali. Jej oczy się rozszerzyły, gdy podeszła do łóżka, układając ręce Mary wzdłuż jej ciała, przypinając je rzepami. Mary zmagala się z tymi zapięciami, a jej ogromne oczy wypełniły się łzami. Kolejny długi jęk wydobył się z jej ust.

-Musisz wyjść, powiedziała Patty, włączając przyciski wzywający lekarza.

Mary zaczęła jęczeć. Rzucić głową.

-Uspokój się, powiedziała do niej Patty. Jesteś bezpieczna. Miałaś wypadek, ale my się tobą już zajmujemy. Wszystko będzie w porządku, pani Tood.

Zaczęła wsuwać kolejną kroplówkę w rękę Mary. Savannah cofnęła się o krok od łóżka. Lekarz, starszy mężczyzna, o siwych włosach i w okularach w rogowej oprawie, pojawił się w drzwiach. Spojrzał szybko, oceniając sytuację.

-Morfina, teraz, wydał dyspozycję.

Pielęgniarka w pośpiechu przygotowywała strzykawkę.

-D...d...d...d...

Mary zacisnęła zęby i frustracja odbiła się w całej jej twarzy.

-Musisz wyjść, powiedział lekarz do Savannah.

Maszyny zaczęły dzwienceć, szybciej, głośniej. Bolesne spojrzenie Mary zatrzymało się na Savannah.

-D...d...d...dia...

-Natychmiast proszę pani!

Ton lekarza był ostry. Pielęgniarka chwyciła ramę Savannah.

-Wróć, Savannah obiecała Mary.

Nie chciała jej opuszczać. Chciała zostać i upewnić się, że z Mary wszystko będzie dobrze.

-Musisz ze mną iść, podkreśliła pielęgniarka.

-D...d...diabeł!

Krzyknęła Mary, a jej twarz wykrzywił strach.

-D...d...diabeł...p...p...powiedział, że p...p...przyjdzie...po...c...ciebie!

Wszyscy zamarli.

-Co?

Pytanie Savannah było zaledwie szeptem.

-O...on...p...p...przyjdzie. B...bądź...g...gotowa.

Mary zamknęła oczy, jej ciało zwiotczało i opadło na prześcieradło.
Patty przeżegnała się.

-Mary?

Savannah zrobiła krok naprzód, uwalniając się z uchwytu pielęgniarki.

-Mary!

Maszyna dźwięczała, powoli i stabilnie, w cichym pokoju. Lekarz pochylił się nad łóżkiem, ostrożnie sprawdzając Mary.

-Czy ona z tego wyjdzie?

Spytała Savannah, dusząc się ze strachu. Lekarz wyprostował się powoli.

-Nie wiem.

Savannah przygryzła wargi, aby ukryć ich drżenie.

-O czym ona mówiła?, szepnęła Patty, robiąc krok do tyłu od łóżka.

-O diable.

Lekarz zmarszczył czoło, patrząc na nią.

-Ona majaczyła. Wiesz jak to jest z pacjentami, kiedy dostaną...

Nie, Mary nie miała zwiądów. Lekarz bardzo, ale to bardzo się mylił. Diabeł zaatakował Mary, a teraz planował przyjść po Savannah. Savannah nadal patrzyła na nieruchome ciało Mary. Biedna Mary. Przez co ona musiała przejść!

-Czy ona z tego wyjdzie?, zapytała ponownie.

Lekarz przesunął ręką po zmęczonej twarzy.

-Możliwe.

Potrząsnął głową.

- Ja po prostu nie wiem. Trudno powiedzieć, zwłaszcza w niektórych przypadkach, takich jak ten i nie chcę dawać fałszywych nadziei.

Westchnął.

-Ona jest pod najlepszą opieką. Zrobimy co w naszej mocy, aby ona z tego wyszła.

Savannah skinęła głową. Spojrzała na bladą twarz przyjaciółki.

-Musisz stąd wyjść. Ona potrzebuje odpoczynku.

Savannah pochyliła się i pocałowała policzek Mary.

-Walcz Mary. Walcz dla mnie.

Walcz z diabłem, który podszedł cię jak zwierzynę. Spojrzała jeszcze raz na twarz przyjaciółki. Potem odwróciła się i powoli wyszła z sali.

Szła przez długi, szpitalny korytarz, słuchając rozmów pacjentów i pielęgniarek. Słyszała ciche szmery ich głosy. Mijani ludzie byli zamazani. Patrzyła w dół na białą, lśniącą podłogę, poruszając się po szpitalu całkowicie z pamięci.

Słowa Mary były echem w jej głowie. Savannah wiedziała, że diabeł o którym mówiła jej przyjaciółka to Geoffrey. On zmierzał po nią. A ona bała się, że nie będzie wystarczająco silna, aby go pokonać.

Jej kroki stały się powolne, jak z drewna. Jej głowa pękała. Ignorowała ból, ignorowała chór głosów i maszyn. Kroczyła dalej. Powoli, stopniowo. Gdy jechała windą na dół, na pierwsze piętro, patrzyła na swoje odbicie w szybie, zastanawiając się nad kruchą kobietą, która spoglądała na nią.

Jej oczy były zapadnięte, szkliste. Jej skóra była kredowobiała. Podniosła rękę, wiedzona jakimś impulsem, by dotknąć jej wizerunku, aby upewnić się, że ta smutna kobieta przed nią to ona. Winda stanęła i drzwi się otworzyły. Zapomniała o smutnej kobiecie, którą zobaczyła i udała się do kaplicy. Zawsze do niej szła, gdy potrzebowała siły. Kiedy potrzebowała nadziei.

Pchnęła drzwi i weszła do środka. Kaplica była pusta. Wyszukane, złote krzyże wisały na wszystkich ścianach i kilka ławek, obitych w tkaniny zostało ustawionych na środku pomieszczenia. Szła w stronę ołtarza, wpatrując się w obraz przedstawiający ukrzyżowanie Jezusa. Upadła na kolana, zamykając oczy.

-Proszę Boże, błagała. Pomóż Mary. Daj jej siłę.
Zimny wiatr wdarł się do kaplicy. Krzyże drżały. Savannah podniosła wzrok. Miękki chichot rozbrzmiał za nią, a ona przestała oddychać.

-Głupia kobieto, powiedział, przeciągając złośliwie. Nawet twój Bóg ci nie pomoże.

Rozpoznała ten głos. Głos, który nawiedzał jej sny, jej koszmary. Wstała na drżących nogach i wzięła głęboki oddech. Nie mogła pozwolić, aby zobaczył jej strach. Nie mogła tego zrobić. Odwróciła się powoli, zbierając całą swoją siłę, całą odwagę.

Drzwi kaplicy były otwarte, a on stał na progu tego świętego miejsca, ukryty w cieniu. Nie mogła zobaczyć jego twarzy. Tylko zarys jego ciała. Wysoki, silny. Niebezpieczny.

-Trzymaj się od mnie z daleka, nakazała, unosząc podbródek. Zaśmiał się znowu.

-Głupi człowiek. Co każe ci myśleć, że jesteś jedyną, której chcę?

O czym on mówi? Oczywiście, że była jedyną której on chciał. Kogo jeszcze mógłby chcieć? Oh, Boże Mary!

-Wiem, gdzie ona jest, szepnął. Kochana Mary. Taka....słodka kobieta.

Nie, nie...ona nie może pozwolić, żeby on dostał się do Mary. Jego wzrok przesunął się po kaplicy. Potrzebowała jakiejś broni, czegokolwiek...

-Ona smakuje tak słodko. Tak czysto. Myślę, że będę musiał spróbować jej jeszcze raz...

Złapała jeden drewnianych krzyży, wiszących na ścianie.

-Trzymaj się od niej z daleka!

Jej palce zacisnęły się wokół krzyża, a ona zrobiła krok naprzód.

-Ona jest nad nami, prawda? Może pójdę na górę i znów się z nią zobaczę. Jak za dobrych, starych czasów.

-Powiedziała, trzymaj się od niej z daleka!

Savannah syknęła, wysilając się by wyciągnąć go z cienia.

-Zmuś mnie, zaprosił ją do działania czystym głosem.

Savannah rzuciła się na niego, trzymając krzyż przed sobą. W jednej sekundzie zniknął, a echo jego śmiechu rozchodziło się po kaplicy.

Rozdział 11

Gdy spojrzałem w jego oczy, ujrzałem samo zło.

-Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 13 Grudnia 1068.

Ostrzegła szpitalny personel. Powiedziała im, że życie Mary jest w niebezpieczeństwie, i że ona potrzebuje stałego nadzoru. Sprowadzili dwóch dodatkowych strażników i powiedzieli Savannah, że Mary jest bezpieczna.

Nie powiedział im, że mężczyzna, który ściga Mary nie jest dokładnie człowiekiem. Oni raczej by jej nie uwierzyli, gdyby im powiedziała, że wampir chce zabić jej przyjaciółkę. Więc skłamała. Powiedziała, że w szpitalu był eks - chłopak Mary i przyznał się, że to on ja zaatakował. Po tym wszystkim, było zdecydowanie łatwiej zapewnić Mary ochroną.

Gdy kolejny już raz upewniła się, że Mary jest bezpieczna, Savannah udała się na wyższe piętro szpitala. Nie myślała, że Geoffrey odszedł, że po prostu zrezygnował i postanowił odejść. Nie, ona wiedziała, że on gdzieś tam jest, czekając na nią. Czekając na nią.

Nie mogła go znaleźć. Zaglądała do każdej sali, do każdej szafy. Nienawidziła tej myśli, że on gdzieś tam jest i czeka na dogodny moment by zaatakować. By prawdopodobnie zabić Mary. Musiała go stąd wyciągnąć. Musiała go odciągnąć z dal od szpitala. Mary potrzebowała czasu by odzyskać siły. Ona nie przeżyje kolejnego jego ataku. Musiał go stąd wyprowadzić. Musiała ochronić Mary.

Otworzyła drzwi na klatkę schodową. Tylko dwie kondygnacje były między nią i parkingiem. Czerwone światła świeciły nad jej głową, rozjaśniając niewielki obszar. Pobiegnęła w dół schodami, chcąc uciec stąd, najszybciej jak tylko można. Z roztargnieniem przetarła swoje skronie. Ból głowy nasilał się od momentu, gdy przyjechała do szpitala. Miała nadzieję, że nie zostawiła swoich tabletek u Williama.

Zrobił jeszcze trzy kroki naprzód i nagle świat zawirował jej przed oczami. Złapała żelazną balustradę, trzymając się kurczowo. Zobaczyła krótki błysk, a następnie ciemność ją otoczyła. Zamknęła oczy i usłyszała bicie własnego serca. Znalazł ją? To on jej to robił? Policzyła do dziesięciu i otworzyła oczy. Ciemność zniknęła. Znowu

zobaczyła czerwony blask światła i betonowe schody. Zaczęła schodzić po schodach, nie odrywając ręki od barierki.

Nie wiedziała, co się właściwie stało, ale nie chciała teraz tego rozważać. Na szczęście, musi zejść jeszcze tylko jedną kondygnację, aby dostać się do garażu. Musi wsiąść do swojej terenówki i odjechać tak daleko i tak szybko jak tylko zdoła. Wiedziała, że on za nią podąży. I Mary będzie bezpieczna. Ostatnie stopnie doprowadzały do czerwonych drzwi. Śpiesząc się do garaż, popchnęła z całej siły drzwi.

Zobaczyła swój samochód zaparkowany po drugiej stronie, zaraz pod kamerą ochrony. Długie jarzeniówki migotały, tworząc cienie na chodniku. Nikogo więcej nie było w garażu. Nie było odwiedzających, ani nawet ochroniarzy. Musiała się spieszyć. Musiała stąd uciekać. Zanim on...

Jakiś mężczyzna stał przy jej samochodzie. Nie mogła zobaczyć jego twarzy. Tylko jego sylwetkę. I włosy. Długie włosy, ściągnięte do tyłu. Wyszedł do przodu, w stronę światła, a ona oszołomiona wstrzymała oddech.

Miał włosy Williama. Twarz Williama. Oczy Williama. Jego policzki. Jego zmysłowe usta. Ale nie mógł być Williamem przez jeden mały szczegół. Mężczyzna przed nią nie miał blizny Williama, przecinającej policzek.

To mój przyrodni brat. Wspomniane słowa Williama prześlizgnęły się przez jej umysł. Brat. Dwóch mężczyzn, którzy mogli uchodzić za bliźniaków. Uśmiechnął się do niej.

-Witaj Savannah. Wiedziałem, że przyjdiesz.
Przetarł lekko twarz.

-Czy drogi William nie powiedział ci o naszym podobieństwie?

Szedł ku niej jak myśliwy, którym był. W jej wizjach, jego twarz zawsze ukryta była przez ciemność. Nigdy nie wiedziała, nie przypuszczała, że on nosi twarz jej kochankiem.

-Mówiono mi, że jesteśmy bardzo podobni, mruknął.
Jego paznokcie wydłużyły się tworząc ostre szpony. Jego słowa raziły Savannah jak prądem.

-Nie ma w was nic podobnego. Jesteś mordercą, potworem! A William jest...

Jego twarz się napięła.

-Jaki jest?

Warknął. **Dobry**. Słowa przelatowały przez jej umysł. Przyzwoity. Silny. Zamiast tego powiedziała:

-Tak jakim ty nigdy nie będziesz. Nawet nie byłbyś w stanie tego zrozumieć.

Skoczył do przodu, miał wyciągnięte ramiona. Jego palce wyglądały jak noże. Savannah stanęła twardo na gruncie. Czekala na niego, czekała na idealny moment. Mogła zobaczyć jego długie, ostre zęby. Zobaczyć czerwień jego oczu. Zobaczyć jego wściekłość. Wsunęła rękę do swojej kieszeni. Jeszcze dłuższa chwilka... Teraz!

Wyciągnęła rękę na zewnątrz. Jej palce kurczowo trzymały małą buteleczkę z gazem. Rozpyliła gaz w jego oczy, czerwone, świecące oczy... Zawył z wściekłości i bólu. Stał i zaczął pocierać swoje piekące oczy. Nie zamierzała stać i czekać aż on się z tym upora. Pobiegnęła w stronę samochodu. Jeśli dostanie się do środka i zablokuje drzwi, może uda jej się wtedy uciec.

-Zapłacisz mi za to, warknął za nią.

Odrzuciła buteleczkę, grzebiąc palcami, rozpaczliwie szukając kluczy ukrytych wewnątrz torebki. Usłyszała jego kroki, uderzenia o beton, tuż za nią. Gdzie są te cholerne klucze? Zaciśnęła na nich palce. Wyciągnęła je i odrzuciła torebkę za siebie. Jeszcze tylko kilka metrów...

Złapał ją od tyłu, odwracając do siebie i przyciskając jej plecy do samochodu. Podniosła klucze do góry, chcąc oślepić jego już i tak poranione oczy. Nie pozwoli mu się wziąć bez walki! Uderzyła go z całej siły. Jego ręka unieruchomiła w silnym uścisku jej nadgarstek. Uderzyła go drugą ręką z kluczami. Nie trafiła w jego oko tylko o cal. Ale zostawiła krwawy ślad w dół jego lewego policzka.

-Ty suko!

Palce zamknięte wokół jej nadgarstka, łamiąc jej kości i ścięgna. Usłyszała ostre, przyprawiające o mdłości pęknięcie. Klucze wysunęły się z jej słabych palców i opadły na ziemię. Krew spływała mu w dół po policzku. Uniósł jej bezwładny nadgarstek nad jej głowę. Uderzał go wolną ręką w klatkę piersiową, w szyję. Zaśmiał się i pochylił głowę ku niej.

-Kocham dobra walkę, wyszeptał, przyciskając swoje usta do jej.

Mogła poczuć smak krwi. Jego, jej, nie wiedziała. Cofnęła swoją głowę do tyłu, czując zimny metal za sobą. Kopała go w kółko, wykorzystując swoje buty, by trafić w jego golenie. Wydawało się, że on nie czuł tych ciosów. Szarpnął ją do przodu i złapał jej wolną rękę. Wykręcił jej obie ręce za plecy i objął ją bez wysiłku w stalowym uścisku jedną ręką.

Zmusił ją by cofnęła się do ciemnego kąta garażu. Spięła się by walczyć z nim, z jego przerażającą siłą. Był niewzruszony. W kilka sekund, przycisnął ją do zimnej ściany garażu. Wcisnął nogę między jej, pozostawiając jej ciało otwarte, bezbronne. Nie mogła go kopnąć. Nie mogła go uderzyć, więc otworzyła usta i krzyczała tak głośno, jak tylko mogła. Zaciśnął rękę na jej ustach, wbijając jej wargi w jej zęby. Tym razem wiedział, że krew, którą poczuła była jej własną.

Patrzyła na niego, nienawidząc go. Był morderczym zwierzęciem, które zabiło jej brata. Zabiło Sharon. Zaatakowało Mary. Jej ciało zatrzęsło się z wściekłości. Uśmiechnął się.

-Czekałem tak długo na ciebie, szepnął, pochylając się do przodu, liżąc skórę jej szyi.

Próbowała się wyszarpnąć, ale po prostu uderzyła głową o ścianę. Roześmiał się na jej wysiłki, oczywiście rozkoszując się, że nie zaprzestała walki. Trącał nosem jej szyję, przygryzając ją lekko. Zaciągnął się głęboko, wciągając jej zapach. Odsunął się od niej, spojrzał błyszczącymi oczami.

-Mogę go wyczuć na tobie, burknął. Jego zapach jest na tobie całej.

Jego lewa ręka nadal była zaciśnięta na jej nadgarstkach. Podniósł prawą rękę i zaciśnął wokół jej szyi. Zaciśnął ciaśniej. Sapnęła, walcząc o powietrze.

-Kochanka mojego brata, mruknął, patrząc na nią z niesmakiem. Będę się rozkoszował, zabijając ciebie...

Pochyliła głowę do przodu, uderzając w jego podbródek. Zaklął, ale jego uścisk nie zelżał ani na chwilę. Łzy wypełniły jej oczy. W jej głowie pulsowało, łomotało. Ból wydobywający się z jej skroni, szybko ją oślepiał. Nie mogła oddychać. Piekło ją gardło. Bolały płuca. Zabijał ją.

William! Odbiło się echem w jej głowie. Miał rację. Nie była wystarczająco silne by powstrzymać Geoffrey'a. Nie była

wystarczająco silna, aby zabić potwora. A teraz, ona umrze. Chciałaby mieć szansę by pożegnać się z Williamem. William. Jej mroczny rycerz.

Głowa Geoffrey'a szarpnęła się do góry, a nozdrza zafalowały. Wypuścił ją i w kółko przeszukiwał ciemności garażu. Savannah upadła na podłogę i wylądowała na jakiś stertach. Sapnęła, rozpaczliwie próbując złapać oddech. Geoffrey wziął krok naprzód, pochylając się. Podciągnęła się na kolana, unosząc wysoko ręce.

Wiedziała, że jej nadgarstek został złamany, widziała kości ułożone pod dziwnym kątem. Przełknęła. To nie ma znaczenia. Ból nie ma znaczenia. Musi zablokować ten ból. Musi walczyć.

Geoffrey był z powrotem przy niej. Mogła by powiedzieć, że przeszukiwał garaż, korzystając ze swoich wyostrzonych zmysłów łowcy. Widać było, że czeka na kogoś. Na kolejną ofiarę. Nie mogła pozwolić mu tego zrobić. Nie mogła stać z boku, gdy on będzie mordował kolejną osobę. Rzuciła się na niego, uderzając w niego całym ciałem. Warknął i okręcił się dookoła. Zwyczajnym ruchem ręki, rzucił nią o ścianę. Osunęła się powoli na podłogę. Uderzając z dużą intensywnością o nią głową.

Zaczął kroczyć w jej kierunku. *William*. Jego imię było szeptem, który nie opuścił jej ust, krzykiem, który rozszedł się w jej umyśle. Geoffrey nachylił się i podciągnął ją na nogi. Zaplątał palce w jej włosy, szarpnął jej głowę do tyłu i odsłonił jej gardło.

-Boisz się śmierci?, spytał cicho.

Patrzyła mu w oczy i zobaczyła własną śmierć.

-Nie, szepnęła wiedząc, że jej czas nadszedł.

Nie bała się śmierci. Przez lata żyła z nadchodzącym jej widmem. Nie myślała o śmierci. I na pewno się jej nie bała. Ale była zła, gwałtownie i całkowicie wściekła, że jej brat nie zostanie pomszczony, i że William będzie zmuszony sam zabić swojego brata. Jej odpowiedź wydawała się zaskoczyć Geoffrey'a. Przełknęła, smakując śmierć.

-A ty?

Zwężił oczy ze złości. Otworzył swoje usta, odsłaniając jego długie, błyszczące kły. Zaczęły się zbliżać do jej gardła. Poczula jak zębami drapał po jej skórze. I w tej samej chwili, palący ból wydawało się wybuchnąć w jej umyśle. Płonęła, jej umysł wirował i

skręcał się w agonii. Kula światła błysnęła przed jej oczami. A potem widziała tylko ciemność.

Nie czuła jak jego zęby rozszarpują jej gardło. Nie czuła pulsowania swojego nadgarstka, ani bólu jej posiniaczonych i poobijanych kończyn. Cały ból zniknął, ginąc w otaczającej ją ciemności. Jej ciało stało się wiotkie i wisiało bezwładnie w ramionach Geoffrey'a. I czuła, że spadając w przepaść, usłyszała głos swojego brata. Słyszała jak Mark woła jej imię.

* * * *

-Savannah!

William wdarł się na parking w garażu, strach niemal go paraliżował. Z każdą sekundą, która minęła, czuł jak Savannah mu się wymyka. Czuł ją gdy docierała do Seattle. Czuł fale bólu i strachu, które ją ogarniały. Czuł zimny dotyk śmierci, który ją otaczał. Savannah nie miała wiele czasu. Jej ciało buntowało się przeciwko niej, nie chcąc kontynuować walki.

Kiedy biegł do garażu, mógł poczuć swojego brata. Czuł chorą wściekłość, która okrywała Geoffrey'a jak płaszcz. Ale tak jak światło nagle gaśnie tak on nie mógł wyczuć Savannah. Jej ciepła. Jej duszy. Nawet cienia bólu, który zdawał się tak ją przenikać. Po prostu nie mógł jej wyczuć. I to go przeraziło.

Zapach krwi drażnił jego nozdrza. Słaby zapach lawendy dręczył jego duszę. Zobaczył Geoffrey'a, jego ręce owinięte wokół Savannah, jego usta karmiące się z jej gardła. William warknął z wściekłości, rzucając się na brata. Geoffrey odskoczył, uchylając się od ciosu. Upuścił ciało Savannah na ziemię i skoczyła na Williama.

Spotkali się, czerwone oczy i ostre zęby, w plątaninie kończyn i nienawiści. Pazury Geoffrey'a orały skórę Williama, próbując rozerwać mu klatkę piersiową i pozostawiając krwawe, otwarte rany. William wydłużył swoje paznokcie do szponów i wpił się nimi w ramię Geoffrey'a. Krew spłynęła w dół ramienia, aż do jego dłoni.

-Witaj bracie.

Geoffrey szepnął.

-To było tak dawno.

Wyrwał ramię ze jego szponów, mając na celu zaatakowanie gardła Williama. William schwycił jego ręce w stalowym uścisku. Zacisnął zęby i zmusił brata do cofnięcia jego pazurów.

Kątem oka widział Savannah. Nie ruszała się. Jej ciało leżało spokojnie, blade w kałuży krwi.

-Coś ty zrobił?

Warknął, wyrzucając Geoffrey'a w powietrze, aż nad dach samochodu. **Coś ty zrobił?** Geoffrey wskoczył na samochodu, łatwo lądując na własnych nogi. Obliznął językiem usta, zbierając z nich nadal obecną tam krew.

-Zakosztowałem twojej kochanki, powiedział, wykrzywiając usta w grzesznym uśmiechu.

Bestia w Williamie krzyczała, wyła z wściekłości. Zaatakował go. Rzucił się na Geoffrey'a, okładając go nieustannie pięściami. Wydłużył swoje szpony, pozostawiając głębokie cięcia na całym ciele brata. Głowie. Jego klatce piersiowej. Geoffrey zamachnął się nogą, kopiąc Williama w żołądek. Cios posłał Williama na beton. Zerwał się natychmiast i rzucił się na swego brata. Jego wzrok się zwiężył. Jedyne co widział to Geoffrey.

Miał zamiar zabić brata. Teraz. Savannah jęknęła, dźwięk był cichy, prawie szept. William zamarł. Geoffrey znów rzucił się na brata, posyłając ich obu na ziemię. Geoffrey podniósł rękę i William zdał sobie sprawę, że jego brat trzyma drewniany kołek, celując nim w jego serce zaledwie o dwa cale. Uśmiech Geoffrey'a się poszerzył.

-Boisz się śmierci bracie?

Ręka Williama wystrzeliła, szybciej niż atakujący wąż i wybił kołek z ręki brata. Kopnął Geoffrey'a, posyłając go z dala od siebie, z powrotem na ziemię. Geoffrey oparł się o samochód, robiąc w nim wgniecenie. William zerwał się na nogi i zacisnął pięści. Szedł na Geoffrey'a, mroząc brata spojrzeniem, gdy ten zaczął się podnosić. Oddech Geoffrey'a był twardy i szybki. Jego twarz była napięta, od ciągnącej się walki i dużej utraty krwi. Jego wzrok przesunął się gorączkowo wokół garażu. A potem uśmiechnął się, jego anielskim uśmiechem.

-Słyszysz to bracie? Słyszysz ten dźwięk?

William zamarł, zdał sobie sprawę z lekkiego, powolnego bicia. Geoffrey oblizał wargi.

-To jej serce. Z trudem bije. Słyszysz to?

Słyszał to. Biło powoli. Zbyt wolno.

-Nie przeżyje. Twoja kochanka umiera.

Geoffrey uciskał swoje ramię, starając się zatamować jakiś krwawienie. William spojrzał na Geoffrey'a a potem na Savannah. Słyszał jak jej serce rozpaczliwie pracuje.

-Więc jak będzie bracie?, pytał Geoffrey. Jej życie...czy moje? William obrócił się do Savannah i Geoffrey zaatakował. Uderzył Williama od tyłu. Kołek wypadł z jego dłoni i potoczył się po podłodze. William cofnął się i potężnym ciosem odepchnął Geoffrey'a.

Napiął się, starając się usłyszeć bicie serca Savannah. Prawie upadł na kolana, gdy zdał sobie z czegoś sprawę. Nie słyszał już bicia serca.

-Savannah!

Podbiegł do niej, wsuwając ręce pod jej ciało i przytulając ją do siebie. Jej głowa opadła, jak złamany kwiat.

-Za późno, warknął Geoffrey, klękając na kolana. Ona nie żyje. Geoffrey uśmiechnął się.

-Ale nie martw się bracie. Myślę, że dołączysz do niej...wkrótce.

Jego brat wstał o własnych nogach i uciekł w kierunku drzwi, pozostawiając po sobie ślady krwi. William patrzył za bratem z bezsilną wściekłością, sylwetka brata poruszała się, stając się mgłą, aż w końcu znikła. William odwrócił się do Savannah i ogarnęła go rozpacz.

Nie może być za późno. Nie mógł, nie chciał jej stracić. Tulił ją w ramionach, mocno przyciskając do swojej klatki piersiowej. Odsunął jej głowę do tyłu, odsłaniając jej posiniaczone i zakrwawione gardło. Trzęsącą się ręką dotknął delikatnie ran. Rany były głębokie, zbyt głębokie.

-Savannah, jego głos był szeptem. Savannah wróć do mnie. Otwórz oczy i wróć do mnie!

Nie poruszyła się. Kołysał ją do tyłu i do przodu, jak by była dzieckiem.

-Otwórz oczy Savannah. Otwórz oczy!

Rozkazywał, prosił. Bez rezultatu. Ogarnął go strach. To było zbyt podobne do ostatniego razu. Zbyt podobne do Henry'ego. Miał uleczyć brata, modląc się by żył i patrząc jak umiera. Uwolnił swój umysł, by odszukał jej. Mógł znaleźć jej duszę i zmusić ją by do niego wróciła.

Złapał słaby błysk jej ciepło, podążył za nim, jak myśliwy, którym kiedyś był. Ból uderzył w jego głowę. Głęboki. Zaogniony. Wszechogarniający. To był jej ból. Jej agonía. Wiedział, że jej śmierć to kwestia kilku chwil. Starał się ją pocieszyć, dać jej siłę, ale nie mógł powstrzymać bólu. Nie mógł powstrzymać krwawienia.

Jego wnętrzości skrzyły się. Jej koniec był bliski. Śmierć wyciągał swoje głodne ręce, żądając jej.

-Nie, krzyknął William. Nie pozwolę ci odejść! Nie możesz mnie opuścić!

Nie znowu. Nie mógł znowu siedzieć i patrzeć jak śmierć odbiera mu kogoś kto należy do niego.

Wstał, trzymając ją łatwo w ramionach i pobiegł do wyjścia. Z dała od betonowych ścian, mógł widzieć noc. Widział słabe światło gwiazd. Zamglony księżyc. Jeszcze tylko kilka kroków. Wystrzelił w noc, jego ciało wbiło się w niebo.

Savannah była przy nim, zamknięta w jego silnych ramionach. Czas uciekał. Musiał znaleźć dla niej bezpieczne miejsce. Musiał mieć pewność, że będzie bezpiecznie, tak aby rytuał mógł się rozpocząć. Przeszukiwał teren.

-Trzymaj się, szepnął do jej nieruchomej postaci. Po prostu wytrzymaj!

Tam! Obniżył lot, lądując na niezamieszkanym dachu. Tu będą bezpieczni. Bezpieczni przed ciekawskimi oczami i jego bratem. Opuścił ją delikatnie na dach. Pogładził ją delikatnie po czole, odsuwając poplątane kosmyki włosów. Jej skóra była blada, zbyt blada. Nie będzie żyła zbyt długo.

-Savannah, jej imię brzmiało jak modlitwa. Słodka Savannah.

Spuścił głowę do jej gardła, wciąż wsłuchując się uważnie w lekkie bicie jej serca. Kiedy ostatnio słyszał jego bicie? Sekundy? Minuty? Wtedy usłyszał cichy dźwięk. Jej serce! Zawahał się. Czy jest wystarczająco silna? Czy będzie w stanie przetrwać pocałunek?

-William.

Obiał wzrokiem jej twarz. Jej oczy były nadal zamknięte. Policzki zapadnięte. Czy ona coś powiedziała? Czy tylko jego umysł gorączkowo wyobraził sobie jej głos? Dotknął delikatnie jej ust i zobaczył jak jej posiniaczone gardło drży, gdy próbowała z trudem przełknąć i mówić.

-Pocałuj mnie Williamie, prosiła. Pocałuj mnie.

Przytknął swoje usta do jej. Delikatnie jak wiatr, miękko jak noc, pieścił, czcił jej usta. Tchnął oddechem w jej usta, próbując dać jej siłę, jego energię, jego duszę. Jej serce zatrzymało się, gdy wydała ostatnie westchnienie.

-Nie!

Ona nie mogła go opuścić. Nie pozwoli na to! Mają umowę. Obiecała mu wieczność. Nie mogła mu jej odebrać śmierć. Zatopił zęby w jej gardło. Jej słodka krew ślizgała się po jego języku, gorąca, czysta. To uczyniło go żarłocznym. Chciał pić, wypić z niej wszystko. Ale poczuł jak mu się wymyka. Jej dusza ją opuszczała. Ona opuszczała jego. Odsunął się, jej krew spływała po jego podbródku.

Zębami rozgryzł długą ścieżkę wzdłuż nadgarstka, uniósł go nad jej ustami, przesuwając ją tak, by zmusić ją do przełknięcia życiodajnego płynu. Musiała wziąć jego krew. Musiała napić się z niego, inaczej rytuał się nie powiedzie. Nacisnął na jej klatkę piersiową, na jej serce. Raz, drugi. Zmuszał jej serce by pracowało. By zaczęło bić. Tylko raz. Na tyle by wypić. By dokonała się przemiana.

Wysłał wszystkie swoje moce do niej, generując swój psychiczny dar do granic możliwości. I jej serce zaczęło bić. Jej oczy nagle się otworzyły, ślepe i przestraszone. Podniósł rękę, zmuszając ją do wypicia jego krwi. Jej usta poruszały się, lekko jak motyl na jego skórze. Jeszcze tylko trochę, więcej...

Osunęła się i zapadła w jego ramion. Spojrzał na nią, przeszył go strach. Czy to wystarczy? Czy wzięła tyle by dokończyć rytuał? Nie słyszał jej serca. Nie oddychała. Mówił szybko, recytując słowa, których nie wypowiedział od ponad dziewięćuset lat.

-Daję ci moja krew, moje życie. Weź to stając się jedną. Jedną z wybranych. Bądź nocą. Bądź mną.

Pochylił się do przodu, szepcząc jeszcze przy jej ustach.
-Bądź ze mną, na zawsze, tak jak ja daję ci pocałunek.

Przycisnął usta do jej ust, smakując krew, smakując strach. Usłyszał w oddali echo grzmotu i wycie wiatru. Mógł poczuć zapach burzy, poczuć jak zbliża się do nich, jak ich otacza. Nie poruszył się. Siedział po prostu, trzymając jej zimne, nieruchome ciało przy sobie. Czy czekał zbyt długo? Czy dusza już ją opuściła? Tak jak opuściła Henry'ego? Czy spóźnił się, znowu?

Minuty upływały w milczeniu. Savannah nadal, przerażająco nieruchomo leżała w jego ramionach. Zacisnął ręce wokół niej. **Za późno. Spóźnił się, znowu.** Deszcz spłynął z nieba. Strumień spadał, zalewając go, obmywając krew z jej ciała i z niego.

Wybacz mi. Słowa wykrzywane wewnątrz jego umysłu. Zawiódł ją. Tak jak zawiódł Henry'ego. Znow ją pocałował. Całował jej wilgotne, nieruchome usta. Paliło go w piersi.

-Niech cię cholera, szepnął, patrząc w dół na jej bladą twarz. Obiecałaś, że ze mną zostaniesz.

Jego ręka gładziła jej policzek. Nie mógł uwierzyć, że ona odeszła. Nie Savannah. Była zbyt silna. Zbyt dobra. Mógł zbić Geoffrey'a. Mógł patrzeć na śmierć brata przed kolejnym wschodem słońca. Mógł... Zatrzepotała rzęsami. Jej usta rozchyliły się i słabe westchnienie wydobyło się z nich.

-Savannah!

Przygarnął ją do siebie, tuląc do swojego ciała, chroniąc przed ulewnym deszczem. Uniosła powieki. Jej oczy, tak czyste, tak zielone, spojrzały na niego. Uśmiechnęła się wyczerpana.

-Witaj Williamie.

Rozdział 12

Życie nie kończy się wraz ze śmiercią.

-Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 16 Grudnia 1068.

Słyszała dźwięk wietrznych dzwonek, lekka, kojąca muzyka płynęła do niej. Leżała nieruchomo, po prostu słuchając delikatnych dźwięków. Dzwonki przypomniały jej o domu, o jej mieszkaniu. Miała wietrzne dzwonki na swoim balkonie i one budziły ją codziennie, przesyłając jej kojące pozdrowienia. Ale nie była teraz w domu. Nie mogła być. I bała się.

Bała się, gdy otwierała oczy. Bała się tego co może zobaczyć. Jej ostatnie wspomnienia dotyczyły Williama. Deszcz lał się z góry na niego, a on był przemoczony do szpiku kości. Krew mieszała się z wodą i spływała po jego twarzy strużkami. Jego oczy były czerwone, bardziej czerwone od ognia piekielnego. Wyglądał na wściekłego i przerażonego. Wiedziała, że był wściekły na swojego brata. Ale dlaczego był przerażony? Zobaczyła go tylko przez chwilę, a potem spadła do ciemnego świata, który czekał na nią. Jaki świat dziś zobaczy?

Wzięła głęboki wdech i otworzyła oczy. Zobaczyła ścianę swojej sypialni. Ujrzała własne malowidła ściennie, przenikające się fale oceanu i odległe latarnie morskie. Widziała swoje regały z książkami, swój komputer. Jej meble i małą toaletkę. Usiadła szybko, wpatrując się w pokój dziecinny. Jak ona tu dotarła....

Drzwi jej sypialni otworzyły się i William wszedł do środka. Zastygł, gdy uświadomił sobie, że ona już nie śpi. Nagłe zdenerwowanie ogarnęło ją, Savannah przesunęła po włosach ręką. Ręką. Znieruchomiała i patrzyła na swój nadgarstek z zaskoczeniem. Geoffrey go złamał. Słyszała łamanie się kości. Obróciła nadgarstkiem, czekając na ból. Nie pojawił się.

-Kości się zrosły, powiedział William, pochodząc i siadając na brzegu łóżka.

-Jak to możliwe?

Savannah dotknęła swojego gardła, spodziewając się poczuć rozszarpaną skórę. Czowała tylko gładkie, prawie niemowłące ciało.

William po prostu ją obserwował. Słyszała zewsząd głosy. Młoda para na dole klóciła się. Żona była zła, ponieważ jej mąż zapomniał kupić mleka w sklepie spożywczym. Słyszała płacz dziecka, gdzieś na parterze. Mogła usłyszeć telewizor. Telefon. Kroki. Bicie serca. Jej oczy rozszerzyły się, gdy przyszło zrozumienie.

Nie martw się. Głos Williama płynął do jej umysłu. Jego usta nie poruszały się. ***Nauczę cię jak blokować nadmiar dźwięków. To wszystko jest kwestią koncentracji. Skup swoją energię, koncentrując się na mnie.***

Wzdrygnęła się na ten psychiczny dotyk. Wzięła głęboki oddech i spróbowała skoncentrować swoją uwagę tylko na nim. Hałas złożony z tych wszystkich głosów nagle ucichł.

-T...ty dałeś mi pocałunek, prawda?

Musiała to od niego usłyszeć.

-Tak, Savannah, zrobiłem to.

I wtedy zdała sobie sprawę, że nie odczuwa bólu głowy. Po raz pierwszy w ciągu sześciu lat, obudziła się bez pulsowania w skroniach.

-A mój guz?

Uśmiechnął się.

-Nie musisz się więcej o to martwić.

Nie martwić się o to? Jak będzie wyglądać to życie, każdego dnia bez groźby śmierci, która wisiałaby nad jej głową? Wstała powoli z łóżka i była bardzo zaskoczona, że ma na sobie jasnoniebieską koszulę nocną. Poznała ją, był to prezent od Sharon na ostatnie święta Bożego Narodzenia. William musiał ją przebrać. Musiał przynieść ją do domu i przygotować do spania. Szła powoli w kierunku zamkniętych drzwi balkonowych. Jedną ręką dotknęła ciężką zasłonę.

-Czy zapadła noc?

Patrzył na nią z daleka.

-Tak.

Odsunęła zasłony, wpatrując się w ciemność.

-On tam jest prawda?

Nie odpowiedział. Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Nocne powietrze otarło jej skóry, kojąc ją. Spojrzała na dół. Widział

samochody poruszające się po jezdni, ludzi spacerujących po chodniku. Widziała młodą parę, trzymającą się za ręce i całującą się delikatnie w blasku świateł ulicznych. Mogła zobaczyć każdy szczegół ich twarzy. A oni byli dwa bloki dalej.

-Czy on poluje?

Zapytała, nadal spoglądając na całującą się parę.

-Nie.

Odwróciła się do niego, zaskoczona odpowiedzią.

-Zszedł pod ziemię. Jego obrażenia były poważne. Może potrzebować czasu na odzyskanie sił.

Udał się pod ziemię. Zimno spłynęło po jej kręgosłupie. Nie była pewna, czy chce wiedzieć, co William przez to rozumie.

-Ja byłam...poważnie ranna, powiedział, przypominając sobie ognisty ból, który wypełniał jej mózg. Dlaczego ja nie potrzebuję więcej czasu aby...się uleczyć?

Wstał i podszedł do niej. Jego krok był powolny, celowy jak u myśliwego, który już wytopił swoją zdobycz. Cofnęła się, jej nogi uderzyły w drewnianą balustradę balkonu. Jego ciało zatrzymało się kilka centymetrów od niej.

-Dałem ci moją krew. Starożytną krew. I wtedy przeszłaś przemianę.

Zmarszczyła brwi.

-I ona mnie uleczyła?

-Wszystkie wampiry leczą się szybko, powiedział.

-To jedna z naszych zdolności. W twoim przypadku, przemiana uleczyła twoje ciało. W pewnym sensie, można powiedzieć, że się odrodziłaś. Narodziłaś ponownie.

Przełknęła.

-I...jak wiele czasu potrzebuje Geoffrey na uleczenie siebie?

Jego spojrzenie było skierowane na nią.

-Nie wiem. Dwa dni. Tydzień.

Wzruszył ramionami.

-Będzie potrzebował snu przez co najmniej 48 godzin. Potem...
Zacznie znowu polować.

Jej serce zaczęło galopować.

-Mógł pójść do Mary!

Dotknął ją delikatnie, głaszcząc jej policzek.

-Twoja przyjaciółka jest bezpieczna. Upewniłem się, że będzie dobrze strzeżona, zanim to się skończy.

Ulga przetoczyła się przez nią. Tak się bała o Mary. Jeśli coś by się stało z jej ukochanej przyjaciółce, to byłoby wszystko jej winą. William zaczął powoli się jej przyglądać. Usta zwinęły się w cienką linię.

-Co się stało?, natychmiast zapytała Savannah, wyczuwając w nim silne wzburzenie.

Cofnął się, przesuwając się w cień.

-Prawie cię straciłem, powiedział głębokim, spokojnym głosem.

Pamiętała paralizujący chłód, który przetoczyły się przez jej ciało. Pamiętała ogarniającą ją ciemność i błysk jasnego światła. I pamiętał głos jej brata.

-Myśle, że tak było, szepnęła. Na chwilę.

Podeszła do niego, w cień.

-Ale potem sprowadziłeś mnie z powrotem.

Jego ramiona owinięły się wokół niej.

-Nie mogłem pozwolić byś mnie zostawiła.

Czuł się tak dobrze, trzymając ją. Tak silny. Tak pewny. Jej ręce oparły się na jego biodrach.

-Nie chciałam cię opuścić.

Opuścił głowę i pocałował ją. Jego usta były delikatne, lekkie niczym piórko, jakby obawiał się, że ją zrani. Cofnął się, patrząc na nią.

-Nie mogę ryzykować, że cię stracę.

Słyszała bólu, cierpienie, w jego głos. Zmarszczyła brwi.

-Nie stracisz mnie. Zawarliśmy umowę, pamiętasz? Na zawsze.

Wzmocnił uścisk wokół niej. **Tak. Na zawsze.**

Staneła na palcach i przycisnęła swoje usta do jego. Jej język przesunął się po jego pełnej, dolnej wardze, drażniąc go. Chciała doprowadzić go na samą krawędź, zmusić go by stracił swoją kontrolę. Chciała przegnać ogromny lęk z jego umysłu, udowodnić mu, że ona nie zmienia zdania. Że jest silna. I idealnie do niego pasuje.

Byli na jej balkonie. Każdy mógł ich zobaczyć. Ale jej to nie obchodziło. Mogła czuć przy sobie jego twarde ciało.

-Czy ty wiesz co robisz?, zapytał przez zaciśnięte zęby, a jego oczy rozbliły się.

Uśmiechnęła się.

-Tak.

Otarła się piersiami o niego, pozwalając by delikatny jedwab jej nocnej koszuli, ślizgać się po jego klatce piersiowej. Jej płece lekko i zręcznie zaczęły rozpinać jego koszulę. Chciała poczuć jego skórę przy sobie. Ogarnęło ją pożądanie. Jej ciało ożyło. Mogła poczuć jak krew przepływa przez jej żyły. Siła. Moc. Pasja.

Z ciągnęła koszulę w dół jego ramion i rzucił niedbale na bok. Przesuwała paznokciami w dół jego torsu, ocierając delikatnie skórę. Usłyszała jak gwałtownie wciągnął oddech. Pochyliła się, obniżając głowę. Jej język zaczął lizać jego sutek, a ręka zsunęła się na przód jego spodni. Chciała go. Tutaj. Teraz. W otaczającej ich nocy i świecącymi nad nimi gwiazdami.

Chciała czuć pożądanie Williama, jego pasję. Chciała czuć. Wiedzieć, że nadal żyje. Wiedzieć, że śmierć nie wygrała. Zaczęła rozpinać jego rozporek. Szybko unieruchomił ręką jej nadgarstek. Spojrzała w górę i zobaczyła drgające mięśnie wzdłuż linii jego szczęki.

-Moja kontrola jest na wyczerpaniu, powiedział gardłowym głosem.

Jego oczy płonęły czerwienią. Uśmiechnęła się.

-To dobrze.

Była odurzona władzą. Mogła mu to zrobić. Mogła zepchnąć go na samą krawędź i...poza nią. Rozpięła zamek spodni do końca, wsunęła rękę do środka i dotknęła jego podniecenie. Chwyciła go w rękę, gładząc delikatnie. Jęknął.

W czasie gdy jej ręka pieściła jego sztywną długość, ona całowała go, pozwalając by jej język przesunął się po jego ustach, by potem wślizgał się do ich ciepłego wnętrza. Kochała jego smak. Jęknęła, nisko, gardłowo.

Jego ręce zacisnęły się na jej ramionach, a jego palce wbijały się w jej skórę. Jego język naparł na jej. Gorący. Wilgotny. Oderwała usta od niego i zaczęła lizać jego szyję. Mogła czuć jak jego puls, tętnił i uderzał pod jej ustami. Ssała jego skórę, wciągając ją lekko w usta i delikatnie przygryzając. Cało Williama zadrzało.

-Musimy wejść do środka, mruknął. Teraz.

Przygryzła jego szyję mocnej. Jego puls przyśpieszył. Zaklął i uniósł ją w ramionach, otworzył drzwi ramieniem i wszedł do sypialni. Wziął dwa długie kroki i opuścił ją na łóżku. Patrzył na nią, a rysy jego twarzy wyostrzyły się. Uniosła ręce w cichym zaproszeniu. Jego kontrola pękła. Opadła na nią, rozrywając jej nocną koszulę i zostawiając ją w strzępach jedwabiu.

Jego gorące usta zaatakowały jej piersi, liżąc je i ssąc. Wsunęła ręce w jego włosy, uniosła biodra napierając na niego. Mogła poczuć jak naciskał na nią, pocierając przez kruchą barierę jej majteczek. Jego usta nadal karmiły się jej ciałem, podczas gdy jego palce drażniły drugą jej pierś, szczypiąc lekko jej sutek.

Ogarnęła ją żądza. To było zbyt wiele. I jednocześnie niewystarczające. Popchnęła jego ramiona, zmuszając go by położył się na plecach. Usiadła na nim okrakiem, patrząc na niego, a jej piersi wznosiły się i opadały gwałtownie. Jej majteczki nadal stanowiły przeszkodę. Przeszła ją frustracja. Potem po raz kolejny usłyszała dźwięk drącego się jedwabiu.

William uśmiechnął się do niej. Mogła go poczuć, poczuć główkę jego penisa, napierająca na nią, drażniącą jej wejście. To nadal nie wystarczało. Naparła na niego biodrami, wchłaniając jego sztywną długość wewnątrz swego głodnego ciała. Przyciągnął ją do siebie i wykonał głębokie pchnięcie. Oboje jęknęli. A potem zaczęli poruszać się. Szybciej. Mocniej. Jej biodra unosiły się, opadały, podnosiły.

Rytm był dziki, szalony. Uderzył w nią pierwszy punkt kulminacyjny i poczuła jak wstrząsa nią przyjemność. Palce Williama wbiły się w jej biodra, zmuszając jej ciało do kontynuowania tego tempa. Drugi szczyt zaczął się kumulować. Szybciej, mocniej niż za pierwszym razem. Opuściła głowę i zaczęła lizać jego gardło. Jej zęby zaczęły płonąć. Biodra rozpaczliwie napierały na niego. Otworzyła usta i zębami ocierała się o jego szyję. Wsunął się głębiej w jej ciało.

-Zrób to, warknął. Zrób to Savannah!

Była jakaś mroczna potrzeba w jego głosie, którą nie w pełni rozumiała. Jeszcze raz zaatakował jej ciało. Orgazm przetaczał się przez nią, ogarniając ją spiralą. Zatopiła zęby w jego gardle. Krzyk jego spełnienia wypełnił pokój i oddalił się w noc.

* * * *

Wiedział, że kobieta przeżyła. Wiedział, że William ja przemienił. Mógł to wyczuć. Ale to nie ma żadnego znaczenia. I tak ją zabije. Wypije całą krew z jej ciała i pozostawi jej martwe ciało, by jego brat mógł je znaleźć. Ciało Geoffrey'a leżało zupełnie nieruchomo, ukryte głęboko w ziemi.

Czuł jak jego siły zaczynają wracać. Wkrótce będzie mógł powstać. I niszczyć. Najpierw zabije kobietę. Zawsze rozkoszował się w zabijaniu kobiet. Ich strach był tak cudownie smaczny. Może powinien zmusić Williama by patrzył, jak on będzie odbierał życie jego kochance. Tak, zmusi Williama, żeby patrzył. A potem zabije Williama. Tak jak powinien to zrobić dawno temu.

Próbował już zabić brata znacznie wcześniej. Gdy byli tylko chłopcami, to on pchnął Williama do ciemnej rzeki, płynącej na ziemiach należących do jego ojca. Patrzył z brzegu, jak William walczył o przetrwanie, z trudem utrzymując się na powierzchni. I gdy William wołał o pomoc, Geoffrey tylko się uśmiechał. Niestety, krzyk Williama zwróciły uwagę znajdującego się w pobliżu rycerza. I jego brat został wyciągnięty z wody, nieprzytomny, ale żywy.

Później, gdy trenowali z bronią, ucząc się walczyć z ludźmi Guy'a, zaatakował brata ponownie. William zaskoczony, nie miał czasu, aby uchronić się przed śmiertelnym ostrzem, które cięło w jego twarz. Był oszpecony blizną od tego czasu, od tego wspaniałego dnia. Podczas konfrontacji z rycerzami, Geoffrey twierdził, że miecz mu się wyslizgnął. Był pewien, że William nie uwierzył w to żalosne kłamstwo. Rycerze uwierzyli i pozwolili mu dalej trenować. Ale William zaczął mu się przyglądać dokładniej od tamtego dnia. Stał się ostrożny.

Geoffrey był prawie szczęśliwy, że nie udało mu się go zabić wcześniej. Chciał, żeby William wiedział, że śmierć po niego idzie. Z trzech braci, William był jedynym, który naprawdę był uznawany. Guy zawsze mówił Geoffrey'owi, że William jest jego prawdziwym synem, jedynym „prawdziwym de Montfort.” Geoffrey nienawidził Williama. On nie zasługiwał na to miano. Nie miał żądzy władzy Guy'a. Nie miał żądzy de Montfortów do zabijania. Ale Geoffrey miał. Guy nigdy go nie doceniał, w końcu, to on musiał zginąć. Geoffrey udowodnił temu draniowi, że jest prawdziwym de Montfort. Zabił Guy'a i rozkoszował się tym momentem.

Pokryty krwią Guy'a poszedł do jasnowidza, który wysłał William na poszukiwania i zmusił go by wyjawiał, gdzie znajduje się wampir. Musiał ciąć go kilka razy, zanim w końcu stary głupiec gał mu wskazówki, których potrzebował. Odnalazł wampira i został przemieniony. Oczywiście, zaraz po przemianie Geoffrey zabił wampira. Mógł nadal przypomnieć sobie i poczuć szczyt władzy, siły, którą dała mu ta chwila.

On zabił setki w jego życia. Setki. Ale nigdy nie był w stanie zabić William. Kobieta jest kluczem. Kiedy będzie ją miał, jego brat zrobi wszystko czego zechce. Słabość Williama do tej kobiety będzie jego upadkiem. I w końcu, Geoffrey zabije ich oboje. Nie mógł się doczekać. Musi się upewnić, że jego brat będzie cierpiał, że będzie błagać o śmierć.

* * * *

Savannah odskoczyła do tyłu, patrząc z przerażeniem na Williama. Dotknęła swoich ust, czując mokre krople krwi, rozkosznej miedzianej słodyczy. Były dwie małe rany klute na jego gardle. Odsunęła się od niego, zeskakując z łóżka. Co ona zrobiła? Co ona zrobiła?

-Savannah...

Zignorował krzyki Williama i uciekła do łazienki zatrzaskując i zablokowując drzwi za sobą. Odwróciła się i oparła o nie. Wzięła jego krew. W rzeczywistości piła z niego.

William uderzył pięścią w drzwi.

-Savannah! Cholera, Savannah otwórz te drzwi!

Szła powoli w kierunku zlewu. Jej ręce zacisnęły się na umywalce, a ona zmusiła się by podnieść głowę i spojrzeć w lustro. Spodziewała się, że zobaczy potwora. Ale zobaczyła po prostu...

Jej oczy. Jej zielone oczy. Jej bladą skórę. Nosa, o którym zawsze myślała, że jest za mały. Usta, które wydawały się jej za duże. Wyglądała tak samo jak zawsze. Ale nadal czuła smak krwi Williama. Odkręciła wodę, łapiąc ją w ręce. Musiała zmyć ten smak. Musiała! Popijała wodę, płuczac usta i wypluwając ją w kółko do zlewu. Ale miedziany smak pozostawał.

-Wchodzę!

Rozległo się głośnie trzaśnięcie i w tej samej chwili blokada ustąpiła i drzwi do łazienki powoli otworzyły się.

William stał nagi na progu, jego oczy płonęły.

-Co się do cholery stało?

Jej wzrok spoczął na jego szyi, na znakach, które zostawiła na nim.

-Przykro mi. Tak bardzo mi przykro...

Jego oczy się zwięziły. Zrobił krok w jej kierunku, ale zamarł, kiedy zauważył, że przytrzymuje się plecami zlewu.

-Nie masz żadnego powodu by było ci przykro. Nie zrobiłaś niczego złego.

Potrząsnęła głową.

-Ugryzła cię. Wzięłam twoją krew!

I podobało się jej to. Rozkoszowała się szczytem mocy, którą dała jej jego krew. I ta wiedza zawstydziała ją.

-Dałem ci ją dobrowolnie, powiedział.

Jej usta drżały.

-Nie mogłam przestać, szepnęła z rozpaczą. Nie chciałam tego robić, ale nie mogłam się powstrzymać. Musiałam pić. Musiałam!

Zamrugła oczami, starając się powstrzymać łzy. William podszedł powoli do niej. Owinał ręce wokół niej i przyciągnął jej ciało do siebie, przytulając.

-Słodka Savannah. Powinienem był ci powiedzieć...

Zesztywniała.

-Powiedzieć mi co?

Gładził jej plecy, delikatnie, kojąco.

-Dla wampira, fizyczne pożądanie jest związane z głodem krwi. To może spowodować, że utracisz kontrolę, aż do chwili gdy pożądanie będzie zaspokojone, a w raz z nim potrzeba krwi.

Odsunęła się i spojrzała na Williama.

-Nie chciałam cię skrzywdzić.

-Nie skrzywdziłaś mnie, zapewnił ją, nagłym głosem. Dałaś mi przyjemność, więcej przyjemności niż mogłem sobie kiedykolwiek wyobrazić.

A potem przypomniała sobie uczucie jego ust na jej szyi, ekstazę, która ogarniała ją, gdy William pił z niej.

-Pamiętasz teraz, prawda?, zapytał, a jego wzrok był wyczekujący. Krew łączy nas, pozwala nam dzielić się przyjemnością.

Zmarszczyła brwi.

-Będzie tak samo, gdy będę pożywiać się od kogoś innego?

William spał się.

-Nie. Możesz stracić kontrolę tylko wtedy, gdy twoje fizyczne pożądanie i głód krwi połączą się w jedno. A ponieważ nie będziesz z nikim innym oprócz mnie...

Jego wypowiedz urwała się, ale Savannah wiedział co miał na myśli. Obiecała mu, że będzie z nim na zawsze. Spodziewał się, że będzie wobec niego lojalna, że będzie pożądać tylko jego.

-I nie chcesz być z nikim innym, prawda Savannah?

Jego oczy rozbłysły czerwienią.

-Nie, tylko z tobą, odpowiedziała mu cicho.

I to było prawdą. Nie mogła sobie wyobrazić, by pragnąc kogoś innego. Był tylko William. Był jedynym, którego pożądała, którego pragnęła. Czowała jak napięcie opuszczające jego ciało.

-A co z tobą?, zapytała nagle zdenerwowana. Nie będziesz z nikim innym, prawda?

Powtórzyła, wstrzymując oddech i czekając na jego odpowiedź. Dotknął jej policzka.

-Czy naprawdę musisz o to pytać?

Uśmiechnął się.

- Jesteś jedyną dla mnie, Savannah. Teraz i na wieki.

Wypełniło ją ciepło, rozganiając zimno z jej ciała. Złapał ją za rękę i poprowadził z powrotem do sypialni.

-Musimy się ubrać. Jest wiele rzeczy, które musimy zrobić dziś wieczorem.

Zmarszczyła brwi, podchodząc do szafy. Było jakieś dziwne zaniepokojenie w jego głosie. Nałożyła na siebie niebieski sweter i wciągnęła na siebie starą parę dżinsów. Gdy znalazła swoje buty i wróciła do pokoju, on już był kompletnie ubrany.

Wyszli z jej mieszkania i ruszyli przez pusty korytarz. Nacisnęła przycisk windy, czekając nerwowo, aż winda dojedzie na jej piętro. Miękki dźwięk, drzwi windy otworzyły się i oni weszli do środka. Savannah podniosła rękę, chcąc wcisnąć przycisk na parter.

-Nie.

Palce Williama owinęły się wokół jej nadgarstka.

-Jedziemy na dach.

Savannah zdziwiła się, ale posłusznie nacisnęła przycisk na najwyższe piętro. Jedyne co wiedziała, to to, że będą musieli skorzystać ze schodów by dostać się na dach. Stała na przeciwko podwójnych drzwi windy.

Patrzyła na niego w milczeniu. Był ubrany na czarno, znowu. Czarna koszula i czarne spodnie. Nawet czarne buty. Pomyślała, że on nie ma ubrań w innych kolorach. Ale to nie miało znaczenia. Wyglądał dobrze w czarnym. Z jego ciemnymi włosami i blizną wyglądał niebezpiecznie. Seksownie.

Poczuł, że znów budzi się w niej pożądanie i zaskoczyło ją to. Jak mogła tak szybko znów go pragnąć? Pragnienie jego stawało się niekontrolowane. Winda zatrzymała się. Przełknęła:

-Jesteśmy, wymamrotała niepotrzebnie.

William spojrzał na nią uważnie, wyczuwając chyba jej zmieszanie. Zmusiła się do uśmiechu i wyszła na korytarz. Musiała wziąć się w garść. Szli szybko przez holl. Savannah wskazała Williamowi drzwi do klatki schodowej. Drzwi były zamknięte, ale wystarczyło silne szarpnięcie jego ręki za klamkę i drzwi były otwarte. Weszli na schody w milczeniu. Dlaczego idą na dachu?, zastanawiała się.

Pchnął drzwi na szczycie schodów i wyszli na zewnątrz. Nocne powietrze było ciepłe. Gwiazdy świeciły jasno. Savannah podeszła do krawędzi dachu i patrzyła poniżej, zastanawiając się nad uczuciami, które ją wypełniały. Miasto było piękne. Żywe, oświetlane przez tysiące światel. Spojrzała w dół i ogarnął ją strach.

-Jesteś gotowa?, zapytał William.

Savannah zmusiła się, by oderwać wzrok od widoku i spojrzała na niego.

-Gotowa na co?

-Na twoją lekcję.

Lekcje? Co ma na myśli?

-Jak myślisz, jak wysoko jesteśmy?

Zapytał z ciekawością, przemieszczając się, by stanąć obok niej.

-15 pięter, odparła, a węzeł strachu ulokował się w jej żołądku.

Nagle, widok nie był już tak atrakcyjny jak to było przed chwilą.
Zwrócił jej uwagę na ulicę.

-A ten budynek? Jak daleko jest od nas?

Jej oczy rozszerzyły się. To było co najmniej pięćdziesiąt metrów.

-50 metrów?

Pokiwał głową.

-Tak, powiedziałbym, że coś koło tego.

Wzdrygnęła się, nie przywykła do tego, że czytał w jej myślach.

Podszedł do krawędzi dachu.

-To jest twoja pierwsza lekcja, powiedział. Wampir ma niesamowitą prędkość. Niesamowitą siłę.

Skinęła głową. To akurat już wiedziała.

-Ale jest wiele mrocznych darów, które przychodzą z pocałunkiem. Wiele, wiele darów.

Podeszła jeden krok w jego stronę.

-Nie rozumiem. Dlaczego przyszliśmy tutaj?

W jej brzuchu skumulowała się kula z napięcia i z lęku.

-Jest tak wiele rzeczy, których musisz się nauczyć. Więcej tych, które musisz zobaczyć.

Co chciał, żeby zobaczyła na opustoszałym dachu?

-Mówi się, że zobaczyć to znaczy uwierzyć, mruknął.

Ona zmarszczyła brwi, bo zaczął się do niej uśmiechać i zrobił kolejny krok ku krawędzi dachu. Jej oczy rozszerzyły się w przerażeniu.

-Nie, Williamie! Nie rób....

Wyciągnęła rękę do niego, ale go już nie było. Runął z krawędzi dachu.

-Nie!

Rozdział 13

Wampiry i nieśmiertelność. To czyste szaleństwo.

Tylko Bóg może żyć wiecznie.

-Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 19 Grudnia 1068.

Przed jej oczami przemienił się, stał się dużym jastrzębiem. Poleciał wysoko w powietrze, krążąc nad nią. Następnie wylądował na szczycie dachu. Niemożliwe. Nawet wampir nie może...

Stał się mgłą. Pole mgły, płynęło po nocnym niebie, dryfowało z powrotem do niej.

-William...

Jej głos był ochryłym szeptem. Jak on mógł...

-Moc przychodzi z wiekiem, powiedział William, materializując się przy niej. Zmiana kształtu będzie łatwa dla ciebie z biegiem czasu.

Była oszołomiona.

-To znaczy, że będę w stanie to zrobić, zmienić się?

-W odpowiednim czasie, zgodził się. Nauczysz się tego z wiekiem, twoje moce zmieniają się. Nie będzie rzeczy, której nie będziesz mogła zrobić.

Spojrzała z powrotem na drugą stronę ulicy. Pięćdziesiąt metrów. Jastrząb. Mgła. Poczowała słabość w kolanach.

-Czy Geoffrey umie to zrobić? Zmienić kształt?

Czy ten skrzek to naprawdę jej głos?

-Tak.

To uczyniło go jeszcze bardziej niebezpiecznym.

-Ale nie robi tego często, kontynuował cicho William, patrząc na nią uważnie. Zmiana kształtu osłabia moce wampira. Zużywa się dużo siły, by utrzymać dany kształt.

Patrzyła na niego z powagą, a potem wyprostowała ramiona i wzięła głęboki oddech.

-Naucz mnie.

Musiała nauczyć się tak dużo jak tylko mogła, tak, by była gotowa na swoje kolejne spotkanie z Geoffrey'em. Wziął ją za rękę i doprowadził na środek dachu.

-Trzymaj się mnie. Nie puszczaj, bez względu na to co się stanie.

Skinęła głową.

-Chcę, żebyś skupiła się na dachu po przeciwnej stronie ulicy.

Pomyśl o nim jak o swoim celu, o lądowaniu na jego powierzchni.

Jej oczy rozszerzyły się, gdy zdała sobie sprawę z jego intencji.

-Nie masz tego na myśli, że my...

-Nie patrz w dół.

Jego wargi wygięły się w uśmiechu.

-Po prostu udawaj, że robisz skok w dal.

Ale ona nigdy nie skakała w dal. Nigdy nie biegała, a tym bardziej nie uprawiała żadnego sportu. Owinął ręce wokół niej.

-Gotowa?

Wzięła głęboki oddech. Mogła to zrobić. Musiała to zrobić.

-Gotowa.

-Więc ruszamy.

Zaczęli biec tak szybko jak tylko mogli. Byli prawie na krawędzi dachu. Savannah koncentrowała się na budynku przed nią. Nogi oderwały się o dachu. Nie chciała spojrzeć w dół. Nie chciała! Nadal poruszała nogami, ale nie czuła nic oprócz powietrza, które ją otaczało. Zaciśnęła palce na Williamie. Nie chciała spojrzeć w dół. Wpatrywała się w budynek przed nią. Był teraz blisko. Tak blisko. Ona może to zrobić. Może. Tam! Jej nogi dotknęły powierzchni dachu. Potknęła się do przodu, ale złapała równowagę zanim upadła.

-O mój Boże!

Odwróciła się i spojrzała na swój budynek zszokowana.

-Zrobiłam to! Naprawdę to zrobiłam!

William uśmiechnął się. Pobiegła do krawędzi dachu.

-Pięćdziesiąt metrów.

Westchnęła ciężko.

-Po prostu przeskoczyliśmy pięćdziesiąt metrów.

-I jakie to uczucie?

-Wspaniale.

Była oszołomiona i pełna zdumienia.

-Absolutnie wspaniale.

Roześmiała się cicho.

-Wiesz, zawsze miałam straszny lęk wysokości.

Zmarszczył brwi.

-Nigdy mi tego nie mówiłaś.

-Cóż, nie jest do rzeź, którą lubię się chwalić.

Patrzyła poniżej, zdumiona, że może rzeczywiście patrzeć i nie czuć zawrotów głowy, które zwykle występowały.

-Ale przyszedłeś do mojego domu, wszedłeś na moje wzgórze i nie okazałeś strachu.

Wzruszyła ramionami.

-Musiałam się z tobą zobaczyć. Nie miałam żadnego wyboru.

Ale była przerażona. Gdy wchodziła na wzgórze, odmawiała sobie zboczenia z drogi, odmawiała sobie nawet rzucenia okiem na zapierające dech w piersiach widoki. Nie chciała patrzeć na zbocza wzgórza, bojąc się, że strach ją przytłoczy. Więc szła, wpatrując się tylko w drogę przed sobą. Zmusiła się do ignorowania wysokości, ignorowania zwiększonego ciśnienia w swoich uszach. I zmusiła się by wejść na to cholerne wzgórze. A teraz, patrząc w dół na ulicę, zdała sobie sprawę, że jej obawy zniknęły.

-Teraz twoja kolej, powiedział William, dotykając jej pleców. Jej ręce zaczęły się trząść.

-M...moja kolej?

-Wróć do swojego mieszkania. I zrób to sama.

Spojrzała na niego, a jej oczy rozszerzyły się.

-A co jeśli spadnę?

-Nie spadniesz.

Brzmiał na bardzo pewnego. Savannah chciała mieć jego pewność. Rozejrzała się po ogromnej przestrzeni. Latanie z Williamem było jednym. Latanie samej to zupełnie inna sprawa.

-To jedenaste piętro, Williamie. Jeśli spadnę...

-Co najwyżej skończysz z kilkoma siniakami, powiedział z małym wzruszeniem ramion.

-Siniaki? Mogę skończyć z czymś więcej niż siniakami! Najprawdopodobniej złamię sobie kark.

-Przestań myśleć jak człowiek, powiedział, a jego głos stał się niezwykle ostry.

-Ale...

-Jeśli będziesz tak myśleć, łatwo będzie cię zabić. Nie myśl o tym czym byłaś. Myśl o tym czym jesteś. Możesz to zrobić, Savannah. Zrobiłaś to ze mną, więc możesz to zrobić sama.

Miał rację. Upadek nie zabije wampira. Przeżyje, nawet jeśli spadnie z jedenastego piętra.

-Nie spadniesz, powiedział, łatwo odczytując jej myśli. A nawet jeśli, to ja cię złapię, zanim dotrzesz do ziemi.

Lepiej żeby nie kłamał, bo gdyby jej nie złapał, musiałby do diabła zapłacić jej za to.

-Dobra.

Wyprostowała plecy.

-Zrobię to.

I zamierzała to zrobić. Zrobiła kilka kroków do tyłu, chcąc mieć większy rozbieg. Wzrok utkwiła w swoim budynku. Wzięła głęboki oddech i pobiegła. Jej nogi odbiły się od dachu. Szybciej. Szybciej. Widziała teraz krawędzi dachu. Tam! Wystrzeliła w niebo, jej ciało leciało wprost na czekający na nią dach. Wiatr uderzał w jej ciało. Jej nogi poruszały się w powietrzu. Nie patrzyła w dół.

Krawędzi jej dachu była tak blisko, tak blisko... Wyładowała na dachu, upadając na kolana. Savannah śmiała się, wstrząśnięta przyjemnością z sukcesu. Próbowwała wstać, ale jej nogi zatrzęsły się i upadła z powrotem.

-Savannah?

William w jednej chwili był obok niej.

-Wszystko w porządku.

Odsunęła włosy do tyłu, drżącą ręką.

- Moje kolana są trochę słaba.

Podparł ją ramieniem, gdy pomagał jej wstać. Chciała oprzeć się na nim, wtulić się w jego ramiona. Zamiast tego wzięła orzeźwiający wdech i odsunęła się od niego. Nie mieli dużo czasu, i nie mogła sobie pozwolić na słabość. Potarła swoje ramiona i zapytała?

-Co dalej?

Zszedł z krawędzi na dach,

-Dalej, będziemy polować...

* * * *

Szli w milczeniu przez ciemną ulicę. Była druga nad ranem i droga była zupełnie pusta.

- Dokąd zmierzamy?, zapytała Savannah.

Mieszkała całe życie w Seattle, ale William prowadził ją przez masę zakrętów i małych uliczek. Ona właściwie nie miała pojęcia, gdzie w tej chwili jest.

- Czy słyszysz muzykę?, zapytał ją.

Zmarszczyła brwi. Tak, słyszała muzykę. Ulotny, mocny rytm przyniósł wiatr z oddali. Zdała sobie dopiero teraz z tego sprawę, że słyszy ją już od wyjścia z bloku.

- Podążamy za nią, powiedział jej William. Doprowadzi nas do twojej kolejnej lekcji.

Przełknęła i spojrzała do góry w nocne niebo. Księżyc błyszczał wśród gwiazd w pierwszej kwadrze.

- Myślałam, że powiedziałeś, że potrzebuję pożywić się świeżą krwią, gdy księżyc jest w pełni.

A po za tym, już napiła się od niego. To wspomnienie wywołało dreszcz, który spłynął w dół jej kręgosłupa.

- Nie będziesz pić.

Więc dlaczego podążali za muzyką, która niewątpliwie doprowadzi ich do klubu wypełnionego ludźmi? Miejsca, które niewątpliwie jest jak Jake's?

Dlatego, że musisz nauczyć się jak zwabić do siebie ofiarę.
Jego głos przepłynął przez jej umysł.

Musisz nauczyć się wykorzystywać swoje psychiczne zdolności, by umieć czarować i kontrolować.

Potrząsnęła instynktownie głową, potem zamarła. Tak bardzo jak buntowała się przeciwko kontrolowaniu innej osoby, teraz stwierdziła, że on miał rację. Jeśli chce przeżyć, musi nauczyć się wykorzystywać wszystkie swoje moce. Skoncentrowała się na Williamie i wysłała do niego swoje myśli.

Będę się uczyć, ale nie chcę nikogo skrzywdzić.
Chciała by wszystko było jasne w tej kwestii. Poczowała jego zaskoczenie, gdy odebrał jej mentalną wiadomość. Następnie jego umysł połączył się z jej, otoczył go.

Dobrze. Bardzo dobrze, Savannah.

Ciepło przetoczyło się przez nią.

Zawsze byłam zdolną uczennicą.

Czuła, raczej niż słyszała, miękkie fale jego śmiechu.

Dobrze. Będziesz musiała nią być.

Szli spokojnie przez jakiś czas. Muzyka stawała się głośniejsza. Mogła teraz usłyszeć głosy, śmiech. Mogła wyczuć zapach ludzi wewnątrz klubu. Zapach alkoholu i tanich perfum. Papierosów i seksu. Skręcili, a ona zamarła. Bar był taki jak się spodziewała, mały, ciemny i pełen ludzi. Migający neon informował, że to miejsce nazywa się „Czarne piekło.” Sądząc po jego wyglądzie zewnętrznym, nazwa pasowała idealnie.

Na małym parkingu była pełna gama pojazdów. Samochody sportowe, ciężarowe, nawet motocykle. Kilku klientów baru stało na zewnątrz. Jeden z nich przeszedł chwiejnym krokiem na drugą stronę ulicy. Savannah patrzyła na niego z wielkim zastanowieniem. William spojrzał na nią, mrużąc oczy.

-Zbyt łatwe. Będziesz musiała wybrać kogoś, kto jest jeszcze przytomny.

Zmarszczyła nos i zrobiła krok do przodu, idąc do baru z pewnością, której tak naprawdę nie czuła. Była świadoma obecności William kilku kroków za nią. Ochroniarz stanął przy wejściu, jego silne ramiona były skrzyżowane na klatce piersiowej. Jego lewa brew uniosła się, gdy podeszła do niego Savannah.

-Witaj mała.

Jego wzrok wędrował po niej, aż zatrzymał się na jej piersiach. Złość przetoczyła się przez nią. Patrzyła na niego, mocując się z jego wzrokiem.

Koncentracja, Savannah. Skup się na nim.

Miękkie polecenie Williama wślizgnęło się do jej umysłu. Wzrok ochroniarza podniósł się i napotkał jej mroczne spojrzenie. Mrugnął, raz, drugi, a następnie opadła mu szczęka.

-Otwórz dla mnie drzwi, powiedziała cicho, zaciskając przy tym swoje ręce by ukryć ich drżenie.

Spieszyła się tak, że prawie potykał się w tym pośpiechu. Wzięła głęboki wdech, po czym powolny wydech. To zdecydowanie było wystarczająco łatwe.

Nie zawsze tak będzie. Im silniejszy umysł, tym trudniej jest go kontrolować.

William szedł za nią w milczeniu.

Nie podoba mi się to! Nie podoba mi się kontrolowanie czyjejs myśli!

Nie musi ci się podobać. Po prostu musisz to zrobić.

William był nieugięty.

Był tam mały parkiet na środku pomieszczenia. Zespół grał głośno, a scena była otoczona niewielką balustradą. Savannah udała się w kierunku baru. Było ciasno, ale widziała dwa puste stolki. Usiadła na jednym, najbliższym baru. Koga ma wybrać? Kto zadowoliliby Williama?

-Co mogę dla ciebie podać?

Rozejrzała się. Barmanka, kobieta z blond włosami i tatuażem węża na szyi, spojrzała pytająco na nią.

Savannah naprawdę niczego nie chciała, i nie była nawet pewna czy utrzyma w żołądku to co wypije, ale nie chciała też zwracać niepotrzebnej uwagi.

-Uh...wezmę...,starala się zainspirować. Krwawą Mary. Tak, to poproszę.

William zaśmiał się cicho.

-A dla ciebie?

Barmanka pochyliła się nad barem, sugestywnie wysuwając swoje piersi.

-Na co masz ochotę?

Jej głos sugerował, że nie tylko alkohol miała na myśli. Savannah spojrzała na nią. Jak ta kobieta śmie podrywać Williama? Czy nie widzi, że on jest z nią? Chrząknęła głośno. Kobieta spojrzała na nią, a na jej ściągniętej twarzy widniała irytacja.

-Co?

Savannah zmrużyła oczy.

-On jest ze mną.

Kobieta zamrugnęła, raz, drugi raz. Potrząsnęła głową i cofnęła się.

-Racja. Przepraszam.

Pobiegła, aby szybko podać drinka Savannah. Savannah nadal nieugięte patrzyła na nią. Kilka chwil później, barmanka ostrożnie stawiała drinka przed Savannah na barze.

-Czy...czy potrzebujesz jeszcze czegoś?

-Nie.

Savannah odwróciła się plecami do kobiety i utkwiała wzrok w tłumie.

Czy to naprawdę było konieczne?

Jej ramiona były spięte, gdy popijała swojego drinka.

Co masz na myśli?

Przecież nic nie zrobiła tej kobiecie. Powiedział jej tylko by trzymała się z dala od Williama.

Użyłaś na niej przymusu.

Sapnęła.

Na pewno tego nie zrobiłam!

I nie zrobiła tego, prawda? Powiedziała po prostu tej irytującej kobiecie, żeby odczepiła się od Williama.

To było w twoim głosie. Ton, polecenie.

Twarz Savannah zbladła. Ona naprawdę nie chciała... Jej palce zamknęły się na zimnej szklance.

Bądź ostrożna.

William ostrzegł ją cicho.

Kontroluj swoje moce, nie pozwól by to one kontrolowały ciebie.

Skinęła głową. Zrobi wszystko by bardziej uważać. Jej spojrzenie przesuwało się powoli po sali. Nogą zaczęła wystukiwać w rytm muzyki.

Więc, co mam dokładnie zrobić?

Wiedziała, że przyście do baru było pewnego rodzaju testem dla niej, ale ona po prostu nie rozumiała w pełni tego, co William chciał żeby ona zrobiła.

Widzisz tę kobietę, tą w czarnej skórzanej kurtce, opartej na końcu baru?

Savannah odwróciła nieco głowę i ujrzała kobietę. Skinęła na potwierdzenie głową.

Wejdź do jej umysłu.

Co?

Skup się na niej. Sprawdź czy możesz usłyszeć jej myśli. Musisz uważać, gdy czytasz w ludzkich umysłach. Jeśli nie będziesz, możesz znaleźć się w poważnym niebezpieczeństwie. Nie zapominaj, że wiedzą o istnieniu wampirów. Niektórzy ludzie na nas polują. Musisz nauczyć się zaglądać do umysłów wokół ciebie. Musisz wiedzieć, czy nie zamierzają cię skrzywdzić.

Zagryzła wargę. Nie podobał się jej pomysł wdzierania się w cudze myśli. To było zbyt osobistym, zbyt intymnym aktem.

Zrób to, Savannah.

Nie.

Nie mogła tego zrobić. Nie mogła włamać się do czyjegoś umysłu, kraść jego myśli i marzeń. Nie mogła, nie chciała tego robić. Wstała nagle i skierowała się na parkiet.

Savannah!

Zignorowała jego mentalne polecenie i szła dalej. Człowiek z krótkimi blond włosami i cienkim wąsikiem pośpiesznie ją pozdrowił.

-Cześć piękna. Chcesz zatańczyć?

Mogła poczuć alkoholu w jego oddechu, zobaczyć go w szklistym spojrzeniu jego oczu.

Myślała o odmowie, już otwierała usta by to zrobić, gdy usłyszała nakaz Williama.

Zostaw go. Wróć do mnie!

Uniosła podbródek i uśmiechnęła się do potencjalnego partnera.

-Uwielbiam taniec, zamruczała cicho.

Rozszerzył oczy i natychmiast wyciągnął ją na parkiet. Zespół zaczął grać bardziej miękki, lżejszy ton, a jej partner przyciągnął ją bliżej, kładąc ręce na jej plecach. Savannah pchnęła go lekko w klatkę piersiową, chcąc zwiększyć dystans między nimi.

-Posłuchaj, kolego...

Jego wzrok był utkwiony na jej ustach.

-Bill. Mam na imię Bill.

Ręce zsunął na jej biodra. To nie było jej zamiarem. Chciał uciec na chwilę od Williama, tylko na chwilę, tak żeby mogła pomyśleć...

Powinienem położyć ją na ziemi, z ciągnąć ciuch z jej małego, gorącego ciała i...

Savannah sapnęła i odepchnęła Billa jak najdalej od siebie. Wiedziała, że to były jego myśli. Mogła poczuć fale jego pożądania, które uderzały w nią.

-Co do cholery?

Bill spojrzał na nią i zrobił krok do przodu, miał dłonie mocno zaciśnięte w pięści.

-Nie zbliżaj się do mnie, rozkazała, jej oczy zabłyśły.

Bill zamarł. Obniżyła głos, starając się użyć przymusu, który wcześniej wykorzystywała na barmance.

-Opuść bar, wezwij taksówkę i wróć do domu. I nigdy więcej nie zbliżaj się do mnie ponownie.

Mrugnął i szybko wyminął ją. Szedł prosto do wyjścia.

Savannah patrzył na niego jak jastrząb, gniew nadal krążył w jej żyłach.

-Jakiś problem?, William zapytał cicho, znajdując się przy niej.

-Czy możemy stąd wyjść?, spytała, a jej głos był szeptem.

To było zbyt wiele jak dla niej. Ludzie. Dźwięki. Zapachy. Ona po prostu chciała wyjść na zewnątrz. Uciec. Musiała uciec. Nie czekała na odpowiedź Williama. Pobiegnęła do drzwi. Popchnęła je i była na zewnątrz, ciężko dysząc. Ochroniarz spojrzał na nią, marszcząc brwi. Savannah pobiegła. Tak szybko, jak tylko mogła. Nie obchodziło jej, dokąd biegnie. Ona po prostu wiedziała, że musi uciec. Jej buty stuknęły o chodnik. Mijane budynki i drzewa były jak zamazane plamy. Szybciej. Szybciej. Dźwięki doganiały ją. Zapachy. Głosy.

Chciała krzyczeć. Zatrzymać jej. Pobiegnęła do parku, korzystając ze znanej ścieżki. Wyminęła krzewy i drzewa na jej drodze, potykając się o własne nogi, zatrzymała się przy małym stawie. Stała na chwilę by złapać oddech. Potem upadła na kolana, patrząc bezmyślnie w ciemną wodę. Co ona zrobiła? Czym ona się stała?

-Nie zmieniłaś się, jego głos zdawał się szeptać do niej z ciemności. Jesteś tą samą osobą, którą zawsze byłaś.

Znalazł ją. Wiedziała, że to zrobi. Jej wzrok nadal był utkwiony w wodzie.

-Nie, nie jestem.

Usiadł obok niej, a ona mogła poczuć jego wzrok skupiony na niej. Wiedziała, że on czeka, aż ona mu powie dlaczego uciekła. Powierzchnia wody wyglądała tak spokojnie, tak jasno. Ale jakie tajemnice leżał pod jej powierzchnią? Zamknęła oczy na chwilę.

-Nie sędzę, abym mogła to zrobić.

Otworzyła oczy, nadal patrząc na wodę. Czuła jak usztywnił się obok niej.

-Możesz to zrobić. Nie przemieniłbym cię, gdybym nie miał pewności, że jesteś wystarczająco silna.

Ale ona nie była silna. Nigdy nie była silna. Z nich dwojga to Mark był tym silny.

-Savannah.

Jego głos był miękki, nie do odparcia.

-Spójrz na mnie.

Odwróciła głowę powoli ku niemu.

- Jesteś najsilniejszą osobą jaką kiedykolwiek spotkałem.

Przetrwałaś chorobę, tragedię i śmierć i nadal się nie podawałaś.

Potrząsnęła głową. On nie rozumiał. Ona robiła po prostu to, co musiała zrobić.

-Nie.

Był stanowczy.

-To ty jesteś jedyną osobą, która nie rozumie. To ty nie widzisz kobiety, którą naprawdę jesteś. Wyśledziłaś mnie. Znalazłaś, kiedy ja ukrywałem się przez wieki.

Uśmiechnął się na to stwierdzenie.

-I ty mnie zaszantażowałaś. Wiedząc, że jestem wampirem z ogromną mocą i siłą, ty faktycznie mnie zaszantażowałaś.

Zaczerwieniła się. Czy ona naprawdę była dla niego zagrożeniem, gdy zagroziła, że pójdzie do prasy z jego historią? Jego uśmiech zgasł.

-I postawiłaś się Geoffrey'owi. Sama, bez broni. Próbowalaś walczyć z wampirem, który zdobył swoją moc przez stulecia.

Potrząsnęła głową.

-I ty mówisz, że nie jesteś silna?

Nie rozumiał.

-Musiałam z nim walczyć. Miał zamiar skrzywdzić Mary!

Ona nie zaatakowała Geoffrey'a bo była silna. Zrobiła to, aby chronić swoją przyjaciółkę.

-Nie byłaś w stanie ochronić swojej przyjaciółki! Byłaś skłonna oddać swoje życie za nią. Czy naprawdę nie rozumiesz ile to wymaga odwagi?

Przełknęła. Wcale nie czuła się odważnie w tamtym czasie. Była przerażona.

-Ale nie pozwoliłaś, aby strach cię powstrzymał. I tak stawiałaś czoła Geoffrey'owi. I gdy walczyłaś, nawet jeśli odczuwałaś strach, to słodka Savannah jest prawdziwą siłą.

Wyciszyła się. Chciała mu wierzyć, ale...

-Nie chodzi o to czy mi wierzysz. Chodzi o to żebyś uwierzyła w siebie.

Miał rację. Odwróciła się z powrotem do stawu. Musiała uwierzyć w siebie. Uwierzyć w własne siły. Oszukała śmierć. Walczyła z wampirem i przeżyła. I będzie miała zemstę za swojego brata.

-Jak długo...

Przerwała, odchrząknęła i zapytała ponownie.

-Jak długo przyzwyczajając się do bycia wampirem?

Zaśmiał się.

-Ah, Savannah, ja nadal się przyzwyczajam.

Uśmiechnęła się. Podniosła kamień i rzuciła do wody. Małe koło pojawiło się na jej powierzchni.

- Nie chciałam czytać czyjś myśli. Wydawało mi się to zbyt osobiste. Zbyt agresywne.

Zacisnęła usta.

-Ale to co zrobiłam dzisiaj, było okropne.

-Mówisz o człowieku, z którym tańczyłaś?

W jego głosie pojawił się nieznaczący akcent.

-Tak. Wyobraził sobie jak ściąga ze mnie ubranie i...

-Drań.

Słyszała wściekłość w jego głosie, i poczuła jak powietrze wokół nagle się napięło.

-Kiedy zrozumiałam, czego on chce, ja..., wzięła głęboki wdech. Byłam wściekła. I tak się bałam, że stracę kontrolę i go zranię.

-To zrozumiała reakcja.

Powiedział William, zginając palce w mocne pięści.

-Myślę, że ten człowiek zasługuje na nieco bólu.

-Użyłam na nim przymusu, szepnęła, patrząc na słabe fale nadal widoczne na wodzie. Powiedziałam mu, że ma odejść i nigdy nie zbliżać się do mnie ponownie.

-Hmm. Wydaje się, że szybko odszedł.

Zacisnęła zęby.

-Nie chciałam wiedzieć, co on myślał. Żałuję, że usłyszałam te myśli. Nie chcę wiedzieć, co myślą inni. To dla mnie zbyt wiele!

Nie mogła znieść myśl, że będzie bombardowana obrazami myśli innych ludzi, ich fantazjami. Ręką dotknął jej ramienia, pieścąc ją lekko.

-Mogę nauczyć cię jak je kontrolować. Możesz nauczyć się je blokować.

-Myślałam, że wiem jak blokować dźwięki, ale kiedy byłam w barze, straciłam kontrolę. Było za dużo dźwięków. Za dużo zapachów. Wszystkiego było cholernie za dużo!

Bała się, że jej wrażliwy umysł rozbije się pod ich naporem. Przyciągnął ją w swoje ramiona, gładząc jej włosy delikatnie ręką.

-Dzisiejszego wieczoru przeszłaś piekło, prawda?

Skinęła głową, rozkoszując się uczuciem bycia w jego ramionach.

-Czy będzie lepiej?

Zapytała cicho z nadzieją. Pocałował ją w czoło.

-Tak. Każdego dnia będzie łatwiej. Będziesz coraz silniejsza.

-Ja nie chcę czytać w myślach ludzi.

W jej głosie pojawiła się irytacja, ale nie dbała o to. Nie mogła tego robić. Nie mogła się zmusić do zaglądania w umysły innych.

-Nauczę cię jak zablokować ich myśli. Nauczę jak budować tarczę we własnym umyśle.

Odsunęła się w tył, patrząc mu w oczy.

-Dziękuję Williamie.

Zmarszczył brwi.

-Za co?

-Za to, że mi pomagasz.

Patrzył jej w oczy. Opuścił głowę, a ona uniosła twarz ku niemu, chcąc poczuć jego usta na swoich. Zamiast tego poczuła zimny

dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Zimny wiatr jakby uderzał w nią. Jej oczy rozszerzyły się.

-William?

Wyprostował się, jego twarz stała się maską.

-Idziemy Savannah. Teraz.

Wstał, ciągnąc ją za sobą.

-Ale nie rozumiem...

Usłyszała dźwięk miękkiego śmiechu. Męskiego śmiechu. William zaczął biec, ciągnąc ją za sobą. I wtedy usłyszała szept, unoszący się na wietrze.

Savannah.

Mogła go poczuć, ciemność która do niej dotarła, która ją wołała. Geoffrey. Ale jak? William powiedział, że on zszedł pod ziemię, że leczył swoje rany. Czy już się uleczył?

On jest blisko. Bardzo blisko.

Głos Williama był mocny i wyraźny w jej głowie.

Czy on już się uleczył?

Jego siła była niesamowita. I przerażająca. William prowadził ją w dół ciemnej ulicy, ciągnąc ją w zawrotnym tempie.

Nie odzyskał sił, nie w pełni.

Więc jak...

Jego miejsce spoczynku znajduje się w pobliżu. Może nas wyczuć.

Szarpnęła by się zatrzymał.

-Jest blisko?

Jeśli Geoffrey był w pobliżu, i on był słaby...wtedy oni mogliby go pokonać.

-Dlaczego uciekamy? Musimy go znaleźć. Teraz jest nasza szansa! Możemy...

William odwrócił się do niej, a wyraz jego twarzy i ciała był jak wykuty z kamienia. Inny dreszcz przeszedł przez nią.

-Nie uciekamy przed nim.

Więc przed czym uciekają?

-Nie czujesz tego?

Zapytał ją.

-Nie czujesz tego co się zbliża?

Dreszcz się nasilił. Czują coś, ale... Dreszcze przechodziły przez całe jej ciało falami. Jej oczy rozszerzyły się. Co się dzieje?

-Słońce wstaje. Zmrok się kończy. Uciekamy przed światłem, nie przed Geoffrey'em.

Podniósł swoją rękę, a ona zobaczyła, że drżała.

-Nasze ciała ostrzegają nas o zbliżającym się świetle. Słuchaj swojego ciała, i zawsze uważaj na jego ostrzeżenia.

Pociągnął ją za rękę.

-Teraz choć, nie mamy wiele czasu.

Biegli, ich serca galopowały a ciała drżały. Jak daleko jest to mieszkanie? Jak długo zanim słońce... William chwycił ją, tuląc ją mocno do piersi, i wystrzelił w niebo. Szybowali, lecąc nad dachami budynków, i w zaledwie kilka minut byli na dachu jej mieszkania.

Biegli wewnątrz budynku, gdy słońce zaczęło wschodzić.

Wpadli do jej mieszkania. Jednym ruchem ręki William opuścił zasłony i zabezpieczył niezbędną im ciemność. Żaden promień słońca nie mógł się wedrzeć do środka. Byli bezpieczni.

William wziął ją w ramiona i pociągnął ją na łóżko. Dziwny letarg zaczął ogarniać jej ciało. Stało się ciężkie, jakby coś ciągnęło je do dołu. I jej serce zaczynało zwalniać powoli, powoli...

-William?

Bała się. Nie mogła wziąć głębszego oddechu. A jej serce, jej serce...

-Szz...

Jego ramiona mocniej owinęły się wokół niej.

-Nie walcz z tym. Rozluźnij się.

-A...ale ja się boję, wyszeptała i jej serce przestało bić.

Rozdział 14

*Dzisiaj, ojciec zapytał się mnie, czy boję się śmierci.
Słyszałem jak zadawał to pytanie setką mężczyzn, zaraz przed tym jak
ich zabił.*

-Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 12 Grudnia 1068.

Jego siły wracały. Geoffrey przeciągnął się powoli, czując jak moc przechodzi przez niego. Musiał się pożywić. Krew przywróci mu pełnię sił. Szkoda, że w pobliżu nie ma drogiej Savannah. Rozkoszował by się pijąc z jej jasnego gardła. Wycucie jej poprzedniej nocy było nieoczekiwaną przyjemnością. Czuł jej silny umysł przez całą noc. I tak miał zamiar się z nią pobawić, tylko troszkę.

Ale przebiegłość Williama zepsuło jego zabawę. Jego starszy brat zawsze próbował zatrzymać jego gry. Ale tym razem, William go nie powstrzyma. Tym razem William zostanie pokonany. Zniszczony. Umrze, jak powinien to zrobić wieki temu. Geoffrey planował śmierci brata, aż do najdrobniejszego szczegółu. W pamięci miał doskonałe miejsce na zabójstwo brata. Absolutnie doskonałe. Było to miejsce pełne życia i nadziei. Krwi i zniszczenia. Uśmiechnął się, przygotowując się na wstanie i pożywienie.

Nadszedł czas by on i jego brat wrócili do domu.

* * * *

Otworzyła oczy i zobaczyła, że William intensywnie się jej przyglądał. Ona zamrugła i wzięła głęboki oddech. Energia uderzyła w jej ciało. Energia i...siła. Przypomniała sobie strach, który przetoczył się przez nią ostatniej nocy. Podniosła rękę i dotknęła swojej klatki piersiowej. Mogła poczuć bicie swego serca. Powolne, miarowe.

-Zawsze tak będzie?, cicho zapytała.

William skinął głową.

-Ale przyzwyczaisz się to tego.

Czy aby na pewno? Czy ona na pewno przyzwyczai się to tego, że jej serce przestaje bić? Cóż, nie było tak, że miała jakiś wybór. Dotknął jej policzka.

-To staje się łatwiejsze, Savannah. Uwierz mi. Wkrótce wyda ci się to całkowicie naturalne. Tak samo jak ludzki sen.

Modliła się, żeby on miał rację. Spojrzała w stronę zasłon i rolet. Noc już zapadła. To był jej czas na polowanie. By zapolować na Geoffrey'a Przesunęła się, przygotowując się do wstania, lecz ręką Williama owinęła się wokół niej, trzymając ją w niewoli. Zmarszczyła brwi.

-William? O co chodzi?

Jego wzrok odszukał jej. Zauważyła, że miał zaciśniętą szczękę, a jego jasna blizna wyróżniała się na tle jego skóry.

-Chcę, żebyśmy wrócili do Północnej Karoliny.

-Co? Dlaczego?

Byli tak blisko celu. Wiedzieli, gdzie jest Geoffrey. Byli tak blisko jego miejsca spoczynku ostatniej nocy. Teraz był czas na atak, a nie na ucieczkę.

- Nie jesteś wystarczająco silna, aby to zrobić, aby się z nim zmierzyć.

Jego ton był szorstki.

-Musisz poczekać, aż...

-Aż nie zabije kogoś innego? Aż zabije czyjegoś brata? Czyjaś żonę?

Potrząsnęła głową.

-Nie. Nie mogę tego zrobić. Nie mogę dłużej czekać. On musi zostać powstrzymany.

-Więc pozwól mi to zrobić. Pozwól mi go powstrzymać. Wróc do mojego domu i pozwól mi się zająć Geoffrey'em.

Jego oczy błyszczały gdy patrzył na nią.

-Oh, rozumiem. Po prostu mam być małą kobietką, która stoi z boku i pozwala ci się zająć dużym, złym potworem, tak?

Gniew zabarwił jej policzki i zmatowił słowa.

-Mam stać z boku i pozwolić ci wykonać całą pracę, prawda? Prawda?

Mięśnie jego szczęki napięły się.

-Mylisz się!, warknęła, próbując wyszarpać się z jego uścisku.

Nie mogła uwierzyć, że on nawet zasugerował coś takiego. Pomyśleć, że ona ma stać z boku, być cicho, a on podąży za Geoffrey'em.

-Obiecałeś mi Williamie! Obiecałeś mi, że będę mieć swoją zemstę!

Przycisnął ją do łóżka, przytrzymując gdy próbowała się oswobodzić.

-Cholera, Savannah! To mój brat!

-A on zabił mojego!

Siłowała się z nim, kopiąc i drapiąc z całej swojej siły. William zamarł, rozluźnił palce zamknięte wokół jej nadgarstków. Krew ściekała z głębokiego cięcia na jego policzku. Jego oczy błysnęły czerwienią, potem czernią.

-Nie chcę, żeby on cię skrzywdził, powiedział miękko, głębokim głosem.

-Nie skrzywdzi mnie, obiecała, więżąc jego wzrok ze swoim. On nie skrzywdzi nikogo więcej. My go powstrzymamy!

Gładził palcami jej delikatną skórę. Jej puls przyspieszył pod tym dotykiem.

-Jesteś jeszcze słaba po przemianie. Potrzebujesz więcej czasu by nabrać sił, aby nauczyć się swoich nowych mocy. Wróć ze mną na wzgórze...

Słyszała zarzut w jego słowach, oraz mięką prośbę. Ale nie mogła zrezygnować.

-Idę go szukać. Z tobą albo bez ciebie.

Nie dopuści by znów na jej rękach była krew niewinnych osób. Musi go powstrzymać.

-Krew nie jest na twoich rękach, powiedział do niej cicho. Jest na moich. Zawsze jest na moich.

Wypuścił ją i wstał, wciąż mierząc ją wzrokiem. Usiadła powoli, odsuwając szybko ręką do tyłu swoje włosy. William spojrzał na nią, ale ona wiedział, że widział tylko przeszłość.

-Powinienem był go zabić, gdy miałem szansę. Sięgnęła po jego rękę. Ich palce się złączyły.

-Powiedz mi, Williamie. Powiedz mi co się stało.

William westchnął ciężko i cienie jego przeszłości wpłynęły do pokoju.

-Henry już nie żył, ale ja nie mogłem go tam zostawić. Nie mogłem pozwolić temu draniowi zbezczęści jego ciała. Więc zniosłem jego ciało przez tunele pod twierdzą ojca ...

Mógł nadal widzieć to wyraźnie. Tak wyraźnie.

Tunele były wilgotne, ciemne. Zapach śmierci i rozkładu wisiał w powietrzu. Ciało Henry'ego nie wiele ważyło w jego ramionach, ale ból, który czuł był przytłaczający.

Było za późno. Za późno by uratować Henry'ego, zbyt późno, by uratować brata, którego on zawsze tak mocno starał się chronić. Nie wiedział, jak długo szedł przez tunele. Przejście zaczęło się zwązać, aż musiał obrócić się bokiem i nieść Henry'ego za sobą. Przejście ponownie się rozszerzyło, a on kontynuował ten marsz unosząc połamane ciało jego brata wysoko w ramionach.

Jego pradziadek po raz pierwszy znalazł to przejście. Było tajemnicą rodzinną i korzystano z niego tylko w sytuacjach awaryjnych. Wyjście tunelu prowadziło do klifów na północnym krańcu jego rodzinnych ziem.

Często odwiedzał te skały jako dziecko. Henry chodziła za nim, cicho, pozostając w cieniu. Pewnego dnia odkryli jaskinię wydrążoną w skałach. Była mała, prawdopodobnie nie więcej niż pięćdziesiąt metrów głębokości.

Spędzali wiele dni w tej jaskini, rozmawiając i planując. To było ich tajemne miejsce. Ucieczka od wściekłości ojca. Jaskinia stała się miejscem spoczynku jego brata. Henry był bezpieczny w tym miejscu. Nikt by go tam nie znalazł. Mógł tam spocząć na wieczność. Tunel zaczął skręcać i prowadzić w górę.

William mógł poczuć zapach morza, niemal poczuć chłodny dotyk wody na swojej twarzy. Wyszedł z tunelu i przywitała go noc. Coś uderzyło w niego, powodując, że upadła na kolana. Starła się utrzymać ciało Henry'ego.

-Wstawaj! Wstawaj ty draniu!

William poczuł ostrze miecza na swoim gardle. Podniósł się powoli, układając delikatnie ciało Henry'ego na ziemi. Ostrze wbiło się głębiej, raniąc do krwi.

Dziasła Williama zaczęły parzyć, a zęby wysuwać. Wyprostował się powoli, a jego wzrok spotkał się z oczami płonącymi czerwienią, należącymi do mężczyzny przed nim. Jego brat Geoffrey uśmiechnął się do niego, odsłaniając lśniące kły.

-Zaskoczony, bracie? Uważałeś, że jesteś jedynym, który jest godny otrzymać mroczny dar?

Przerażenie ścisnęło gardło Williama.

-Geoffrey! Dobry Boże, co ty zrobiłeś?

Mógł jeszcze zobaczyć ciało ojca, krew, która broczyła ziemię. Geoffrey zmrużył oczy i jeszcze mocniej naparł mieczem na gardło Williama.

-Co ja zrobiłem? Wypełniłem moje przeznaczenie. Uzyskałem moc, którą zawsze miałem posiadać!

Jego wzrok padł na nieruchome ciało Henry'ego.

-Pytaniem bracie jest, coś ty zrobił?

William zbladł.

-Próbowałem go uratować. Próbowałem, ale było za późno. On był już prawie...

-Henry był jedynym, na którym mi zależało, powiedział cicho Geoffrey. Mój prawdziwy brat. Moja krew.

-To był też mój brat! Próbowałem go uratować!

Zrobił co mógł, aby ocalić Henry'ego.

-Zabiłeś go, warknął Geoffrey. Zabiłeś Henry'ego!

William chciał zaprzeczyć tym słowom. Tak bardzo starał się uratować Henry'ego. Odnalazł wampira. Przyjął mroczny dar. Zrobił wszystko, ale... Henry nie żył.

-Nigdy nie byłeś silny, mimo tego co myślał ojciec.

Usta Geoffrey'a skrzywiły się ze złości.

-Powinienem być wysłany jako pierwszy. Gdyby to mnie wysłał ojciec, to Henry by teraz żył!

Ciemność wzrastała w Williamie gdy spoglądał na brata.

-Wiedziałeś co ojciec robił Henry'emu?

Geoffrey nie odpowiedział mu.

-Wiedziałeś, że ojciec torturował go?, William ryknął, nie zważając na to, że stal cięła jego gardło.

-Wiedziałem co ten drań robił. Zawsze wiedziałem.

Geoffrey i jego ojciec byli tak bardzo do siebie podobni. Dzielili ze sobą to samo mroczne pożądanie władzy i krwi. Wzrok Williama zatrzymał się na mieczu. To był miecz Guy'a.

-Zabiłeś ojca, prawda?

-Oczywiście. To ja go zabiłem. Należało zabić drania dawno temu! Nigdy nie byłem wystarczająco dobry dla. Nigdy wystarczająco silny. Nie jak jego cenny William!

Geoffrey splunął.

-On zawsze myślał, że jesteś tak silny. Jego jedyny, prawdziwy syn!

Zacytował z wyraźnym obrzydzeniem.

-Geoffrey...

Jego brat, nie wydawał się nawet jego słyszeć.

-Powiniennem być pierworodnym synem, uprzywilejowanym, nie ty! To mnie jest przeznaczona wielkość. Nie tobie!

William poruszył się powoli, podnosząc rękę w kierunku rękojeści miecza.

Powinieneś był zginać dawno temu.

Twarz Geoffrey'a była maską wściekłości.

Powinieneś utopić się w tej rzece. Wtedy był bym następnym de Montfort. Byłbym następnym przywódcą!

-Powinieneś utopić się w tej przeklętej rzece.

Tamta chwila spłynęła na Williama. Pamiętał ten dzień. Uczucie wody było jak lód. Walczył, walczył rozpaczliwie by utrzymać się na powierzchni. Krzyczał o pomoc, prosił Geoffrey'a, aby mu pomógł.

On zawsze myśli, że Geoffrey poszedł, aby sprowadzić rycerzy ojca. Że Geoffrey próbował go uratować. Ale jego brat po prostu chciał go zabić. Palce Williama zamknęły się wokół rękojeści miecza.

-Nie umarłeś wtedy, powiedział Geoffrey. Ale umrzesz teraz! William wyciągnął po cichu miecz, w śmiertelnym pośpiechu. Ich miecze zwały się w prowokującym uderzeniu.

-Nie bądź tego taki pewny bracie!

Spędził całe swoje życie szkoląc się do walki. Od momentu gdy dostał mroczny pocałunek, William był jeszcze silniejszy, jeszcze mocniejszy. Ale Geoffrey miał podobne moce do niego. Miecz uderzył o miecz, ostrza broni się zwały.

Trenowali razem od chwili, gdy byli na tyle dorośli, by uczestniczyć w walce na polu bitwy. Uczyli się, ramię przy ramieniu, sposobu by uderzyć, by zaatakować, by zabić. Teraz walczyli ze sobą. Miecz Geoffrey'a opadła na dół, raniąc ramię Williama. Krew polała się, wsiąkając w jego szaty.

Geoffrey śmiał się, jego oczy lśniły jak podczas bitwy.

-Czy wiesz jaki przydomek nadali mi chłopci, bracie? Wiesz?

William słyszał rozmowy. Szepty. Zamachnął się mieczem, blokując atak Geoffrey'a. Jego brat był silnym wojownikiem, podstępny. Nie mógł sobie pozwolić na osłabienie swojej czujności.

-Możesz dla nich być Mrocznym Wybrańcem, powiedział Geoffrey sapiąc i unikając miecza Williama, ale jestem jedynym którego naprawdę się boją. To mnie nazywają Rzeźnikiem!

Miecz Geoffrey'a sunął w kierunku klatki piersiowej Williama. William uskoczył, blokując ostrze na kilka sekund zanim zanurzyło się w jego sercu. Geoffrey przekreślił się, atakując nożem, który miał ukryty w lewej ręce. Nóż zatonął w ramieniu Williama.

William jęknął z bólu, gdy poczuł cięcie.

-Nazywają mnie Rzeźnikiem ponieważ nie tylko zabijam moich wrogów.

Geoffrey śmiał się, wydając maniakalne dźwięki.

-Ja ich ćwiartuję. Tak jak poćwiartuję ciebie!

-Nie...jeśli...jak...zabiję...cię...pierwszy..., rzucił William, zamachnąwszy się mieczem za całej swojej siły.

Stal jęknęła, gdy miecz jego brata złamał się pod siłą jego ostrza. Geoffrey upadł na ziemię, oszołomiony siły Williama. William warknął, wyciągając nóż z ramienia. Wpatrywał się w zakrwawiony nóż, a następnie spojrzął na Geoffrey'a. Geoffrey poruszył się, skulony, czekając na idealny moment do ataku. William odrzucił swój miecz na bok i chwycił nóż. I rzucił się na brata. Geoffrey wyszedł mu na przeciw.

William uderzył pięścią w szczękę Geoffrey'a. Geoffrey cofnął się do tyłu, potem do przodu i z wyskoku zakatował brata nogą. William Uskoczył w bok, z trudem unikając ataku brata. Jego palce były śliskie od krwi, gdyż zaciskał je na nożu.

-Nie możesz mnie zabić, Geoffrey sapnął. Nie jesteś wystarczająco silny!

William cisnął nożem. Zatonął, wbił się, aż po rękojeść w piersi jego brata. Geoffrey spojrział na niego zdumiony. Potem upadł na ziemię. William patrzył na leżące twarzą w dół ciało Geoffrey'a. Wiedział, że Geoffrey nie jest martwy. Nie mógł być. Potrzeba znacznie więcej niż stalowego ostrza by zabić kogoś takiego jak on.

Geoffrey zaczął się śmiać. Bogaty, głęboki śmiech wydostał się z jego gardła, tak jak jego krew przelała się na ziemię. William zrobił krok w stronę brata. Jeden, potem drugi. Poruszał się ostrożnie, wiedząc, że Geoffrey może zaatakować w dowolnym momencie. Patrzył w dół na Geoffrey'a. Światło księżyca padało na twarz jego brata. Krew sączyła z jego ust.

-Potrzeba...znacznie więcej...abyś mnie zabił.
Usta Geoffrey'a wykrzywiły się w jego znajomym, drwiącym uśmiechu.

William sięgnął i wyciągnął nóż z jego piersi.

-Wiem.

Przełknął. Nie miał przy sobie drewnianego kołka. Był tylko jeden sposób by zabić wampira. Geoffrey zaśmiał się, gdy odczytał zamiary Williama.

-Nie możesz...

Kaszłał, dławiąc się własną krwią.

-Zrobię to, co będę musiał.

Ręce Williama się trzęsły, gdy myślał o ponurym zadaniu przed nim.

-To...ja...jestem...Rzeźnikiem...a...nie...ty.

William zamknął oczy. Czy mógł to zrobić? Mógł zabić własnego brata? Wydawało się, że Geoffrey usłyszał jego myśli.

-Zabiłeś...Henry'ego. Zamierzasz...zabić...i...mnie?

William otworzył oczy i spojrział na leżącego Geoffrey'a. Przez chwilę, w tym dramatycznym momencie, ujrzał twarz Henry'ego. Błękitne oczy Henry'ego patrzyły na niego. Widział smutek Henry'ego. Zobaczył zarzutu na twarz brata. I zawahał się. Geoffrey zaatakował.

Stanął na nogi z niesamowitą szybkością. Chwycił za nóż, wbił go w pierś Williama, wpychając go aż do serca. William poczuł zimny

dotyk śmierci na policzku. Geoffrey dotknął go lekko palcem pokrytym krwią.

-Powiedz mi bracie, szepnął, pochylając blisko, by móc spojrzeć Williamowi w oczy. Czy boisz się śmierci?

Ciało Williama upadło na ziemię.

* * * *

William potrząsnął głową powoli, starając się pozbyć ciężaru wspomnień.

-Słońce zaczynało wschodzić. Zostawił mnie, wiedząc, że umrę, kiedy światło słoneczne dotknie mojego ciała. Zaśmiał się i zostawił mnie tam. Zostawił mnie tam na śmierć.

-Jak udało ci się przeżyć?, zapytała cicho.

William spojrzał na Savannah. Siedziała cicho, podczas gdy on mówił. Jej nogi były skulone pod nią, a jej ręce były ściśle związane ze sobą. Wyglądała tak pięknie. Tak dobrze. Nie zasługiwał na nią.

-Williamie?

Zmarszczyła brwi.

-Coś nie tak?

Przełknął i uciekł spojrzeniem od zrozumienia i troski, które widział tak wyraźnie w jej szmaragdowych oczach.

-Nie, zatrzymał się, chrząknął i powtórzyć. Nie wszystko w porządku.

-Jak udało ci się przeżyć?, zapytała ponownie.

Czuł jej wzrok na sobie, było to jak fizyczny dotyk na jego skórze.

-Nie miałam zbyt dużo siły. Straciłem zbyt dużo krwi. Ale wiedziałem, że nie mogę tam po prostu zostać. Nie mogłem czekać na słońce, które mnie zniszczy.

Nie, nie był w stanie tylko leżeć i czekać na śmierć. Wiedział, że musi przetrwać. Wiedział, że musi powstrzymać Geoffrey'a.

-Jaskinia była blisko. Wiedziałem, że muszę się do niej dostać. Że tam będę bezpieczny. Będę mógł w niej odpocząć do zachodu słońca. Udało mi się wstać na nogi i złapać ramię Henry'ego.

Ciągnęłam go za sobą i dotarłem do jaskini.

Pokręcił głową.

-Było tak blisko. Tak blisko. Moja skóra już zaczynała się palić. Mógł nawet teraz poczuć zapach palonego ciała.

-A kiedy obudziłeś się po zachodzie słońca?

Skrzywił usta.

-Pożegnałem się Henrym i zacząłem polowanie na Geoffrey'a. I polowałem na niego przez dziewięć stuleci.

-Gdy znajdziesz Geoffrey'a, to co zamierzasz zrobić?

William usiadł na brzegu łóżka. Jego wzrok spotkał się jej.

-Mam zamiar go zabić.

Słowa te były przysięgą. Tym razem nie zawiedzie. Na jej czole pojawiła się mała zmarszczka.

-Nawet jeśli on jest twoim bratem?

-Henry był moim bratem. Zmarł wieki temu. Geoffrey...

Wziął głęboki oddech.

-Geoffrey jest zły. Żyje by krzywdzić innych. By ich torturować. Jeśli była w nim kiedyś jakakolwiek dobroć, to umarła dawno temu.

Palcami pogładziła jego ramię. Patrzył na jej rękę. Wyglądała tak krucho, tak delikatnie. Rozpostarł swoje palce i ujął ją za rękę.

-Savannah, pójdę za nim. Upewnię się, że nie skrzywdzi nikogo więcej, przyrzekam, że to zrobię.

-Nie.

Potrząsnęła głową, ale nie starał się cofnąć swojej ręki z jego uścisku.

-Nie pójdziesz za nim sam. Pójdziemy razem. Pamiętaj nasza umowa...

-Pieprzyć umowę!, William wybuchnął. Nie pozwolę, żeby znalazł się w pobliżu ciebie. Jest zbyt silny. Jeśli on cię zabije....

Urwał. Wzdrygnął się na myśl o śmierci w Savannah. Nie. To się nie może wydarzyć. Nie mógł pozwolić by jego brat znalazł się w pobliżu niej. Musi ją ochronić.

-Nie możesz chronić mnie przed wszystkim, powiedział, patrząc na niego z czujnością. Są rzeczy na tym świecie, z którymi muszę się zmierzyć sama.

-Nie musisz się mierzyć z nim!, William warknął.

Patrzyła na niego.

-Tak, muszę.

Zacisnął ręce. Rozpoznał determinację w jej głosie.

-Jeśli on cię skrzywdzi...

-Nie będzie miał na to szansy, obiecała. Ty i ja go powstrzymamy.

Wiedział, że nie zamierzała się poddać. Nie chciała go puścić samego. Musiał mieć pewność, że ona będzie bezpieczna. I musiał powstrzymać brata. Albo umrze próbując.

Pochylił się i pocałował ją. Mocno. Głęboko. Musiał jej posmakować, poczuć jej usta na swoich. Odpowiedziała natychmiast, jej język wyszedł na przeciw jego i głęboki jęk wydobył z jej gardła. Chciał ją położyć. Zerwać ubranie z jej idealnego ciała i zatopić się w niej. Połączyć się z nią. Zatracić się w jej ciepłe.

Ale jego brat był gdzieś tam. Poruszając się w nocy. Polując. I on musiał go powstrzymać. Ostatnim wysiłkiem woli odsunął się od Savannah. Jej oczy przypominały głębokie jeziora. Patrzyła na niego, czekając. Wziął głęboki oddech, który uspokoił jego szalejącej ciało i przywołał jego kontrolę.

Teraz nie było na to czasu. Później, będą razem. Później będą mieć wieczność. Wstał i jednym ruchem ręki otworzył drzwi od balkonu.

-Choć, Savannah. To czas na polowanie.

Muszą znaleźć swoją zdobycz. Muszą znaleźć Geoffrey'a. I zniszczyć go.

* * * *

Wyczuł moment, w którym jego brat powstał. Czuł gniew Williama. Jego wściekłość. Geoffrey uśmiechnął się. Jego traciła kontrolę. Dobrze. Jego emocje czyniły go słabym, wrażliwym. Łatwy zdobycz. I czuł kobietę, Savannah. Jej umysł był silny. Czuł jej gniewu. Jej strach.

Uwielbiał, gdy jego ofiary się bały. Strach smakowało tak dobrze, tak słodko. Wiedział, że idą po niego. Głupcy. Mogą myśleć, że go pokonają. Nie wiedzą, że odzyskał siły? Ale przekonają się. Tak, przekonają się bardzo szybko. To był czas, by zastawić pułapkę. I czas na ich śmierć.

Rozdział 15

Śmierć idzie po mnie.

-Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 24 Grudnia 1068.

Wrócili do parku, w którym wyczuli Geoffrey'a. Jego miejsce spoczynku musiało być w pobliżu. Savannah patrzyła uważnie na Williama. Chciało jej się płakać nad nim, nad tym wszystkim, co był zmuszony znieść. Widział jak Henry umiera. Wiedziała, że obwinia się o śmierci swojego brata. Mogła widzieć tą winę, która emanowała z niego. Chciała móc zabrać od niego ten ciężar.

Wiedziała, że próbował uratować swojego brata. Wziął mroczny pocałunek, by po prostu uratować Henry'emu życie. Ale w końcu stracił Henry'ego. A teraz, będzie zmuszony zabić Geoffrey'a. Zabić własnego brata zanim on zabije jego.

-W tą stronę.

William zaczął schodzić w dół, opuszczonym szlakiem, a wyostrzonym wzrokiem, przeszukiwał przestrzeń. Savannah wzięła głęboki oddech i podążyła za nim. Wiedziała, że William mógł wyczuć swego brata, a ona bała się rozpaczliwie, że Geoffrey też może to zrobić.

-Myślisz, że on wie, że tu jesteśmy?

Spytała, a dreszcz przebiegł po niej na wspomnienie wołającego ją głosu Geoffrey'a. *Savannah*. Wiedział, gdzie byli zeszłej nocy. Czy mógł wiedzieć teraz?

-On wie, William powiedział po prostu. Staraj się strzec swoich myśli, najlepiej jak potrafisz.

Skinęła głową.

Ścieżka zakończyła się na skraju parku. Ciemne spojrzenie William przesunęło się po okolicy, płynąc po pustej ulicy i starych kamienicach. Zaczął spacerować, jego wzrok był intensywny, gdy skupił się na Geoffrey'u.

Ulica była niesamowicie cicha. Był dość wczesny wieczór, trochę po ósmej, ale nikogo nie było w pobliżu. Wszystkie domy były szczelnie zamknięte, jak gdyby ci, którzy tam mieszkali, mogli wyczuć, że coś złego było na ulicy. William odwrócił się na rogu.

-Gdzie jesteś?

Szepnął cicho. Jego brwi się złączyły, a ona wiedziała, że zaciekle się skupił, wykorzystując wszystkie swoje psychiczne moce.

-Cholera, wybuchnął. Gdzie do diabła jesteś?

Mięśnie zacisnęły się na jego twardej szczękę. Serce Savannah zaczęło łomotać. Mogła poczuć jego frustrację docierającą do niej.

-Williamie?

Odwrócił się do niej z twardym wzrokiem.

-Jest tak samo jak przedtem. Czuję echo jego obecności, ale nie mogę powiedzieć, gdzie on jest.

Wziął głęboki, uspokajający oddech.

-Albo dokąd poszedł.

W oddali, Savannah usłyszała odgłos syreny.

-Skup się Williamie, rozkazała spokojnym, wyraźnym głosem.

Użyj swojej mocy i wyobraź go sobie. Zobacz go.

Znajdź go. Potrząsnął głową.

-Nie mogę. Nie jestem wystarczająco silny.

Machnął ręką w stronę domów.

-Tam jest zbyt wiele ludzi. Zbyt wiele myśli. Zbyt wiele głosów.

Otaczają go.

Zrozumienie pojawiło się w jej oczach.

-Wykorzystuje je by się za nimi ukryć. Dlatego wybiera miasta.

Może tu zniknąć, a głosy i myśli są jego tarczą.

Nie jestem wystarczająco silny, powiedział jej mentalnie.

-Może masz rację, powiedziała cicho. Może umysł wampira nie jest wystarczająco silny by wytropić, kogoś takiego jak Geoffrey.

Zawahała się.

-Ale może dwa wampiry mogą to zrobić.

Zamknęła oczy, koncentrując się na Williamie, przelewając wszystkie swoje siły i moce do niego. Do jego umysłu.

-Co ty...

Jego ciało zadrżało, gdy przelało się przez niego jej ciepło.

-Savannah?

-Użyj mnie, szepnęła. Znajdź go.

William przełknął. Pożądanie zapłonęło w jego oczach. Jego potrzeby, jego głód, owinęły się wokół niej. Mogła go poczuć, jego emocje, jego pragnienie, które wirowały w jej umyśle. I wiedziała, że

on czuje ją. Jej myśli, jej marzenia, jej obawy. Jego oczy zapłonęły ogniem.

-Jesteś pewna?, zapytał z wahaniem.

-Tak.

Wziął jej moc, wciągając ją, wyciągając ją wewnątrz niego. Głęboko do środka. Ich umysły złączyły się. Ich myśli, ich uczucia. Połączyły się i stały jednym. Mogła go poczuć, poczuć jego ciało, jego siłę. Nie wiedziała, gdzie ona się kończyła, a on zaczynał. Jego moc się podwoiła, a jego umysł rozbłysły, gdy wysłał w noc psychiczny impuls.

Razem skupili się na Geoffrey'u, wykorzystując wszystkie swoje siły w znalezieniu go. Ulotna czarna chmura pojawiła się przed nimi. Savannah sapnęła.

-Co to jest?

Mogła poczuć zło, mroczną, krążącą nienawiść. Obłok przesunął się, zaczął uciekać w dół ulicy, aż w końcu zaczął znikać w noc.

-To Geoffrey.

Wzrok Williama był skupiony na ciemniej chmurze.

-Choć, nie wiem jak długo utrzymam to połączenie.

Pobiegli, śledząc czarną chmurę, uciekającą w dół ulicy i skręcającą w różne zaułki. I przez cały czas ich umysły były połączone. Całkowicie związane. Ich serca biły w harmonii.

Biegli na przód, wiedząc, że nie ma chwili do stracenia. Droga była wyboista, a następnie ostro skręcała w lewo. Savannah rozszerzyła oczy na widok znajdujący się przed nimi.

-Cmentarz?

Wiedziała, że William musiał usłyszeć przerażenie w jej głosie.

-On odpoczywa w ziemi cmentarnej?

Ogromna brama z kutego żelaza otaczał cmentarz. Savannah widziała wysokie i kruszące się sklepienia, kamiennych nagrobków za bramą. Wiele nagrobków było porośniętych trawą i chwastami.

- Powinienem był wiedzieć, mruknął William, z łatwością przeskakując ogrodzenie. Miejsce takie jak to mogło go przywołać.

Savannah przygryzła nieco wargi, patrząc na wysoką bramę. To było co najmniej dwanaście metrów wysokości. Górna część bramy

zakończona ostrymi szpikulcami, przypominającymi groty strzał. Pochyliła się nisko, mając utkwiony wzrok na tych ostrych punktach, a potem wzbiła się w powietrze.

Wylądował po drugiej stronie, a jej kolana prawie się pod nią ugięły. William przesuwiał wzrokiem po całym cmentarzu. Czarny obłok doprowadził ich do bramy. Ale nie było w środku jego śladu.

-Bądź blisko, szepnął. I nie strać czujności ani na chwilę.

Adrenalina i strach napęłniły ją. Wiedziała, że Geoffrey mógł ich zaatakować w każdym momencie. Mógł być wszędzie. W ziemi pod nimi. Na gałęziach starych dębów, których konary rozciągały się nad nimi. Lub czeka, czając się w starym mauzoleum.

Wiatr zawył cicho. Pokruszone nagrobki skrzypiały pod stopami Savannah. A ona poczuła zapach śmierci. Jej ciało było napięte. Jej serce łomotało. William szedł przed nią, jego ciało było pochylone, gotowe do walki. Savannah stapała ostrożnie, omijając przełamany w pół nagrobek.

-Możesz go wyczuć?

Nie, nie czuję go w ogóle.

Obserwowała cmentarz, patrząc pomiędzy nagrobkami. Zobaczyła słaby błysk światła, który połyskiwał w ciemności. Zmrużyła oczy i zrobiła krok do przodu. Co to było? Przysunęła się bliżej. Zobaczyła coś, co wyglądało na jakiś rodzaj uchwytu, lśniącego uchwytu wysadzanego klejnotami. To był...

-Miecz mojego ojca.

William przykucnął i podniósł broń, wyciągając ją ze starej mogiły. Trzymał miecz z łatwością. Długie ostrze błyszczało w świetle księżyca. Patrząc na Williama, z ręką zaciśniętą na ogromny mieczu, Savannah z łatwością mogła go sobie wyobrazić, jak kiedyś musiał wyglądać. Wojownik. Silny. Nieugięty.

-Dlaczego on zostawił tutaj miecz twojego ojca?

-Zostawił mi wiadomość.

-Jaką wiadomość?

Zacisnął palce wokół miecza.

-Ostatni raz, kiedy widziałem ten miecz, byłem na ziemi mojego ojca i mój brat próbował go użyć by mnie nim zabić.

Wziął głęboki oddech. Savannah czekała w milczeniu, zastanawiając się, co będzie dalej.

-Użył tej broni by zabić mojego ojca. Prawie zabił nim mnie. Nigdy nie zostawiłby go gdzieś bez żadnego powodu. Jest zbyt cenny dla niego.

Po raz kolejny wzrokiem ogarnął ciemny cmentarz. Opuścił ramiona.

-O co chodzi?

-Geoffrey wyniósł się stąd. Z cmentarz. Z Seattle.

-Co?

Niemożliwe. Nie mógł wynieść się stąd przed nimi! William spojrzał w dół na miecz w ręku.

-Geoffrey wrócił do domu. Wrócił na ziemię mojego ojca. Wrócił do miejsca, gdzie ten koszmar się zaczął. I chce, żebym za nim podążył.

-Skąd to wiesz?, spytała zaskoczona.

Zwrócił uwagę na nagrobek.

-Miecz został umieszczony przy tej konkretnej płycie nie bez powodu. Przeczytaj napis Savannah.

Spojrzała w dół. Czas musiał usunąć nazwisko zmarłego, ale mogła jeszcze zobaczyć słabo wyryte słowa w środku nagrobka.

Śmierci, przenosi nas do początku.

-Początek, wyszeptała i jakby ją olśniło.

Życie Williama jako wampira rozpoczęło się w zbroczonym krwią europejskim zamku. Uniosła podbródek i spotkała się z nim wzrokiem.

-Ruszajmy.

* * * *

Przybyli do Francji trzy dni później. Trzeba było wynająć prywatny samolot. William mógł się przemieścić własnymi siłami, wykorzystując swoje moce, ale Savannah nie była wystarczająco silna na taką podróż. W wynajętym samolocie, upewnili się, że wszystkie okna były szczelnie zasłonięte. Właściciel samolotu zgodził się na to, a jedyną reakcją na tą sytuację była uniesiona brew.

Powiedział im, że po latach wożenia sław, przywykł do ludzkich „dziwactw.” Samolot wylądował na lotnisku w godzinę po zachodzie słońca. Savannah i William podziękowali pilotowi, a następnie wymazali jego wspomnienie o nich i odeszli. Wiedzieli, że on zapomni o kobiecie i mężczyźnie, których przewiózł przez Atlantyk.

* * * *

William tulił do siebie Savannah, czując jak jej serce zaczęło mocniej uderzać, gdy przekroczyli teren wioski. Ukrył ich obecność tak, że gdyby ktoś spojrział w górę, niczego by nie zobaczył. Chciały móc się gdzieś zatrzymać, znaleźć jej pokój w spokojnej wiosce i samemu zmierzyć się z Geoffrey’em. Był przerażony, że coś może się jej stać.

-Wszystko ze mną będzie w porządku, szepnęła cicho, jej głos był muzyką dla jego głodnych uszu. Przestań się o mnie martwić.

Pozwól mi zabrać cię w bezpieczne miejsce. Sam mogę się z nim zmierzyć.

-Nie. Razem stawimy mu czoła.

Ale czy razem przeżyją? Pocałował ją w czoło, wdychając jej słodki zapach. I po raz pierwszy od śmierci Henry’ego zaczął się modlić. Modlił się do Boga, aby on ochronił Savannah.

Przelecieli parę mil, wioska stała się zieloną plamą za nimi. Potem zobaczył rzekę. Wijącą się, czarną rzekę. I widział, że jest w domu. Mógł zobaczyć ziemię swojego ojca, resztki rozpadającej się, starej fortecy. Starożytne, kamienne mury. Puste fosy. Ale żadnego śladu Geoffrey’a.

Wylądował na ziemi, ostrożnie stawiając Savannah na jej własnych nogach. Szedł w kierunku kamiennych schodów, które prowadziły do wejścia do zamku jego ojca.

-Tu znalazłem mojego ojca.

Mógł jeszcze zobaczyć czerwone plamy na najwyższym stopniu. Krew jego ojca. Zacisnął ręce i zaczął wchodzić po schodach. Po chwili, wydawało mu się, że usłyszał głos ojca.

-Williamie?

Zamrugnął i spojrzał do tyłu na Savannah. Miała skrzyżowane ramiona przed sobą. Na jej twarzy odbiła się troska. Troska o niego. Zbiegł ze schodów. Odwrócił się plecami do starych kamieni, do przeszłości.

-Połącz się ze mną, wyszeptał.

I zrobiła to. Jej ciepło przelało się przez niego. Jej dobro, jej siła. W jednej chwili zapomniał o swojej przeszłości. Zapomniał o Geoffrey'u. Jego jedyną myślą była ona. *Savannah*. Wciągnął ją w swoje ramiona, a jego usta odnalazły jej. Odpowiedziała mu chętnie, jej pasja pasowała idealnie do jego. Ich ciała naparły na siebie. Serca uderzały w jednym rytmie. Podniósł powoli głowę.

-Savannah, ja...

Zimny wiatr zawirował w powietrzu, ochładzając go. I usłyszał drwiący śmiech swojego brata. Odwrócił się, przesuwał Savannah za siebie. Zaczął przeszukiwać okolice, wykorzystując swoje moce i nową siłę Savannah. Mógł wyczuć swojego brata, barwy jego obecności. Geoffrey był blisko. Zbyt blisko.

Jeśli chcesz mnie tak bardzo, bracie, to chodź i znajdź mnie.

Kpiące słowa Geoffrey'a przeszły przez jego umysł. Poczł za sobą jak Savannah zadrżała. Będąc z nim połączona tak jak teraz, mogła usłyszeć głos Geoffrey'a, poczuć jego zło. Nagle, William zerwał więź z Savannah.

-William? Co...

-Nie możemy być ze sobą połączeni, nie teraz. Jeśli coś się stanie...

Przesunął ręką po swojej twarzy. Jeśli coś mu się stanie i oni będą ze sobą połączeni w tym czasie, wtedy Savannah doświadczy jego śmierci, tak jak była zmuszona dzielić ostatnie chwile Marka. Nie chciał narażać jej na podobne przejścia.

-Nie możemy pozwolić sobie teraz na połączenie, powiedział do niej, starannie ukrywając swoje myśli. To wyczerpie nasze moce zbyt szybko.

Czuł jej zamieszanie i strach. I on wiedział, że z trudem utrzymała kontrolę by być silną. W tym momencie, nie chciał niczego bardziej jak objąć ją ramionami i po prostu trzymać. Tylko przytulić. Ale jego brat czekał. I śmierć przyjdzie po niego albo Geoffrey'a tej nocy.

-Gdzie on jest?, szepnęła Savannah.

Wzrok Williama przeszukiwał teren. Gdzie mógł się ukryć jego brat? Gdzie... Zawył wilk. William zamarł. Nigdy nie było wilków na ziemiach jego ojca. Nigdy. Ponowne wycie. Głośniejsze. Wilk był blisko, a William mógł wyczuć przeogromny głód bestii...i mroczną wściekłość.

-To on prawda?

Savannah zrobiła krok do przodu, stając obok Williama.

-To Geoffrey.

William skinął głową. Jego brat użył mocy do zmiany kształtu. Wzięła głęboki oddech.

-Jesteś pewien, że jesteś w stanie to zrobić?

Spojrzał na jej błyszczące oczy i bladą twarz.

-Geoffrey musi zostać powstrzymany.

Nie mógł pozwolić by jego brat skrzywdził nikogo więcej. Skinęła głową.

Odwrócił się by stawić czoła nocy, by zmierzyć się z bratem. Mógł wyczuć obecność wilka, mógł nawet usłyszeć miękki szelest liści pod jego łapami. Wilk biegł, głęboko w zarośla i chciał by William za nim podążył. Więc zrobił to. Pobiegł w noc, mając blisko siebie Savannah. Biegł po ciemnej ziemi, wbiegając do mrocznego lasu. Pomiedzy drzewami porastającymi jego ziemię, które widziały przez wieki zbyt wiele morderstw i bólu. Biegł zostawiając za sobą stara wioskę. Mijając rzekę, w której niemal utonął.

Biegł tak szybko, jak tylko mógł, podążając za wilkiem, który wciągał go głębiej i głębiej w noc. Drzewa zaczęły się przeredzać, zarośla zniknęły. Księżyc świecił nad nimi, oświetlając teren przed nim i William zdał sobie sprawę, gdzie wilk go prowadził.

Śmierci, przenosi nas do początku.

Klify znajdowały się przed nim. I tam, na polanie, z czerwonymi oczami i wysuniętymi kłami, czekał wilk. Zatrzymał się, patrząc na skały, na wilka, i przypomniał sobie.

Henry, cały we krwi, jego ciało nieruchomo leżące na twardej ziemi. Jego ojciec, jego ciało zmasakrowane, krew brocząca kamienne stopnie. ***I Geoffrey, mierzący mieczem ojca prosto w jego serce.***

Śmiejący się.

William sięgnął do tyłu i wyciągnął miecz ojca z pochwy, którą miał zawieszoną na plecach. Ostrze lśniło w blasku księżyca. William mógł przysiąc, że widzi na jego krawędziach krew.

Wilk zaświecił i w mgnieniu oka Geoffrey stał przed nim.

-Witaj w domu *bracie*.

Jego czerwone oczy przesunęły się na chwilę w kierunku napiętego ciała Savannah.

-Widzę, że przyprowadziłeś mi smakowity kąsek. I wiesz mi, że będę się nią rozkoszował...zaraz po tym jak cię zabiję.

William zrobił krok na przód, unosząc miecz.

-Nie dotkniesz jej.

Geoffrey uniósł jedną brew.

-Niech zgadnę. Myślisz, że mnie powstrzymasz, że mnie zabijesz.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

-Nie wydaje mi się. Nie mogłeś mnie zabić wcześniej. I nie będziesz w stanie zabić mnie teraz.

-Nie licz na to, warknął William.

Geoffrey roześmiał się.

-Daj spokój, jestem twoim bratem. Twoją krwią. Nie możesz mnie zabić. Nie chcesz mnie zabić.

-Nie jesteś moim bratem.

William zrobił kolejny krok na przód.

-Mój brat zmarł na tym urwisku ponad dziewięćset lat temu.

Henry był moim jedynym bratem, jakiego kiedykolwiek miałem. Nic dla mnie nie znaczyś. Nigdy nie znaczyłeś.

Oczy Geoffrey'a zabłysły i zaatakował, kierując swoje ciało nie w stronę Williama, ale Savannah. Geoffrey wysunął ręce do przodu, a jego dłonie wyglądały jak śmiertelne szpony. Dotarł do Savannah, a jego twarz była maską nienawiści.

-Nie!

William zamachnął się mieczem i ugodził brata w ramię.

Geoffrey krzyknął z bólu, zawracając z powrotem. Krew spłynęła w dół jego ręki. Geoffrey spojrzał na swoją ranę, uśmiechnął się i przycisnął rękę by powstrzymać krwawienie.

-Pierwsza krew jest twoja bracie.

Cofnął się i pobiegł w kierunku skał. William zaklął i rzucił się za nim. Zobaczył, że Geoffrey się schyla i wyciąga jakieś stare zawiniątko. Jego brat wysunął rękę ze środka. Trzymał pistolet.

-Teraz moja kolej, krzyknął Geoffrey.
Wymierzył pistolet i pociągnął za spust.

Kula utkwiała w piersi Williama, przewracając go, zmuszając by upadł na kolana.

Nie!

Krzyk Savannah był echem w jego umyśle. Jego krew połała się na ziemię i ogarnęła go słabość. Miecz jego ojca wypadł z jego dłoni. Geoffrey zaśmiał się i spojrział na Savannah.

-Zanim umrzesz, możesz popatrzeć jak zabijam twoją kobietę.

Rozdział 16

Nigdy nie zobaczę już kolejnego świtu.

-Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 27 Grudnia 1068.

-Nie!

Serce Savannah stanęło, gdy kula trafiła Williama. Widziała jak upada na kolana, jak miecz wypada z jego ręki.

-Williamie! Nie!

Wiedziała, że duża utrata krwi może zabić wampira. Pobiegła do niego w szaleńczym tempie. Przód jego koszuli był nasiąknięty krwią, a ziemia zaczęła się zabarwiać na czerwono.

Upadła na kolana tuż obok niego, przygarniając go w swoje ramiona.

-William!

Powoli podniósł powieki, jego pełen bólu wzrok spotkał się z jej.

-Savannah...przepraszam.

Wtedy poczuła dotyk śmierci. Czowała lodowate palce na swojej skórze.

-Nie!

Objęła go mocniej, potrzęsając nim.

-Nie umrzesz! Nie pozwolę ci! *Nie możesz mnie zostawić!*

Geoffrey zaśmiał się cicho.

-Wzruszające. Tak bardzo wzruszające.

Savannah odwróciła się, osłaniając ciało Williama. Przysunęła nadgarstek do jego ust, obserwując przy tym czujnym wzrokiem Geoffrey'a.

Pij, rozkazała mu. *Pij!*

Nie było mowy, żeby pozwoliła Williamowi umrzeć.

-Jesteś chory ty draniu!

Warknęła, starając się utrzymać uwagę Geoffrey'a z dala od Williama. Uśmiech Geoffrey'a się poszerzył. Jego kły błysnęły.

-Naprawdę, zamierzam czerpać rozkosz z zabijania ciebie.

Poczuła jak usta Williama lekko zbliżają się do niej, potem poczuła ból, gdy jego zęby przebiły jej skórę. Zacisnęła zęby, pozwalając by ból przeszedł przez nią. Zobaczyła, że wzrok Geoffrey'a kierował się na Williama.

-Zamierzasz mnie też postrzelić?, zapytała drwiąco, przykuwając jego uwagę z powrotem do nie.

Zmarszczył brwi, spoglądając na pistolet. Potem rzucił go na krawędź klifu.

-Nie. Co do ciebie, mam zamiar wykorzystać bardziej...osobistą metodę.

Po raz kolejny jego paznokcie wydłużyły się, stały się pazurami. Savannah spojrzała mu w oczy. To był człowiek...nie potwór...który zabił Marka i Sharon. I postrzelił Williama. Powinna się bać. Było tak, przez chwile. Teraz, po prostu czuła...wściekłość. Miała zamiar go zabić.

-Wstawaj.

Usta Williama odsunęły się, uwalniając jej nadgarstek. Czy wzięł wystarczającą ilość krwi? Czy będzie w stanie przetrwać?

-Powiedziałem, wstań!, krzyknął Geoffrey.

Savannah spojrzała na Williama. Jego oczy były zamknięte. Ciało leżało bez ruchu.

-Nie martw się, on wciąż żyje.

Geoffrey skrzywił się.

-Trochę czasu upłynie zanim wampir się wykrwawi. Będzie żył, na tyle długo by zobaczyć twoją śmierć.

Szarpnął za koszulkę Williama.

-Choć tutaj!

Jego pazury zabłysły, zatrzymując się zaledwie o centymetry od klatki piersiowej Williama.

-Albo wyrwę jego serce już teraz!

Savannah wstała. Widziała miecz Guy'a. Upadł na ziemię, w odległości kilku metrów. Tak blisko. Geoffrey chwycił ją, przyciągając ją do jego klatki piersiowej.

-Czekałem na ten moment.

-Ja również, szepnęła Savannah.

Skoncentrowała się, koncentrując swoją energię tak jak uczył ją William. Jeden ostry pazur powoli przesunął się po jej policzku, w dół kolumny jej gardła. W dół do wzniesienia jej piersi. Wstręt przetoczyły się przez nią.

- Czy widzisz to, bracie?, zawołał Geoffrey. Mam ją. I mogę zrobić jej co tylko zechcę...

Williamowi udało się usiąść. Krew nadal sączyła się z jego rany, a ogień płonął w jego wzroku. Zaczął wstawać. Geoffrey spotkał się z jego spojrzeniem, zmrużył oczy, gdy zobaczył powracającą siłę brata.

-Jak...

Paznokcie Savannah zmieniły się, stały się pazurami. Wiedziała, że nie może zbyt długo utrzymać ich kształtu, ale te sekundy były tym czego potrzebowała. Wbiła swoje pazury w jego pierś. Geoffrey krzyknął. I wykorzystał swoje szpony przeciwko niej, tnąc jej gardło i klatkę piersiową. Ból przeszywał ją. Chciała krzyczeć, wyć z agonii, która ją rozrywała.

Jego pazury zniknęły, a ona zachwiała się i upadła na ziemię. Jej wzrok dostrzegł miecz Guy'a. Zaczęła się czołgać w jego kierunku. Gdyby tylko mogła się do niego dostać... Geoffrey patrzył w szoku na krew, która spływała w dół jego piersi.

-Ty suko!, warknął. Będziesz mnie błagać, żebym cię zabił! Rzucił się na nią. Palce Savannah zacisnęły się na rękojeści miecza. I kiedy Geoffrey chwycił ją, ona odwróciła się i zatopiła ostrze w jego boku. Ostrze zatopiło się głęboko w jego skórze, rozrywając ciało i sprawiając, że krew płynęła z rany.

Obrócił się od niej i chwycił ostrze gołymi rękoma. Stał wbijając się w jego dłoń, tnąc głęboko jego skórę. Savannah napięła się, walcząc o kontrolę nad mieczem. Gdyby tylko mogła uderzyć go jeszcze raz...

Widziała Williama, poruszał się powoli, a jego twarz była maską bólu. Geoffrey wyszarpnął miecz z jej dłoni. W jednym ruchu, szarpnął ją do przodu, przycisnął do swojej piersi i zacisnął swoje poplamione krwią palce na jej gardle. Stał twarzą do Williama, z Savannah przyciśniętą przed nim.

-Zmuszę cię, żebyś błagała o śmierć, szepnął do jej ucha. Podczas ich szarpaniny, miecz upadł na ziemię. Ale Savannah wiedziała, że Geoffrey nie potrzebował miecza aby ją zabić.

-Puść ją!

William zacisnął pięści.

-Nie!

Wzrok Geoffrey'a się zwięził, gdy spoglądał na William, na jego gojącą się ranę w piersi.

-Pomogła ci, prawda? Suka dała ci swoją krew!

William tylko spojrział na niego wzrokiem czerwieńszy niż ogień piekielny.

-Cóż, uważam, że będzie sprawiedliwie jeśli ona pomoże również mnie.

Zatopił zęby w jej gardło, rozrywając jej skórę. Savannah krzyknęła, kopiąc Geoffrey'a w jego golenie. William rzucił się do przodu i wyszarpnął ją z rąk Geoffrey'a. Uderzył Geoffrey'a posyłając go na ziemię. William chwycił za miecz i pochylił się nad nim. Geoffrey sapał i utkwiał wzrok w Williamie. William przycisnął koniec miecza do jego gardła. Geoffrey uśmiechnął się.

-Zamierzasz mi teraz odciąć głowę bracie?

William zacisną zęby.

-Tak.

- Masz zamiar mnie zabić, tak jak zabiłeś Henry'ego?

William uniósł miecz, przygotowuje się do zadania ostatecznego, śmiertelnego ciosu.

-Nie zabiłem Henry'ego!

Geoffrey poszerzył uśmiech.

-Wiem. Ja to zrobiłem.

-C...co?

Geoffrey obracając się, kopnął go lewą nogą. William oberwał cios w brzuch, szarpnął się i ciął ostrzem w dół. Ale było za późno. Geoffrey odsunął się, a miecz uderzył w ziemię. Jego brat skoczył na równe nogi, oblizując wargi.

- Jej krew jest silna, mruknął. Mogę poczuć ja moja moc powraca. Myślę, że będę musiał jeszcze jej skosztować.

-Nigdy.

William chwycił za miecz i wycelował jego ostrze w Geoffrey'a.

-Co zrobiłeś? Co zrobiłeś Henry'emu?

- Po tym, jak zabiłem Guy'a, znalazłem Henry'ego. Był w wieży.

Geoffrey potrząsnął głową.

- To było naprawdę zbyt proste, wiesz. Głupiec myślał, że jestem tam aby mu pomóc.

-To byłeś ty, szepnął William. Ty jesteś tym, który zostawił go na pewną śmierć.

-On był słaby. Zawsze był słaby. Nie zasługiwał na miano de Montfort! I ty też nie!

Wilk zawył w ciemności. Wycie było długie, pełne smutku i wściekłości. Geoffrey zamrugął.

-Co...

Duży, szary wilk wyskoczył z nocy i skoczył całym swoim potężnym ciałem na Geoffrey'a. Jego obnażone kły, wbijały się w jego barki, ramiona, klatkę piersiową. William patrzył w dół na zwierzę, oszołomiony. Próbował dotknąć umysłu tej istoty, ale znalazł tylko świat pełen bólu, wściekłości i nienawiści.

Zaczął się cofać, śpiesząc się by znaleźć się u boku Savannah. Była nieruchoma, jej ciało bezwładnie leżało na ziemi. Wziął ją w ramiona, przytulając delikatnie. Rana na gardle krwawiła wolniej. Dotknął jej delikatnie.

-Savannah?

Uniosła powieki, a jej zielone oczy były pełne dezorientacji.

-Williamie, co...

Jej oczy rozszerzyły się, gdy usłyszała warczenie wilka. Pociągnął Savannah na jej nogi.

-Nie wiem Savannah. Nie wiem skąd do cholery on się wziął. Jego wzrok przesuwiał się po niej.

-Wszystko z tobą w porządku?

Skinęła głową, a jej wzrok skupiony był na Geoffrey'u i wilku. Patrzyła jak ostre szpony Geoffrey'a wbijają się głęboko w bok wilka. Zwierzę zawyło z bólu.

-Musimy mu pomóc!

Geoffrey odepchnął zwierzę z dala od siebie i stanął na równych nogach. Wilk drgnął i upadł na ziemię.

-Dość tego!

Geoffrey podniósł ręce i zaczął śpiewać. Błyskawica huknęła i błysła na nocnym niebie.

- Mam mroczne moce, bracie! Ja, nie ty! I użyję ich by cię zabić! Kula ognia pojawiła się nad głową Geoffrey'a.

-Powiedź mi to, bracie...boisz się śmierci?

Płomień poleciał w kierunku Williama.

-Nie!, krzyknęła Savannah i zasłoniła sobą Williama. Jej ciało przylgnęło do jego, gdy upadli na ziemię. Savannah poczuła pocałunek płomieni, które lizały jej skórę.

-Savannah!

William krzyknął jak w gorączce, szybko sprawdzał jej ciało. Wzięła głęboki oddech.

-Nic mi nie jest.

Kolejna kula zaczęła się formować nad Geoffrey'em.

-Tym razem nie spudłuję, obiecał.

William podniósł się. Savannah stanęła obok niego.

-Ja również, przyrzekł.

I zanim oszołomiona Savannah spostrzegła, kula ognia zaczęła kształtować się w jego ręce.

-J...jak...

Geoffrey potrząsnął głową, niedowierzanie było widoczne na jego twarzy.

-T...ty nie możesz! J...ja jestem jedynym, który...

William rzucił ogniem, który uderzył w pierś Geoffrey'a i posłał go na ziemię. Był blisko krawędzi klifu. Tylko kilka metrów, a on spadnie w ciemną noc.

-Wraz z wiekiem przychodzi moc.

Płonący wzrok Williama był skupiony na jego bracie.

-Nie jesteś jedynym, który uczył się mrocznej magii.

Podniósł miecz i ruszył powoli do przodu.

-Teraz, **bracie**, splunął. Powiedz mi, czy boisz się śmierci?

Oczy Geoffrey'a rozszerzyły się. Na twarzy mieszał się strach i wściekłość. Podniósł się. William zaatakował, wymachując mieczem pod ostrym kątem. Miecz wbił się w pierś jego brata. Geoffrey zatoczył się, chwiejąc się na nogach do tyłu. Jego buty zaczęły się ślizgać na końcu klifu. Jego twarz zamarła w szoku. I zaczął spadać w powietrzu, spadać w nicość.

Savannah czekała aż się zmieni, zmieni kształt by wznieść się i ich zaatakować. Zamiast tego, usłyszał jego krzyk.

-Jest zbyt słaby, szepnął William. Nie może powstrzymać upadku.

Nagle krzyk ustał, jakby został zdławiony. Savannah pobiegła do krawędzi urwiska. Jej oczy przeszukiwały na dole skalistą powierzchnię i pieniającą się wodę. I zobaczyła go. Tam, u podstawy klifu, jego ciało leżało wśród roztrzaskanych resztek starego, drewnianego statku. Jego głowa była przekrzywiona, usta otwarte. Jego otwarte oczy patrzyły wprost na nią. Długa drewniana belka z dziobu statku wystawała z jego piersi.

-C...czy on nie żyje?

William nie odpowiedział. Zaciśnął palce na rękojeści miecza i zeskoczył z klifu. W ciągu kilku sekund był przy Geoffrey'u, patrząc na jego nieruchome ciało. Uniósł miecz.

-Żegnaj, bracie.

Ostrze jednym szybkim cięciem przeszło przez gardło Geoffrey'a, oddzielając jego głowę od reszty ciała. William przymknął oczy na ten widok. Miecz spadł na ziemię, w kałużę krwi u jego stóp.

Teraz, to był już koniec. Wrócił do Savannah. Potrzebował jej, potrzebował jej dotyku, który odganiał od niego ciemność. Przerazające zimno przetoczyło się przez niego. Była tam, czekając na krawędzi klifu. Mógł zobaczyć łzy płynące po jej policzku. Przyciągnął ją do siebie, desperacko pragnąc poczuć jej ciało przy swoim.

Zaciągnął się jej delikatnym zapachem i szczelniej owinał ramiona wokół niej. Omal jej nie stracił. Jego ciało zaczęło się trząść.

-William?

Pocałował ją z całym ogniem i rozpaczą, która w nim była. Było tak blisko. Mógł nadal widzieć Geoffrey'a, widzieć jak zanurza zęby w jej delikatnym gardle. Drgnął. Poczł jej palce, lekko głaszczące jego plecy. Kojące go. Uspokajające go.

Wszystko w porządku Williamie. To już koniec.

Czuł jej ciepło napływające do niego.

-Choć my stąd, szepnął.

Chciał opuścić to miejsce i nigdy nie wracać. Skinęła głową i odwrócili się od skał. William zamarł. Czuł coś. Kogoś. Przyglądającego się. Czekającego. Jego wzrok rozpoczął poszukiwania.

-Dokąd poszedł wilk?

Savannah zamrugwała.

-N...nie wiem. Nie patrzyłam...

Pobiegła w kierunku skał, schyliła się lekko dotykając ziemi. Gdy uniosła rękę, jej palce były pokryte krwią.

-Był tu przed chwilą...

A teraz zniknął. Ale William mógł go wyczuć. Wciąż czuł jego wściekłość.

On nas obserwuje.

Savannah wróciła do niego, jej ciało delikatnie przysunęło się do niego.

Dlaczego?

Nie wiedział, ale wszystkie jego zmysły krzyczały do niego aby go ostrzec. Wilk czekał. Ukrywał się w cieniu. I miał zamiar zaatakować. William nie był pewien czy Savannah przetrwa kolejny atak. Była słaba. On wziął od niej krew, a potem Geoffrey się na niej pożywił. Teraz ona potrzebowała się pożywić, by zregenerować swoje siły. Oboje musieli się pożywić. Ale wiedział, że ona nie będzie chciała tego zrobić, będzie walczyć z głodem. Mógłby ją zmusić. Nie mógł ryzykować, że opadnie z sił. Nie kiedy mieli kolejnego zabójcę na głowie.

Chciał iść za wilkiem, by wytropić zwierzę i zabić. Ale najpierw musi zatroszczyć się o Savannah. Ona go potrzebuje. Wziął ją w ramiona, tuląc do siebie mocno. Usłyszał niski ryk i wiedział, że to nie tylko zwykły wilk, który ich śledzi. Czuł mroczną energię tego zwierzęcia. Jego głód.

Trzymaj się z dala od niej.

Wiedział, że stworzenie usłyszy jego ostrzeżenia. William ciałniej owinał ręce wokół Savannah i wystrzelił w powietrze. Wilk ponownie zawył.

* * * *

Zabrał Savannah do karczmy na obrzeżach małej wioski. Wiedział, że wyglądają koszmarnie, ale z pomocą małego przymusu, zmusił karczmarza, by zignorował ich mizerny wygląd i dał im najlepszy, wolny pokój jaki miał, oraz zapewnił Williama, że w oknach są najsilniejsze okiennice.

William zaniósł Savannah na górę, martwiąc się jej bladością. Potrzebowała krwi i to szybko. Zamknął za sobą drzwi i umieścić ją delikatnie na łóżku. Patrzyła na niego, szeroko otwartymi oczami.

-To nie był tylko wilk, prawda?

William potrząsnął głową. Zauważył, że jej ręce drżały.

-Więc co to było?

-Wampir.

Od chwili, gdy zwierzę zaatakowało Geoffrey'a wiedział, że ma do czynienia z jednym ze swojego gatunku. Savannah skinęła głową.

-Tak myślałam.

Przełknęła i przechyliła głowę.

-Dlaczego zaatakował Geoffrey'a?

-Nie wiem. Geoffrey poświęcił całe swoje życie na ranieniu innych. Może zrobił coś wampirowi, zranił go, albo kogoś na kim mu zależało.

Oparła się plecami o poduszkę, a zmęczenie było widoczne w każdej części jej ciała.

-Geoffrey skrzywdził tak wielu ludzi.

Przykrył ją kołdrą.

-Ale nie skrzywdzi już nikogo więcej.

Chwyciła go za rękę.

-Dziękuję Williamie.

Usztywnił się. Przeszedł go głód, spowodowany jej delikatnym dotykiem.

-Za co?

-Za zakończenie mojego koszmaru.

Wziął głęboki oddech. Jej słabość ponownie uderzyła w niego.

-Odpocznij teraz. Po prostu zamknij oczy i odpocznij.

Zmarszczyła brwi i poruszyła się niespokojnie na łóżku.

-Wychodzisz?

-Tylko na chwilę.

Potrząsnęła głową.

-Nie! Nie zostawiaj mnie.

-Śpij Savannah.

Wykorzystał przymus. Normalnie by na nią nie podziałał, ale w jej osłabionym stanie, nie byłaby w stanie z nim walczyć. Powieki opadły, a jej ciało rozluźniło się. Nie mógł zbyt daleko się oddalić.

Nie przy bliskiej obecności innego wampira. Musi znaleźć pożywienie, szybko i powrócić do Savannah. Mógł wykorzystać, któregoś z pracowników karczmy. Pokojówkę albo gońca. Musi być szybki. Savannah musi się napić. I nie jest wystarczająco silna, by na własną rękę zdobyć krew. Pobiegnął do drzwi. Z każdą kolejną sekundą jej siły słabły. I z wilkiem gdzieś tam, w pobliżu nie mogła sobie pozwolić na słabość. Nawet na chwilę.

* * * *

-Savannah. Obudź się Savannah.

Usłyszała jego głos, który wołał ją cicho. Chciała otworzyć oczy, ale po prostu czuła się tak zmęczona. Chciała spać, tylko spać.

-Nie możesz spać. Musisz otworzyć oczy.

Znała ten głos. William. Uśmiechnęła się.

-Tak, to ja. I chcę, żebyś na mnie spojrzała. Możesz to zrobić?

Skoncentrowała się, zbierając swoje siły. William jej potrzebował. Koncentrując swoją energię, otworzyła oczy. William spojrzał na nią intensywnie czarnymi oczami. Kosmyk jego włosów wymknął się i opadł na czoło.

Ten czarny lok dał mu wyraz dziwnej łagodności, wyglądał niemal chłopięco. Podniosła rękę, chcąc go dotknąć. Złapał ją za rękę, przysuwając ją do swoich ust. Pocałował jej dłoń, a jego oddech rozgrzał jej chłodną skórę.

-Zmusiłeś mnie do snu.

Jej ton był oskarżający.

-Przepraszam.

Choć wcale nie brzmiało tak jakby naprawdę żałował.

-Czuję się tak słabo.

Chciała usiąść, ale znowu opadła na łóżko.

-Co jest ze mną nie tak?

Odgarnął delikatnie jej włosy na bok.

-Straciłaś zbyt dużo krwi. Twoje ciało jest słabe. Jeśli szybko nie dostaniesz krwi...

Potrząsnął głową.

-Musisz się napić Savannah. Nie ma innego wyjścia.

Wiedziała, że miał rację. Mogła poczuć głód, który ją ogarniał. Potrzeba. Ale była tak zmęczona. William pochylił się i pocałował ją delikatnie.

-Napij się ode mnie, wyszeptał w jej usta. Napij się ode mnie.

Przesunął się tak, że jego szyja znalazła się przy niej. Czowała jak jej dziąsła płoną, swędzą. Widziała jak jego puls uderz, pulsuje na jego gardle.

-Nie chcę cię skrzywdzić, szepnęła, walcząc z potrzebą, która w niej rosła, potrzeba która zmuszała ją do wbicia się zębami w jego gardło i picia.

-Ty też jesteś słaby, Geoffrey cię zranił. Tam było tyle krwi...

-Pożywiłem się. Nie martw się o mnie.

Zmarszczyła brwi. To dlatego zmusił ją do snu.

-Nikogo nie skrzywdziłem. Właściciel nawet nie pamięta, uh...że mi pomógł.

Słyszała lekki śmiech w jego głosie.

-Teraz choć Savannah. Pij.

Przełknęła. Chciała tego. Rozpaczliwie chciał skosztować jego smaku, ale część niej, nadal buntowała się przeciwko gryzieniu go i picciu jego krwi. Poczwała jak westchnął.

-Obawiałem się tego, powiedział. Wygląda na to, że musimy spróbować czegoś innego.

Chwycił przód jej koszulki i rozerwał materiał na strzępy. Sapnęła, a jej oczy rozszerzyły się. Jego ręka przesunęła się na jej piersi, pieszcząc je.

-Pożądanie, pamiętasz? Fizyczne pragnienie i mroczny głód związane razem. Po prostu sprawię, że...zgłodniejesz...na tyle by napić się ze mnie.

Tak, pamiętała. Wygięła się w łuk pod jego dotykiem, przepłynęło przez nią gorące pożądanie. Opuścił głowę, a jego usta zamknęły się wokół jej bolącego sutka. Lizał ją, ssał lekko. Czowała ciepło tworzące się w jej podbrzuszu. Jego palce przesunęły się po krzywiznie jej brzucha, a jego usta nadal karmiły się jej piersiami.

Usłyszała zgrzyt zamka i poczuła jak jego ręka wsuwa się pod jej spodnie. Gładził ją delikatnie przez materiał jej majteczek. Uniosła

biodra, chętnie odpowiadając na jego dotyk. I poczuła jak jej głód wzrasta.

-Tak dobrze cię czuć. Tak cholernie dobrze.

Zerwał z niej spodnie i zsunął w dół majteczki. Jego wzrok napotkał jej.

-Jeśli ty nie chcesz skosztować mnie, zgaduję, że ja będę zmuszony posmakować ciebie.

Następnie, zanim mogła wydać choć szmer protestu, opuścił swoją ciemną głowę i zaczął ją całować, jego język lizał najbardziej intymną część jej ciała. Jej ciało napięło się i trzęsło z ogarniającej ją przyjemnością. Zapomniała o swoim wyczerpaniu. Zapomniała o strachu.

Po prostu czuła. Jego. Ogień. Pragnienie. Pożądanie. Głód. Poruszyła biodrami, unosząc je gorączkowo. Napięcie w niej wzrastało, wznosząc się wyżej, mocniej. Jęknęła, rzucając głową na poduszce.

-William!

Jego język drażnił ją. Zataczał koła. Pocierał. Zacisnęła zęby, gdy jego palce dokuczały jej piersią, pocierając i szczypiąc jej sutki. Mogła poczuć jej zbliżający się orgazm, narastający szczyt. Blisko. Tak blisko...

William odsunął się i popatrzył na nią. Miał napiętą twarz. Pożądanie było wyrażone każdą twardą linią jego ciała.

-Czego chcesz Savannah?

Jego głos był gardłowy. Spojrzała na niego.

-Ciebie, szepnęła. Chcę ciebie. ***I zawsze będę chciała.***

Zdjął spodnie i umieścił się między jej udami. Czuła go, poczuła czubek jego męskości naciskającej na jej wilgotne wejście.

-Więc weź mnie.

Pchnął głęboko. Głód ją pochłonał, pozbawiając ją kontroli. Wsuwał się w nią, znowu i znowu. Podniósł jej nogi wyżej, owijając je wokół pasa i zmuszając ją by przyjęła go głębiej. Całego. Głębiej. Mocniej. Jej zęby płonęły. Chciał go. Chciała go posmakować. Musiał go spróbować.

-Zrób to, warknął. Zrób to!

Zatopiła zęby w jego szyi. Zatrząsał się, wbijając się głęboko w jej ciało. Jej usta poruszały się delikatnie na jego skórze, pijąc jego esencję i napierając biodrami na niego. Popchnął ją głębiej w materac. Podniósł jej nogi wyżej. Krzyknęła, gdy szarpnął nią orgazm. William nadal się poruszał, jego ciało było zamknięte w niej.

Jego szczeka była zaciśnięta. Zesztywniał i jej imię wypłynęło z jego ust. Trząsał się, jego nasienie wlewało się w nią, a jego oczy były zamknięte. Przez chwilę, naprawdę czuła jego przyjemność, czuła siłę jego wyzwolenia, która przetoczyła się przez niego. Sapnęła, oszołomiona uczuciami, który się w niej pojawiły.

Trzymała mocno Williama, jej serce biło mocno. I szept przetoczyły się przez jej umysł.

Kocham cię.

Jej serce zamarło. Czy ta myśl była jej własną...czy Williama?

* * * *

Wilk krążył wokół karczmy. Wiedział, że się kochali. Mógł to wyczuć, poczuć to w powietrzu. Mógł pozwolić Williamowi na ten czas z kobietą. Czekał wieki na Mrocznego. Mógł poczekać parę godzin. Zawył, dźwięk ten przeciął ciszę nocy.

* * * *

William spał się. Usłyszał wycie. I brzmiało blisko. Zbyt cholernie blisko. Odsunął się od Savannah, od jej kuszącego ciepła i delikatnych rąk.

-Jest tam. Cholerny drań jest tam na zewnątrz!

Savannah usiadła, skrywając swoje piersi za prześcieradłem. Policzki nie były już blade, ale pełne koloru i zdrowia. Jej szmaragdowe oczy błyszczały jak klejnoty.

-Dlaczego nas śledzi?

William ubrał się szybko.

- Nie wiem. Ale mam zamiar to sprawdzić.

Savannah zerwała się.

-Nie beze mnie!

William zacisnął zęby.

-Stawiłaś czoła wystarczającemu zagrożeniu tej nocy. Zostań tutaj.

Potrząsnęła głową.

-Nie ma mowy. Nie będę tu siedzieć, gdy tu pójdziesz się zmierzyć z tym...z tym czymś! Już prawie raz cię straciłam tej nocy!

Wzięła głęboki oddech.

-Gdy Geoffrey cię postrzelił, gdy zobaczyłam całą tą krew, pomyślałam, pomyślałam...

William pociągnął ją w ramiona. Czuł jak drżało jej ciało.

-Już w porządku, Savannah. Już dobrze.

-Mogłeś umrzeć, szepnęła zamykając oczy. Mogłeś się wykrwawić. Na tym cholernym urwisku!

Uniósł jej podbródek. Otworzyła oczy.

-Ale nie umarłem. Ty mnie uratowałaś.

Podniósł jej rękę, całując słabe ślady po ugryzieniu.

-Dałaś mi swoją krew. Dałaś mi życie.

-I zrobiłabym to jeszcze raz, powiedziała i mógł zobaczyć prawdę tego stwierdzenia w jej błyszczących oczach.

-Nie zasługuję na Ciebie, szepnął. Jesteś zbyt dobra...

Odsunęła się i położyła palec na jego ustach.

-Przestań. Nie jestem idealna.

Roześmiała się cicho.

-Daleko mi do doskonałości i ty ze wszystkich ludzi powinieneś o tym wiedzieć.

Ale ona była doskonała. Łagodna. Silna. Piękna.

-Chcę, abyś była bezpieczna, powiedział do niej. Naraziłem cię już wystarczająco. Zostań tu, a ja znajdę wampira tak szybko jak...

-Że co proszę? Zaatakujesz go na własną rękę?

Potrząsnęła głową.

-Już ci powiedziałam, nie. Nie ma mowy, żebyś wyszedł stąd beze mnie.

-Dobrze, ale masz trzymać się blisko mnie, rozkazał. Czułem jego siłę. Jest starożytny, tak samo stary jak ja. Nie chcę dać mu okazji do zranienia ciebie.

-Nie zrani mnie.

Zmarszczyła brwi.

-Po prostu nie rozumiem tylko, dlaczego za nami podąża. Widać był, że był wrogiem Geoffrey'a. Próbował zabić Geoffrey'a! Mogłam wyczuć jego nienawiść, jego wściekłość.

Tak, wampir był pełen nienawiści i oślepiającej wściekłości. Obie wydawały się być skierowane na Geoffrey'a. W rzeczywistości, wydawało się, że stworzenie prawie nie zwracało uwagi na ich obecność.

-Nie rozumiem, Savannah rozważała. Dlaczego teraz chce zaatakować nas?

-Nie wiem.

Jego oczy rozbłysły czerwienią.

-Ale mam zamiar się tego dowiedzieć.

Rozdział 17

Już się nie boję.

-Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 30 Grudnia 1068.

Savannah czuł jego wzrok na sobie. Milczący. Czujny. Mogła poczuć wampira, ale nie zobaczyć. Ukrywał się w cieniu, ukrywał się w nocy.

Ja też go czuję. Jest blisko. Bardzo blisko.

Savannah spojrzała szybko na kamienną twarz Williama. Przeszukali wioskę, przechodzą przez wszystkie ulice i alejki, ale nie znaleźli tajemniczego wampira.

Dlaczego nie atakował? Na co czekał?

Usłyszała szelest liści, powiew wiatru odbijający się od kamiennych murów.

Czeka na odpowiedni czas, odpowiedział William. Czeka na idealny moment.

Dwóch pijanych nastolatków wyszło z domu, śmiejąc się i rozmawiając głośno. Zobaczyli Williama, zamarli, a w ich oczach pojawił się strach.

-Idźcie, rozkazał jednym ruchem ręki. Wynoście się stąd. Teraz. Uciekli.

-Głupcy, mruknął.

Savannah zignorowała chłopców, gdy tylko ją minęli. Szła w dół ulicy, przeszukując wzrokiem cień. Księżyc wisiał ciężko na niebie. Za kilka godzin wszędzie słońce. Jej ciało było zdrętwiałe z wyczerpania. Krew którą wzięła od Williama uleczyła rany, ale teraz czuła ogromne zmęczenie. Chciała po prostu zamknąć oczy i zasnąć by móc śnić. Nie chciała zobaczyć kolejnych wizji śmierci, bólu i przerażenia. Nie chciała kolejnego koszmaru. Chciała po prostu marzyć.

-I o czym będziesz marzyć, moja droga?

Jego głos szeptał z ciemności. Savannah zeszywniała. Była nieostrożna, ze względu na wyczerpanie, a teraz stał przed nią, jego oczy błyszczały czerwienią, kły były białe i ostre.

Williamie. On jest tutaj!

Uśmiechnął się, robiąc krok do przodu w oświetloną część ulicy. Był wysoki, miał umięśnione i silne ramiona. Miał blond włosy, które kręciły się lekko wokół jego głowy. Wyglądał jak anioł. Upadły anioł.

-Kim jesteś?, zapytała Savannah odważnie patrząc mu w oczy. Zamrugał. Czerwień jego oczu zastąpił błękit.

-Ja pierwszy zadałem pytanie.

-Savannah!

William znalazł się obok niej w jednej chwili. Palce zamknął wokół jej ramienia. Obcy wyprostował się.

-Dobry Boże...

William wyglądał, jakby właśnie zobaczył ducha. Czują jak jego palce na jej ramieniu drżały. Savannah nagle zrozumiała. William rozpoznał wampira, ale czy jako przyjaciela...czy wroga? Savannah nie zamierzała ryzykować. Szybko rozejrzała się po ciemnej ulicy. Co mogła by...Tam!

Stary, drewniany szyld, Znajdował się zaledwie o krok. Złapała go, łamiąc w szybkim ruchu o kolano. Palce zacisnęła na najdłuższym i najostrzejszym kawałku. Nie przypominało to broni, ale mogła to wykorzystać. Wyszła przed Williama i uniosła prowizoryczny kołek.

-Nie wiem kim jesteś, ale...

-To mój brat, powiedział pustym głosem William.

Savannah zamrugała. Ilu braci Williama mogło biegać po wiosce? Wampir uśmiechnął się.

-Minęło tak dużo czasu.

Zrobił krok do przodu. Savannah doskoczyła do niego, przykładając kołek przy jego sercu. Zastygł. Kołek był zaledwie o cal od jego ciała.

-Nie ruszaj się, rozkazała miękko głosem.

-Savannah.

William wciąż brzmiał na wstrząśniętego.

-W porządku. On nie jest zagrożeniem dla nas.

Jesteś pewien?

Nie wykonała, żadnego ruchu by opuścić broń.

-Nigdy bym nie skrzywdził Williama. To mój brat!

Wampir wydała się być urażony.

-Tak, cóż, Geoffrey też był jego bratem i poświęcił całe życie na ranienie Williama i wszystkich, których tylko zdołał.

-Wiem, powiedział cicho. Zostawił mnie na pewną śmierć wieki temu.

Zostawił go na pewną śmierć? Czy to może być...? Nie, niemożliwie. Henry nie żyje, prawda?

-Nie, jestem całkiem żywy.

Savannah zmrużyła oczy. Nie lubiła, gdy William czytał w jej myślach. I jak cholera nie życzyła sobie by ktoś obcy wskakiwał do jej głowy.

-I w jaki, dokładnie sposób przeżyłeś?

Nie była jeszcze w stanie zaufać temu facetowi, jeszcze nie. Nie zamierzała ryzykować życia Williama. Spojrzał na niego.

-Miałem nadzieję, że ty na to odpowiesz.

-Co?

Henryk wzruszył ramionami.

-Nie pamiętam zbyt wiele z tych piekielnych dni przed moją transformacją. Pamiętam ból, krew. Ale cholera nic więcej. Ostatnie, co pamiętam..., że zostałem zaatakowany.

Zacisnął zęby.

-Geoffrey, ten drań, wszedł do wieży. Myślałem, że był tam aby mi pomóc, aby mnie uwolnić. Wtedy zobaczyłem miecz Guy'a. Widziałem krew kapiącą jeszcze z ostrza i wiedziałem, że przyszedł by mnie zabić.

-Ale dlaczego? Dlaczego miałby cię zaatakować?

William potrząsnął głową.

-Byłeś jedynym, o którego wydawał się troszczyć!

-Chodziło mu o władzę, o siłę. Ale on nie dbał o mnie. On nie dbał o nikogo.

Ponure słowa wypowiedziane ze złością odkryły prawdę.

-Co się stało po ataku?, zapytała Savannah, nie opuszczając kołka.

-Starłem się wytrzymać. Wiedziałem, że William przyjdzie. Dał mi słowo. William zawsze dotrzymuje słowa.

Tak, to prawda, pomyślała Savannah. Obiecał jej zemstę i dotrzymał obietnicy, choć prawie kosztowało to życie Williama.

-Pamiętam, że widziałem ciebie, powiedział, patrząc na Williama. Przyszedłeś do wieży. Powiedziałeś mi żebym walczył, żebym się trzymał. Ale potem usłyszałem żołnierzy...

Wziął głęboki oddech.

-Widziałem, jak cię otoczyli. Było ich co najmniej kilkunastu. Staralem się ci pomóc. Uwierz mi, próbowałem! Ale byłem słaby, zbyt słaby. I jeden z nich przebił mnie mieczem.

Jego opowieść była zgodna z Williama. Savannah obniżyła kołek.

-Następną rzeczą jaką pamiętam to przebudzenie się w jaskini. Nie wiem ile czasu minęło. Może to był dni lub nawet tygodnie. Nie wiem jak się tam dostałem. Nie wiedziałem czy jesteś żywy czy martwy.

-Nigdy bym cię tam nie zostawił, gdybym wiedział!
Oczy Williama płonęły.

-Byłem z tobą w tej jaskini przez parę godzin, modląc się abyś się obudził. Ale nie poruszyłeś się. Myślałem, że czekałem zbyt długo, że przemiana się nie powiodła.

Złagodniał.

-Że cię zabiłem.

-Nie bracie. Nie zabiłeś mnie. Uratowałeś mnie.
Mogła poczuć ból Williama. Usłyszeć go w jego głosie, gdy powiedział:

-Byłeś sam. Musiałeś się nauczyć jak przetrwać na własną rękę.
Henry uniósł brew.

-Tak jak ty.

-Miałem cię chronić, szepnął William. A ja po prostu cię zostawiłem...

-Nie!

Zrobił krok do przodu.

-Czy myślisz, że nie wiem co zrobiłeś? Odszukałeś wampira by uratować moje życie. Wiedziałem co się stanie, gdy go znajdziesz. Wiedziałem jaką cenę zapłacisz. Ale i tak to zrobiłeś. Wymieniłeś swoje życie za moje.

-Nie mogłem po prostu stać i pozwolić by Guy cię torturował.
William zacisnął pięści.

-Zawsze się mną opiekowałeś Williamie. Nawet wtedy, gdy byłem małym chłopcem, wiedziałem, że zawsze mogę na ciebie liczyć.

-Zostawiłem cię samego, jęknął William. Na dziewięćset lat...

-Szukałem ciebie, przyznał Henry. Nie miałem stuprocentowej pewności, że żyjesz. Ostatnim wspomnieniem o tobie było to, że otoczyli cię rycerze. Nie wiedziałem, czy cię zabili, czy też przeżyłeś. Miałem nadzieję, że przeżyłeś. I ta nadzieja podtrzymywała mnie przez wszystkie te mroczne noce.

-Wyjechałem z Francji, przyznał William. Chciałem uciec od całej tej krwi i śmierci, która zdawała się mnie otaczać.

Chciał uciec od swojej przeszłości, pomyślała Savannah. Chciał rozpocząć na nowo swoje życie.

-Ale Geoffrey podążył za tobą i zaczął zabijać, powiedziała Savannah. I zdałeś sobie sprawę, że nie zdołasz od niego uciec.

-Nie, nie mogłem uciec od Geoffrey'a. Więc zacząłem na niego polować. Chciałem doprowadzić ten koszmar do końca. Chciałem powstrzymać kolejne morderstwa.

Pokręcił głową ze smutkiem.

-Ale zawsze mi się wymykał...

I zostawiał dla Williama krwawe ślady.

-Też go tropiłem, powiedział Henry. Zaatakował mnie. Chciałem, żeby za to zapłacił. I kiedy zobaczyłem go na skałach...

Jego oczy błysnęły czerwienią.

-Chciałem go zabić. Chciałem by zapłacił za wszystko co mi zrobił. Za wszystkie niewinne życia, które odebrał. Za wszystkie życia, które zniszczył.

-To już koniec.

Savannah odrzuciła kołek i splótła swoje palce z palcami Williama.

-On nie może już nas skrzywdzić. Nie może nikogo skrzywdzić. Koszmar nareszcie się skończył.

Dwóch mężczyzn patrzyło na siebie. Obaj byli wysocy, silni, ale Savannah wyczuła ich strach. Obydwaj wycierpieli tyle bólu, przeszli tragedię. Nadszedł czas na zaleczenie ran z przeszłości. Nadszedł czas na nowy początek. Jej prawą rękę trzymał William. Wysunęła lewą do Henry'ego.

- Nazywam się Savannah Daniels. Miło cię poznać, Henry de Montfort.

Mrugnął, patrząc na jej rękę. Jego palce lekko zamknęły się na jej dłoni. Uśmiechnęła się.

-Czuję się tak jakbym cię już znała, szepnęła.
Zmarszczył brwi.

-Czytałam twój pamiętnik.
Obejrzała się na William.

-Właściwie to twój pamiętnik doprowadził mnie do Williama.
Mogła sobie przypomnieć jak była przerażona przed pierwszym spotkaniem. A potem zobaczyła Williama.

-Można więc powiedzieć, że jestem twoją dłużniczką.

-Nie. Zwróciłaś mi mojego brata. To ja jestem twoim dłużnikiem.

-Nie mogę uwierzyć..., powiedział William i obiał Henry'ego.

Savannah czuła jak jej oczy wypełniają się łzami. William był sam przez tak długi czas. Przemierzając samotnie ziemię. Zawsze sam. Już nigdy nie będzie samotny.

-To było zbyt długo, powiedział Henry.
William cofnął się.

-Tak.

-Jestem pewna chłopaki, że macie sporo do nadrobienia.
Savannah pomyślała o dziewięciuset latach nie wypowiedzianych słów. Może powinna dać im trochę prywatności.

Nie. Zostań ze mną.

Pogładziła Williama lekko po ramieniu.

-Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie możemy się udać? Miejsce, gdzie możemy porozmawiać?

Henry powiedział szybko:

-Mam domek w pobliżu. Jest bezpieczny. Możemy iść tam.

William skinął głową.

-Pokaż nam drogę, mruknęła Savannah.

* * * *

-Więc to twoja kobieta?

William odwrócił wzrok od ognia i spojrzał na swojego brata Henry'ego. To nadal nie wydawało się prawdziwe. Henry żył. Wyglądał tak samo. Te same blond włosy. Te same jasne, błękitne oczy. Ten sam powolny uśmiech. Ale William mógł wyczuć zmianę jaka zaszła w jego bracie. Czuł echa bólu. Wściekłości. Mógł też

wyczuć siłę Henry'ego. Jego moc. Henry nie potrzebował teraz już nikogo by go chronił.

-Tak, Henry mruknął, czytając jego myśli. Mogę się sam obronić.

Jego usta wykrzywiły się w uśmiechu, ukazując czubki kłów.

-Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie, bracie. Czy ona jest twoją kobietą?

Savannah wymknęła z pokoju przed chwilą. Musiała wyczuć nadchodzący wschód słońca i poszła się przygotować do zbliżającego się snu. Jak w górskim domu Williama, domek był wyposażony w podziemne pokoje i tunele. Henry poprosił ich by się tu zatrzymali i przespali w jednym z wielu pokoi. William wiedział, że Savannah wyszła aby dać mu kilka chwil sam na sam z Henry'm, i że będzie czekała na niego, gdy on wrócił do pokoju. Czekała na niego z jej łagodnym uśmiechem i tajemniczymi oczami.

-Po raz pierwszy, gdy się spotkaliśmy, przypomniał sobie, poprosiła mnie, żebym ją zabił.

-Co?

-Geoffrey zabił jej brata i szwagierkę. I prześladował ją. Chciała znaleźć Geoffrey'a by z nim walczyć.

Westchnął, wspominając swoje pierwsze spotkanie z Savannah.

-Była umierająca. I wiedziała, że nie jest wystarczająco silna, aby pokonać Geoffrey'a na własną rękę.

-Więc odnalazła ciebie.

Henry gwizdnął cicho.

-Jest odważna, prawda?

Przesunął lekko po klatce piersiowej, jakby nadal czuł kołek, który przytknęła do jego serca. William wygiął usta.

-Jest najdzielniejszą kobietą jaką kiedykolwiek spotkałem.

-Więc jest twoja kobieta.

Jego uśmiech zniknął.

-Nie. Zmusiłem ją by ze mną została. Powiedziałem jej, że zmienię ją tylko wtedy, gdy obieca mi, że zostanie moja towarzyszką.

Henry znieruchomiał.

-To do ciebie nie podobne.

-Wiem. Ale tak bardzo jej pragnąłem, że powiedziałbym i zrobiłbym cokolwiek, aby ją mieć.

Sprzedalby duszę za chwilę w jej ramionach.

-Ty ją kochasz.

William zamrugął.

-Oczywiście.

Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Kochał ją od chwili, gdy otworzył drzwi i zobaczył ją stojącą w progu.

-Ale muszę pozwolić jej odejść.

-Co?

-Muszę pozwolić jej odejść.

William mógł poczuć ból, który przeszedł przez jego ciało na myśl o życiu bez niej. Ale nie miał wyboru.

- Nie mogę jej zmusić by ze mną została.

Zbyt mocno ją kochał.

-Geoffrey prawie ją zniszczył. Teraz go nie ma. Może rozpocząć swoje życie na nowo. Może być szczęśliwa.

-A nie sądzisz, że ona chce być z tobą?

Jego serce zabiło.

-Marzę, żeby chciała.

Zacisnął dłonie.

-Ale dlaczego miała by chcieć?

-Może dlatego, że ona też cię kocha?

Przez chwilę wypełniła go nadzieja. Potem zamknął oczy. Nie, Savannah go nie kochała. Nie mogła go kochać. Geoffrey uczynił z jej życia piekło, a on traktował ją tylko trochę lepiej. Nigdy nie powinien jej zmuszać do tej śmiesznej umowy. Ale po prostu on jej tak bardzo pragnął...

-Ona troszczy się o ciebie, bracie. Kiedy patrzy na ciebie, widzę to w jej oczach.

-Jest mi wdzięczna, mruknął.

Nie chciał jej wdzięczność. Chciał jej miłość.

-Powiesz jej o swoich uczuciach?

Zrobi to? Czy się na to odważy? To było prawie śmieszne, naprawdę. Był nieśmiertelny, z ogromną siłą fizyczną i psychiczną, ale bał się powiedzieć jednej, małej kobiecie co do niej czuje.

-Słońce wstaje. Powinniśmy udać się na spoczynek.

Henry wstał i przeszedł przez pokój. Zatrzymał się w progu i odwrócił do Williama.

-Powiedz jej. Nie pozwól jej odejść z twojego życia, nie mówiąc jej co czujesz. Będziesz żałował, jeśli tego nie zrobisz.

William zmarszczył brwi.

-Mówisz z własnego doświadczenia?

Spojrzał na niego i uśmiechnął się smutno.

-Byłem sam od dnia w jaskini. Nie wiem nawet czy umiem pokochać kobietę. Moje serce wydaje się martwe. Jest takie od dziewięciuset lat. Ale powiem ci, że gdyby kobieta tak na mnie patrzyła jak twoja Savannah patrzy na ciebie...

Wziął głęboki oddech.

-W żadnym razie nie pozwoliłbym jej odejść z mojego życia. Zrobiłbym wszystko co się da by zatrzymać ją przy mnie, na zawsze.

Wyszedł z pokoju.

* * * *

Śniła o Williamie. Szli w świetle księżyca, mieli splecione ręce. Byli na plaży, w zasięgu wzroku niekończący się piasek. Fale delikatnie uderzały o brzeg, lekko pieszcząc jej stopy.

-Tak tu pięknie, szepnęła, czując dziwny spokój.

William zatrzymał się i odwrócił się do niej.

-Tak pięknie.

Zadrżała, czując, że mówił o niej, a nie o pięknie ziemi i morza. Podniósł rękę i pogłaskał ją po policzku. Jego oczy wyglądały tak niesamowicie smutno.

-Co się stało?

Jego twarz była napięta.

-Nie możemy tu zostać.

-Dlaczego nie?

Wszystko było tak idealne. Chciała tu zostać na zawsze. Z Williamem.

-Nie mogę tu zostać.

Wziął głęboki oddech.

-Nie należę tutaj. Nie należę do ciebie.

O czym on mówił? Jej serce zabiło ze strachu.

-Oczywiście, że tak! Należymy do siebie! Zawarliśmy...

Uśmiechnął się i położył rękę na jej sercu.

-Koszmar się skończył. Jesteś wolna.

Zaczął znikać.

-Nie!

Złapała go i tylko na chwilę, jej palce zdawały się przechodzić przez jego ciało.

-Nie! Nie możesz mnie zostawić!

Jego ciało drżało.

-Pocałuj mnie jeszcze raz, błagał. Jeszcze raz tak, żebym mógł zapamiętać...

Fale uderzające o brzeg stały się coraz głośniejsze. Zalewały jej stopy. Chmury pokryły księżyc, wszystkie gwiazdy, obejmując całe nocne niebo. Złapała Williama, trzymając go z całej siły. Nie zamierzała go wypuścić. Pocałowała go. I on rozpułynał się.

* * * *

-William!

Krzyknęła jego imię, z pierwszym oddechem, który zaczerpnęła. Spojrzała po pokoju, przerażona, że już go nie będzie. Ale był tam, stojąc, półnagi, obok łóżka, jego czarny wzrok był intensywny. Ulga przetoczyła się przez nią. Zerwała się z łóżka, owijając swoje ręce wokół niego. Był tak ciepły, tak realny. Jego ręce przyciągnęły ją bliżej, przyciskając do jego klatki piersiowej. Jej strach zniknął. Była z Williamem. Byli razem, tak jak mieli być.

-Śniłam o tobie, szepnęła cicho.

Czy to był sen? Czy koszmar?

-Na początku było tak idealnie. A potem zniknąłeś. Zostawiłeś mnie, a ja zostałam sama na bezludnej plaży.

Czuła jak zeszywniał przy niej. Uniósł ręce i odsunął się od niej. Zmarszczyła brwi.

-Williamie?

Jego wzrok przesuwał się po niej powoli, jakby starał się ją zapamiętać.

-Jesteś tak piękna, jego głos był pełen czci.

Ogarnęło ją przerażenie. Dlaczego to brzmiało jakby on się z nią żegnał? Przysunęła usta do jego, potrzebując jego pocałunku, jego pasji, by odgonić strach, który się w niej zagnieździł.

-Kochaj się ze mną.

Zobaczyła wewnętrzną walkę na jego twarzy. Było widać ból i głód.

-Williamie?

Jeszcze jeden raz...

Ta myśl przebiegła przez jej umysł. Wspomnienie ze snu? William pchnął ją z powrotem na łóżku, jego ciało przyparło ją do materaca i nie mogła już myśleć o niczym więcej. Jego usta karmiły się jej, a jego język pieścił jej wargi. Jego ręce wędrowały po niej, pieszcząc jej brzuch, jej piersi.

Szarpnął jej koszulkę przez głowę, rzucając ją przez pokój. Opuścił głowę i mogła poczuć jego gorący oddech na swojej skórze. Potem poczuła jego usta. Smakujące, ssące ciało, które było dla niego dostępne. Jej sutki naprężyły się, tworząc wrażliwe szczyty. Lizał je, przesuwając językiem wokół jednego sutka, by potem przenieść tę szczególną uwagę na drugi.

Jej palce zsunęły się na jego plecy, a paznokcie lekko drapały na nich skórę. Wygięła się w łuk pod jego dotykiem, napierając na jego biodra.

-Dlaczego nie mogę się tobą nasycić?, wyszeptał. Potrzebuję cię. Jestem ciębie zgłodniały...

Pocałował ją ponownie, jego język wsunął się głęboko w jej usta. Jego palce wśliznęły się pod jej elastyczną bieliznę. Dotknął ją delikatnie, a jego palce zwiększyły jej głód. Przesunęła językiem po jego sutku, przygryzając go mocniej. Lizała go, przesuwając delikatnie językiem, po jego wrażliwej skórze. Usłyszał jak szybko wciągnął powietrze.

Potem szarpnął jej majtki w dół, pozbywając się przeszkody na jego drodze.

-Nie mogę czekać, warknął. Wybacz mi, nie mogę!

Rozpiął swoje dzinsy. Zobaczyła jego pobudzenie. Silne. Gorące. Twarde. Nie, nie mógł czekać. Ona również nie. Rozsunęła swoje uda, poruszając się tak, by mu wszystko ułatwić. Mogła poczuć główkę jego erekcji naciskającą na nią. Uniosła biodra, drażniąc go swoim ciepłem. Warknął i pchnął mocno.

Savannah dyszała, przyjemność uderzała w nią. Mogła poczuć jak zbliża się jej szczyt, pędził ku niej i owinęła ciaśniej nogi wokół niego, wysuwając swoje biodra na spotkanie jego głębokich pchnięć.

Jego usta były zachłanne na jej piersiach, liżąc je, gryząc je. Jego palce zsunęły się na miedziane włoski u zbiegu jej ud. Potarł ją delikatnie. I pchnął głęboko. Mocno.

Krzyknęła, orgazm ją wyzwolił. Ogień rozlał się w jej ciele, fala ekstazy wlała się do jej krwi. Ręce Williama zacisnęły się na niej, trzymając ją mocno. Pchnął ponownie. Głębiej. Mocniej. Widziała krawędzie jego kłów. Widziała czerwone płomienie w jego oczach.

-Savannah!

Poczuła jak osiągnął swoje spełnienie. Zadrżała, gdy kolejny orgazm przeszył jej ciało. Trzymali się mocno, dążąc do wspólnej przyjemności.

Czuła jak jego serce biło przy niej, czuła ogień jego ciała, który przenikał jej ciało. I wtedy jej instynkt powiedział jej, że była bliżej niego niż kiedykolwiek wcześniej. Ich połączenie psychiczne pozwoliło jej usłyszeć jego prawdziwe myśli. Wciągnęła oddech. Ogarnął ją niesamowity ból. Odepchnęła jego ramiona i wyśliznęła się z pod jego ciała.

-Ty draniu! Planujesz mnie zostawić!

Rozdział 18

Już nie oplakuję tego co mogłoby być.

-Zapis z pamiętnika Henry'ego de Montfort, 31 Grudnia 1068.

-Savannah!

William próbował ją chwycić, lecz wywinęła się i wyskoczyła z łóżka. Jej ciało wciąż było wrażliwe od jego dotyku. Ale jej serce zostało złamane przez jego myśli. Owinęła ciało prześcieradłem i skierowała na niego wściekłe spojrzenie.

-Słyszałam twoje myśli! Wiem, co masz zamiar zrobić!

Ból odbił się na jego twarzy, a on sięgnął po nią.

-Nie!

Odskoczyła, potrząsając głową z wściekłością.

- Nie dotykaj mnie!

Mogła by się rozpaść gdyby to zrobił. Rozpaść się na tysiące kawałków.

-Po prostu się ubierz.

Nie mogła stać i patrzeć na niesamowite piękno jego ciała. To było by jak wymierzony jej policzek. Zacisnął zęby, ale chwycił swoje spodnie i włożył je szybkim, szorstkim ruchem.

-Ty nic nie rozumiesz...

-Co tu jest do rozumienia?

Czuła się jak idiotka. Totalna idiotka.

-Chciałeś jeszcze jednej rundki seksu przed wykopaniem mnie ze swojego życia. Myślę, że całkiem nieźle to zrozumiałam.

Chciała płakać, krzyczeć z bólu, który ją rozrywał. Tyle razem przeszli. Tak dużo. Jak on może jej to robić? Zamknął oczy. Zacisnął szczękę.

-Wiedziałem, że powinienem wyjść zanim się obudzisz. Ale zbyt bardzo cię pragnąłem.

Smutny uśmiech wykrzywił mu usta.

-Chciałem cię zobaczyć. Zobaczyć twoje oczy, twój uśmiech, choć jeszcze jeden raz.

Jeszcze jeden raz.

Te słowa przepływały przez nią, docierając falą niepokoju do jej serca. Brakowało jej czegoś. Coś się wydarzyło, czego nie rozumiała. Próbowwała ponownie zajrzeć w jego myśli, odkryć jego uczucia, ale natrafiła na mur. Mur, który ją od niego odseparował. Podeszła do niego, a jej oczy były zwężone. Wiedział, że był świadomy jej obecności, ale nie wykonał żadnego ruchu.

-Williamie?

Otworzył oczy i patrzył na nią, wyglądał tak smutno.

-Mamy umowę, szepnęła cicho.

Zacisnął ręce w pięści.

-Nigdy nie powinienem cię zmuszać do tej umowy. Nie powinienem...

Zmuszać ją? Savannah zmarszczyła brwi.

-O czym ty mówisz? Do niczego nigdy mnie nie zmusiłeś.

I nie zrobił tego. Zdecydowała się na tę umowę bo chciała. Ponieważ go pragnęła.

-Tak zrobiłem to.

Przełknął i mogłaby przysiąc, że na chwilę wyglądał na przestraszonego.

-Powiedziałem, że nie pomogę ci wytropić Geoffrey'a jeśli nie zgodzisz się na moje warunki. Że nie przemienię cię jeśli nie zostaniesz moją kobietą.

-Powiedziałeś, że muszę z tobą zostać na zawsze, wyszeptała.

-Nie musisz.

Wziął głęboki oddech.

-Geoffrey nie żyje. Nie musisz się już nim więcej martwić.

Możesz odzyskać swoje życie. Możesz pójść gdziekolwiek zechcesz. Robić co chcesz. Możesz zacząć wszystko od początku. Możesz rozpocząć nowe życie.

-Bez ciebie, ta myśl była przerażająca.

Skinął głową. Nie rozumiała.

-Chcesz, żebym cię opuściła?

Nie odpowiedział. Patrzył na nią, a jego oczy były czarne jak noc.

-Dlaczego?

Musiała to wiedzieć. Musiała wiedzieć dlaczego nagle zaczął ją odpychać. Chwile mijały w milczeniu. Nie sądziła, że on zamierza odpowiedzieć. Że zamierzał tylko na nią patrzeć.

-Ponieważ zasługujesz na więcej, powiedział, słyszał w jego głosie ogromny ból.

Jej serce przestało bić.

-Co?

-Zasługujesz na szczęście. Wolność. Przeszłaś przez piekło przez mojego brata. Zawahał się, a następnie powiedział:

-Przeze mnie.

Przez niego?

-Williamie, gdybym z tobą nie była, już bym nie żyła! Byłabym gdzieś, na jakimś cmentarzu z oplakującą mnie tylko Mary.

Czy on nie rozumiał? On dał jej nowe życie!

-Geoffrey zabrał ci twoje życie. Zmusił cię do przemiany...

Złapała go za ramię, zmuszając by skupił swoją uwagę na niej.

-Byłam umierająca Williamie. Lekarze byli w błędzie. Nie miałam sześciu miesięcy. Gdybyś mnie nie zmienił, już bym nie żyła.

Potrząsnęła głową.

-Chciałam żebyś mnie zmienił. Błagałam cię o to.

-I powiedziałem tobie, że dam ci pocałunek tylko wtedy, gdy zostaniesz moją kobietą.

Niesmak był widoczny na jego twarzy. Jej oczy rozszerzyły się.

-To o to chodzi?

-Nie chcę, żebyś została ze mną, bo zabrałem twój wybór.

-A co jeśli zdecyduję się zostać?

Dotknęła jego policzka.

-Co jeśli chcę zostać z tobą?

Głód błysnął w jego oczach. Pragnienie. Nadzieja. Ale potem wycofał się. Odsunął się od jej dotyku, od niej.

-Geoffrey zabił twojego brata, szwagierkę i omal nie zabił ciebie.

Przesunął ręką po twarzy.

-Jak możesz zostać ze mną, wiedząc, co on zrobił?

-Ponieważ nie jesteś taki jak on, powiedziała po prostu, z uczuciem. Nie jesteś taki jak Geoffrey.

-Po tym co ci zrobiłem, jak możesz tak mówić?

Jej opanowanie się wyczerpało.

-Nic mi nie zrobiłeś!

Krzyknęła.

-Przestań to powtarzać! Nie zmusiłeś mnie do niczego, czego nie chciałam zrobić. Tak, przemieniłeś mnie. Błagałam cię żebyś to zrobił! Uratowałeś mi życie dając mi pocałunek. Pomogłeś mi wytropić Geoffrey'a, twojego brata. Pomogłeś mi go powstrzymać. Umowa... Oh tak, nasza wspaniała umowa! Pozwól, że coś ci powiem, nie zgodziłam się na umowę ze względu na moją zemstę.

Potrząsnęła głową.

-Wiedziałam, że mi pomożecie powstrzymać Geoffrey'a, bez względu na to czy się zgodzę czy też nie. Wiedziałeś, że należy powstrzymać zabójcę, a ty byś mi niezależnie od tego pomógł. Wiem to.

-Co?, zapytał w oszołomieniu.

Uderzyła go ręką w pierś.

-Posłuchaj mnie! Zdecydowałam się na ta umowę tylko z jednego powodu.

Wzięła głęboki wdech.

-Ponieważ chciałam ciebie. I zrobiłabym wszystko, by być z tobą.

Chwycił jej rękę, jego palce wybijały się w jej skórę.

-Co ty mówisz?

Patrzyła w jego płonące oczy.

-Mówię, że cię kocham.

Słowa te wypowiadała z całą złością jaka w niej narosła.

-I mówię, że nie pozwolę cię się wyrzucić z twojego życia. Nie pozwolę! Wiem, że było trudno, ale to już koniec i...

-Kochasz mnie?, szepnął w szoku.

Skinęła głową.

-Savannah!

Jego ramiona owinięły się wokół niej, prawie ją łamiąc. Ukrył twarz w jej włosach. Jego ciało drżało przy niej.

-Williamie?

Jego ramiona tuliły ją. Było jej ciężko oddychać, ale nie dbała o to. Mogła oddychać rodzącą się nadzieją.

-Chciałem, żebyś była wolna, powiedział miękko. Wolna od przeszłości, wolna by zacząć nowe życie.

-Gdy jestem z tobą, to jestem wolna. Nie rozumiesz tego?
Odsunął ją w ramionach by móc na nią spojrzeć.

-To twoja ostatnia szansa, ponieważ nie sądzę bym był jeszcze kiedykolwiek zdolny, by pozwolić ci odejść.

-Nie chcę, żebyś mnie puścił. Chcę żebyś mnie trzymał, żebyś mnie kochał, na zawsze.

Przełknął, a wolną ręką delikatnie dotknął jej policzka.

-Kochasz mnie?, zapytała go, patrząc w jego czarne oczy.

-Bardziej niż możesz to sobie wyobrazić.

Palcem przesuwał po jej wargach.

-Od pierwszej chwil gdy cię ujrzałem, wiedziałem, że jesteś tą jedyną. Jedyną, którą mogę kochać.

-Wiedziałeś od samego początku?

Była w szoku.

-Wiedziałem, gdy tylko spojrzałem w twoje zielone oczy.

Próbowałem cię odesłać ponieważ chciałem cię chronić.

Uśmiechnął się ironicznie.

-Chciałem cię chronić przede mną.

Nie mogła w to uwierzyć. William ją kocha? Naprawdę ją kocha?

-Dlaczego nie powiedziałeś tego wcześniej? Dlaczego po prostu chciałeś ode mnie odejść?

Pocałował ją lekko.

-Strach. Czysty, niewytłumaczalny strach.

William, starożytny wampir bał się jej?

-Tak, powiedział. Ponieważ, gdybym ci wyznał miłość, a ty byś odeszła...

Spojrzał w jej oczy.

-Nie było by dla mnie nadziei.

-Nigdy bym od ciebie nie odeszła.

William wpatrywał się w Savannah, pełnym uczucia wzrokiem. Nie mógł uwierzyć, w to co się działo. Kocha go. Ona naprawdę go kocha. I nie chciała odejść. Chciała z nim zostać na zawsze.

-Nigdy już nie będziesz sam, powiedziała, jakby czytała w jego myślach. Będziemy razem.

Na zawsze.

Każdą noc będzie spędzać z Savannah. Będzie miał jej ciepło, jej śmiech, jej pasję. Ona będzie jego. Jego kobietą. Jego miłością. Na wieczność.

-Nie mogę uwierzyć, że chciałeś mnie odesłać.

Spojrzała na niego.

-Myślałem, że robię dobrze, ale myśl o życiu bez ciebie w pobliżu, torturowała mnie.

-Bycie z tobą to jedyna dobra rzecz dla mnie. Wiesz o tym, prawda?

Spytała miękkiem głosem. I gdy spojrzał w jej zielone oczy, w końcu zrozumiał. Jej miłość była bogata, jasna i czysta. Nieskończona. Czuł jej miłość, czuł te fale pochodzące z jej umysłu, z jej serca. Otworzyła dla niego swój umysł, wpuszczając go do niego, pozwalając mu zobaczyć, swoje prawdziwe uczucia. I został zawstydzony. Zawstydzony przez siłę jej miłości. I przestraszył się. Kochała go. Naprawdę kochała. Kochała potwora. Kochała mężczyznę.

-Kocham cię, powiedziała. Was obu.

Uśmiechnął się. Dał Savannah mroczny dar, pocałunek wampira, ale ona dała mu coś znacznie cenniejszego. Ona dała mu miłość, która będzie trwać wiecznie.

Epilog

Już nie będę się bać ciemności.

-Zapis z pamiętnika Savannah Daniels de Montfort, 1 Stycznia 2005.

Savannah patrzyła się na grób brata, trzymając w ręce kilkanaście czerwonych róż.

-To już koniec Mark, szepnęła. On nikogo już nie skrzywdzi. Tej nocy wiał delikatny wietrzyk.

-Koszmar się skończył.

Położyła róże na nagrobku, muskając delikatnie zimną powierzchnię kamienia.

-Możesz wreszcie odnaleźć spokój.

Jak ja znalazłam swój.

Wstała, ocierając spływające łzy z policzków. Odwróciła się i ujrzała stojącego w cieniu Williama, czekającego na nią. Podeszła do niego, potrzebując jego ciepła, które przegoni chłód nocy. Owinął ręce wokół niej i przytulił do swojej klatki piersiowej. Jak zawsze czuła się wspaniale przy nim. Tak dobrze.

Tak, koszmar się skończył. Nadszedł czas na nowy początek. Na nowe życie. Życia, które spędzi z Williamem. Spojrzała z powrotem przez ramię, patrząc na grób brata.

Żegnaj Mark.

Szept wiatru, mogła by przysiąc, że usłyszała jak jej brat odpowiedział:

Żegnaj Savannah.

KONIEC

To już koniec przygody z Williamem i Savannah :/

Dziękuję wszystkim, którzy mnie wspierali i dopingowali w tym tłumaczeniu :)

Jeśli pojawią się jakieś błędy to z góry przepraszam :P

Kama85